

W każdym drzemie
nadzieja i zwątpienie,
i tylko od nas zależy,
co obudzimy w sobie.

Janina Ataman
fatalne odkrycie

Najwyższa pora, żeby wziąć się wreszcie za kreowanie swo-j ego wizerunku, wej ść w rolę fascynuj ącej dziewczyny. Na razie stoję naga przed dużym lustrem w łazience, oglądam się krytycznym okiem i punktuję walory, których nie mam. A nie mam pięknych, czarnych, lśniących włosów, nie mam promiennego uśmiechu odsłaniającego nieskazitelne zęby, nie mam wdzięcznej figury i talii osy Wszystkim tym natura szczerze obdarzyła moją siostrę Liii. Nie mam też zalotnych dołeczków w policzkach jak moja przyjaciółka Iza, a takie dołeczki są prawdziwym skarbem. Gdy Iza się uśmiechnie i spojrzy na chłopaka, tak lekko, ukosem spod długich rzes, temu od razu miękną kolana. Ja uśmiecham się bezdołecz-kowo, jak żaba. Usiłuję przynajmniej swoim włosom barwy mysi blond nadać odcień złocistych loków przyjaciółki, przy każdym myciu spłukuję je rumiankiem, ale jak dotąd efekty są mierne.

Zapaliłam dodatkową lampę. No tak, koszmar. Samo sadło! A dupsko niczym szafa! I na biodrach „bryczesy”. I otłuszczone uda. I pyzate policzki. I palce jak kluski. I drugi podbródek... Skóra na brzuchu uchwycona dłońmi tworzy obrzydliwy wałek. Okropność, muszę zrzucić z siebie ten balast, a na to, na szczęście, recepta jest prostota jak konstrukcja cepa - sport, sport i jeszcze raz sport. Przynajmniej na tym polu jestem lepsza niż Liii z Izą razem wzięte. Gram w szkolnej drużynie koszykówki, Iza towarzyszy mi w treningach, ale z całkowicie spozasportowych powodów, chociaż chodzi z Maćkiem - kocha się w trenerze Kacperku.

Wysoki, barczysty, a do tego czarnowłosy i błękitnooki trener jest obiektem westchnień większości dziewczyn w szkole i ten fakt działa na moją przyjaciółkę jak doping z anaboli-ku. W końcu wykosić setkę rywalek to nie to samo, co jedną czy dwie. Ja rzecz jasna nie biorę udziału w tym współzawodnictwie, bo po pierwsze, moje serce od dawna należało do kogoś innego, a po drugie, było oczywiste, że gdyby trener stanął przed wyborem, którą z nas wybrać sobie na narzeczoną, na sto procent wybrałby tę śliczną, delikatną i zalotną.

Ogólnie wiadomo, że etyka zawodowa wyklucza romanse nauczycieli z uczennicami, lecz Iza słusznie zauważyła, że kiedyś uczennice ukończą szkołę i wszelkie przeszkody formalne znikną, więc nie zaszkodzi wcześniej przygotować sobie grunt.

- Zaraz po maturze skutecznie go poderwę - zapewniała za każdym razem.

Na razie jej wyprawy na treningi były równie czasochłonne jak na dyskoteki.

Wydawała bajońskie sumy na seksowne t-shirty, szorty, wodoodporne tusze, które nie rozmazują się pod wpływem potu, dezodoranty neutralizujące zapach potu i żele do

włosów utrzymujące artystyczny nieład na głowie. Poza tym, w ramach przyjętej przez nią erotycznej strategii, warunkiem poprawnego wykonania nawet najprostszego ćwiczenia, było osobiste zaangażowanie się Kacperka w korygowanie błędów, które zresztą specjalnie popełniała.

Wzięłam szybki prysznic i wskoczyłam w dres. Zanim skończyłam suszyć włosy, przyszła Iza.

- Jak myślisz, czy tak obleci? - spytała od progu.

- Co masz na myśli? - Jak to co? Dres!

8

- Bomba! - Dres był landrynkoworóżowy W życiu bym takiego nie założyła.

- Pasuje do butów? - Buty miała białe z ciemnoróżowymi wstawkami.

- O tak. Wyglądasz jak Eos różanopalca. Kacperek oniemieje z wrażenia.

- Szkoda, że dzisiaj ćwiczymy na boisku. Kupiłam sobie superseksowne szorty, takie z rozcięciami po bokach.

- Ale chyba nie różowe?

- Skądże, ktoś mógłby pomyśleć, że ćwiczę w samych majtkach. Są żółte z zieloną lamówką.

- Postanowiłam zwiększyć sobie liczbę treningów do trzech w tygodniu - zmieniłam temat, bo z Izą o ciuchach można rozmawiać w nieskończoność.

- Przesadzasz. Chcesz mieć mięśnie jak jakiś Pudzianow-ski?

- Muszę zrzucić parę kilo.

Spodziewałam się, że Iza skomentuje jakoś moje słowa, powie coś w stylu:

„Przesadzasz, wcale nie jest źle, figurę masz do przyjęcia”, tymczasem dałam jej tylko sygnał do zainteresowania się swoimi wymiarami. Teraz ona kręciła się przed lustrem, oglądała z każdej strony, aż w rezultacie spóźniłyśmy się na trening prawie piętnaście minut.

Wszyscy akurat biegali dookoła boiska. Dołączyłyśmy do przebiegającej właśnie grupy zdążyłyśmy zrobić zaledwie dwa okrążenia, gdy Kacperek odgwizdał koniec biegania.

- Karla, do mnie. Reszta ćwiczy skłony

Byłam przekonana, że zechce mnie wyspowiadać z tego spóźnienia, tymczasem chodziło o coś zupełnie innego.

- Widzę cię w reprezentacji i szkoły na mistrzostwach okręgowych. Co ty na to?

- Chętnie. Miałam nawet zapisać się na dodatkowe treningi.

9

- Brawo. Ćwiczenia zaczynamy od zaraz. Przeszliśmy na boisko do koszykówki.

- Dzisiaj przećwiczysz rzut do kosza z dwutaktu. Popatrz, kozłujesz i najpierw pierwsza opcja, prawa strona kosza. Zaczynasz od prawej nogi, wybijas się z lewej, rzucasz prawą ręką. A teraz opcja druga, lewa strona kosza. Zaczynasz od lewej nogi, wybijas się z prawej, rzucasz lewą ręką

Spróbowałam powtórzyć. Ale tylko w jego wykonaniu rzecz wyglądała prosto i lekko.

- Rzucasz, gdy jesteś w najwyższym punkcie. Powinnaś pamiętać z fizyki, że w apogeum ciało osiąga stan nieważkości i wtedy najłatwiej nim manipulować.

Dał popis kilku takich wyskoków z niemalże cyrkowymi ewolucjami w powietrzu i

ani razu nie chybił celu.

Próbowałam, próbowałam i nic. Kacperek zamiast stracić cierpliwość, zmienił taktykę. Kiedy kolejny raz wybiłam się do wyskoku, chwycił mnie w talii i podrzucił. Gdy za sprawą zsumowanych sił znalazłam się ze trzy metry nad ziemią, krzyknął:

- Rzucaj! Teraz! - Bez problemu, niemalże włożyłam piłkę do kosza.

- Rany trafiłam!

-1 tak ma być za każdym razem. Ćwicz dalej.

Trener wrócił do reszty grupy, która bez nadzoru po prostu gnuśniała, a ja długo jeszcze czułam nad biodrami mocny uścisk jego rąk i ciepło, które nie stygło, chociaż powinno.

Ćwiczyłam. Ciężko było skoordynować wszystkie ruchy, ciągle coś było nie tak: a to wybiecie za słabe, a to z niewłaściwej nogi, a to wyrzut przedwczesny, a to zbyt późny... no i niezmiennie zerowa celność. Koszmar. I znów kłaniała się tusza.

Gdybym była lżejsza, mniej energii szłoby na pokonanie siły bezwładności własnego cielska. Podeszła Iza.

- No, no. Zdradź tajemnicę, jak załatwiłaś sobie prywatne

10

korepetycje u Kacperka? - spytała niby żartem, ale w tonie głosu wyczułam nutę zazdrości.

- Mam grać w reprezentacji szkoły Jeśli oczywiście opanuję te pieprzone rzuty z dwutaktu.

- Nie wydają się zbyt trudne.

- Chcesz spróbować?

- Dziękuję. Takie skakanie z boku wygląda dość pokraccznie. Ale ćwicz dalej.

Ćwiczenie czyni mistrza. - Oddaliła się wdzięcznym truchtem.

Wróciłam do odrabiania zadanej lekcji. Wtem zmiękły mi kolana.

Zanim po raz pierwszy go zobaczyłam, moje serce, chociaż puste, już było pełne miłości. Czekало tylko na znak, i ten znak rozpoznało bezbłędnie, gdy zeszłego lata ujrzałam go z okna mojego pokoju. Rozmawiał z siostrą w ogrodzie. W jego wyglądzie było coś niezwykłego, coś, co przyciągało uwagę i nie pozwalało oderwać oczu, i co z miejsca wprawiało mnie w stan miłostnego uniesienia.

Widziałam go ledwie kwadrans, a zapomnieć nie mogłam przez cały rok. Wiele razy próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd ten nagły poryw serca? Co i dlaczego w nim kocham? Bezskutecznie. Zauroczenie narastało, ponieważ wyobrażenie o nim, pielęgnowane, retuszowane i przywoływane w marzeniach, wyniosło j ego postać na szczyty ideałów. Na sam Parnas.

Ostatnio to wspomnienie nieco przyblakło, być może za miesiąc znikłoby bez śladu, tymczasem... szok. Oto mój świetlisty Apollo, dla niepoznaki przebrany w dzinsy i trykotową koszulkę w biało-granatowe paski, stał na obrzeżu boiska niecałe trzy metry ode mnie. Stał i patrzył, a ja nic. Udałam, że ośleplam, tymczasem na panoramicznym ekranie mojej wyobraźni ruszyła projekcja obrazu widzianego jego oczyma - rozczochna, czerwona jak upiór, tłusta klucha spocona niczym mysz na widok kota, wykonuje pokracczne podskoki. Ruszył w moim kierunku.

- Cześć. Jesteś siostrą Liii, prawda? Szukam jej. Chciałam zapaść się pod ziemię,

udawać, że ja to nie ja,
ale nic z tego.

- Tu jej nie ma - wydukałam.

- Wiem. Gdzie ją mogę znaleźć?

Pytanie niby proste, lecz z jakiegoś powodu zamurowało mnie. Chyba to moje przygłupiaste osłupienie wziął za głęboki namysł, bo cierpliwie czekał, aż mi w mózgu zatrybi. I wreszcie zatrybiło.

- Zadzwoń do niej, ale komórkę mam w szatni.

- Służę swoją.

Wystukałam odpowiedni numer i oddałam telefon. Podziękował i oddalając się z wolna, zajął się rozmową. Przestałam dla niego istnieć. Mogłam wrócić do swoich skoków, ale stałam oniemiała, patrząc za nim z rozpaczą. Wiedziałam, lży przyjdą później, gdy wieczorem wtulę głowę w poduszkę. Bo jak tu nie płakać? Był moim dyżurnym marzeniem przed zaśnięciem, moją erokołysanką, moim słodkim, cudownym, maniakałnym opętaniem. Przez cały rok wypatrywałam go wśród przechodniów na ulicy wśród dyskotekowych tłumów, wśród gości odwiedzających Liii, na widowni w kinie, w teatrze, w filharmonii, na trybunach stadionu... i nic. Przepadł j ak kamień w wodę. Setki razy wyobrażałam sobie nasze następne spotkanie. Oczywiście w pięknych, romantycznych okolicznościach, a tu masz! Rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni, przestępny nawet o dzień więcej, a on musiał zjawić się teraz. W chwili tak fatalnej. Cóż za ironia losu. Zauroczenie, i przy pierwszym spotkaniu pogrzebanie wszelkich szans, bo prawdę mówiąc, najważniejsze jest pierwsze wrażenie, a pierwszego wrażenia nie można zrobić po raz drugi.

Kacperek odgwizdał koniec treningu.

12

Gdy wróciłam do domu, ON rozmawiał z Liii na tarasie. Zamiast walnąć się w swoim pokoju na wersalce i wypocząć, zwietrzyłam nową szansę. Przemknęłam chyłkiem do łazienki, wzięłam prysznic, wskoczyłam w szorty i najlepszą bluzkę ze swojej skromnej kolekcji, zrobiłam lekki makijaż kosmetykami mamy Nadaremnie. Gdy gotowa do efektownego wejścia opuściłam łazienkę, było już pozamiatane. Na tarasie siedziała samotnie Liii. Po moim ukochanym pozostała jedynie pusta szklanka. Kicha.

fyirli

Mimo wcześniejszego falstartu postanowiłam przynajmniej rozeznać, jak naprawdę sprawy się mają.

- Czy chodzisz z tym chłopakiem? - spytałam bez owijania w bawełnę.

- Z Rafałem? Rozważam taką możliwość. - Siostra uśmiechnęła się ironicznie i spojrzała na mnie tak, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, wiem, co ci chodzi po głowie”.

„A więc ma na imię Rafał. Pięknie, Rafał! Nie ma na świecie piękniejszego imienia”

- pomyślałam cicho i usiłując nadać głosowi obojętny ton, wyjaśniłam:

- Pytam, bo nigdy nie widziałam, żeby się koło ciebie kręcił.

- Stara historia. Poza tym studiuje za granicą, więc rzadko się widzujemy Chcesz wiedzieć coś jeszcze? - Uniosła jedną brew. - Znów używałaś kosmetyków mamy.

Zrozum wreszcie, Opium nie są perfumami dla ciebie. Nie ta klasa, nie ten styl. Liii pochyliła się nad książką, fala włosów niczym jedwabna kurtyna zasłoniła jej twarz. Oznaczało to koniec rozmowy

Jako notoryczny singiel czułam się gorsza i niepewna, a widok zakochanych par, nawet własnej siostry adorowanej przez chłopców, jeszcze bardziej pogłębiał ten stan. Świat fantazji i literatury był kiepskim surogatem prawdziwej miłości. Ruszyłam w kierunku schodów, żeby zejść do ogrodu i w tej chwili zobaczyłam za ogrodzeniem chłopaka, który sprawiał wrażenie kogoś, kto w nieznaney dzielnicy poszukuje adresu. Wyglądał znajomo, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam. Chłopak przystanął koło naszej bramki, wyciągnął rękę do domofonu i w tym momencie mnie zauważył.

- Karla? Nareszcie. Dwa dni strawiłem na poszukiwaniach, zanim moja wytrwałość została nagrodzona.

Olśniło mnie. To był Firli, czyli Miłosz Firlej, razem bawiliśmy się w piaskownicy, razem chodziliśmy do tego samego przedszkola i pierwszej klasy podstawówki. Kiedy wyprowadziliśmy się z bloku, nasza dziecięca przyjaźń poszła w zapomnienie.

- Szukałeś Liii? - Niechętnie wpuściłam go na teren posesji. - Jest na tarasie.

I pytanie, i niechęć miały swoje źródło w zdarzeniu sprzed tygodnia. Wyszłam objuczona zakupami z supermarketu, gdy podszedł do mnie wysoki i nieco przytęgawy, lecz całkiem przystojny chłopak.

- Cześć, Karla - zagadnął. - Pamiętasz mnie? Jestem Arnold.

Nie pamiętałam, a powinno mi utkwąć w pamięci przynajmniej imię.

- Ach, te dziewczyny! - zawołał z zabawnym wyrzutem, widząc moją zakłopotaną minę. - W którą stronę idziesz?

- Do siedemnastki.

- Ja też. Daj, poniosę ci te reklamówki.

Pogoda tego dnia była piękna, a żółknące już liście sprawiały, że powietrze przesycił złoty poblask, który rzeczom i ludziom nadaje owej cudownej miękkości, jak na obrazach

14

Vincenta van Gogha. Rozmawiając sobie o tym i owym, dotarliśmy do przystanku. Usiedliśmy na ławce. Arnold, dotąd taki rozmowny i pewny siebie, nagle oklapł. Pomyślałam, że pewnie chce mi zaproponować randkę, lecz czuje onieśmienie. Zachęcającym uśmiechem dodałam mu odwagi. Poskutkowało.

- Posłuchaj, Karla, mam do ciebie ogromną prośbę. -Tak?

- Poznaj mnie ze swoją siostrą.

Czar prysł jak mydlana bańka. I chociaż chłopak nie składał mi wcześniej żadnych obietnic, poczułam się zawiedziona, oszukana, a nawet perfidnie wykorzystana. Cała radość uszła ze mnie jak powietrze z przekłutej opony. Prawie słyszałam charakterystyczny syk.

- Sam do niej podejdź. Tak jak do mnie.

- Takiej laski nie podrywa się na ulicy jak pierwszej lepszej.

„To znaczy, że ja jestem pierwsza lepsza? Że mnie można zaczepić, wcisnąć trochę kitu i pozamiatane? Dupek!” - pomyślałam ze złością, a głośno odplaciłam mu pięknym za nadobne:

- Siostra ma chłopaka. Jest z nim nawet zaręczona. Wątpię, by była zainteresowana znajomością z kimś takim, jak ty. Poza tym lubię jej narzeczonego i nie mam zamiaru spiskować z jego rywalami.

Podjechała siedemnastka. Wsiadłam pospiesznie, ignorując jego przeraźliwie obojętne i byle jak rzucone słowa pożegnania. Z trudem powstrzymywałam łzy chociaż, prawdę mówiąc, nie było powodu do płaczu.

Gdy więc teraz zobaczyłam Miłosza, byłam przekonana, że też szuka Liii. Przecież dla mnie nie penetrowałby przez dwa dni nieznanego osiedla.

- Chętnie się z nią zobaczę, ale tak naprawdę szukałem ciebie.

„Może i tak, lecz gdy ujrzy jakie cudo wyrosło z mojej siostry, zaraz zmieni zdanie” - pomyślałam, prowadząc go na taras.

Liii też go w pierwszej chwili nie rozpoznała, a i potem sprawiała wrażenie, że nie bardzo wie, z kim rozmawia.

Wróciliśmy do ogrodu, zajęłam się wrywaniem cebuli, a Firli przykucnąwszy po drugiej stronie grządki, opowiadał, jak to ciepło mnie wspominał, i jak któregoś dnia postanowił wrócić do dziecięcej przyjaźni.

- Tylko przyjaźni. Nie będę cię podrywał - zastrzegł się. Deklaracje facetów trzeba obowiązkowo weryfikować.

Spojrzałam na niego badawczo. W dzieciństwie Firli był najładniejszym i najgrzeczniejszym chłopcem, jakiego można sobie wyobrazić. Teraz też sprawiał wrażenie - bo ja wiem?

- prymusa, albo młodego kleryka z wypisanym na twarzy postanowieniem trafienia na ołtarze. Mówiąc krótko - lalusz.

- W porządku.

- Masz chłopaka? - pytanie zaskoczyło mnie.

- Nie mam. A dokładniej, w tej chwili akurat nie mam

- skorygowałam.

- No to dobrze się składa, bo... - Przełknął nerwowo ślinę i zamilkł.

- Bo co? Wyduś wreszcie.

- Rzecz jest diabło skomplikowana, lecz myślę, że zrozumiesz. Chciałem cię prosić, żebyś została moją dziewczyną. Tak na niby. Chodzi o to, abym mógł od czasu do czasu pokazać się z tobą na jakiejś imprezie, spotkać w kawiarni, potańczyć na dyskotece... Rozumiesz...

- Prawdę mówiąc, nie za bardzo.

- Naprawdę nie rozumiesz?

- Nie, ale idę na taki układ.

- Jestem gejem. Chcę utrzymać ten fakt w tajemnicy do matury, a potem... Potem wyjadę do Amsterdamu. Mam tam

16

kogoś. Obiecuję, że - jeśli zechcesz spotykać się z kimś na serio - powiesz tylko słowo, a zniknę w ciągu sekundy. Jednak na zawsze pozostanę twoim przyjacielem.

Zamurowało mnie. Przyjaźń z facetem to trochę taka mi-łość-nielot, lecz na bezrybiu i rak ryba, a przy tym okazja do pozbycia się ksywy wiecznego singla.

- Oczywiście, zgoda.

Połowę nocy rozmyślałam o Firlim w kontekście, że jak już znalazł się chłopak, który chce ze mną chodzić, to gej. Ogrodnik naszego sąsiada chcąc krótko uzasadnić, że coś jest niemożliwe, mówi: „Nie da rady, oba samce”. Widocznie jest niedoinformowany. Ja też związek uczuciowy między mężczyznami łatwo sobie wyobrażam, ale seks? Postanowiłam wypożyczyć jakiegoś pornusa na ten temat i obejrzeć cichaczem.

Gdyby nawet Firli nie prosił mnie o dyskrecję, i tak nie miałabym z kim podzielić się taką tajemnicą. Liii pewnie skomentowałyby ironicznie, że jestem głupsza, niż ustawa przewiduje, Iza dostałaby ataku śmiechu i opowiadała wszystkim dokoła jako doskonały dowcip, a mama wygłosiłaby jedną ze swoich niezaprzeczalnie mądrych sentencji, które są słuszne niczym listy świętego Pawła do Koryntian, tylko trudne do zrealizowania.

Następnego dnia spotkałam się z Firlim sam na sam w Pstryczku. Kawiarnia miała swoich stałych bywalców -dziennikarzy z pobliskich „Wiadomości Codziennych”, studentów Wyższej Szkoły Zarządzania oraz licealistów, głównie z naszego Boya-Żeleńskiego i Tuwima. Tutaj zawsze spotykało się kogoś znajomego, tutaj też najprościej można było zaistnieć jako para.

Usiedliśmy przy małym stoliku w kącie i pojadając lody, rozmawialiśmy sobie o dawnych czasach, które z perspektywy tylu lat wydawały się prawdziwym rajem. Γ

•* -> Q

- Fajnie, że możemy powspominać. Jest super.

- Jasne. - Miłosz całą uwagę skupił na pucharku z lodami.

- A jeśli chodzi o twoje upodobania, nie musisz się przejmować innymi.

- Chyba muszę - ściszył głos. - Dostaję listy z wyzwiskami.

- Jakimi?

- Żyd, pieprzony pedał... Jest ktoś, kto wie. Boję się, że któryś z tych listów wpadnie w ręce mamy.

- Może lepiej będzie, gdy wyznasz rodzicom prawdę. Zrozumieją, jeśli cię kochają, a kochają na pewno.

- Wyobraź sobie, jaki pogląd może wyrobić sobie o homoseksualizmie osoba, gdy jej jedynym źródłem wiedzy jest ksiądz, dla którego homoseksualizm to zboczenie, etyczna degrengolada, zgnilizna moralna i grzech wiekuisty. Wiem, że rodzice oddaliby za mnie życie, jednak o tym nie mogę z nimi rozmawiać. Nie zrozumieliby.

- Jeśli chcesz, od czasu do czasu będę cię odwiedzać w domu, to powinno tego ktosia zbić z pantaląku.

- Możemy iść nawet teraz - ucieszył się.

Poszliśmy. Wyobrażałam sobie, że odbędę sentymentalną wycieczkę do miejsc szczęśliwego dzieciństwa. Żył wtedy tata, a ja byłam w wieku, kiedy samoświadomość nie obejmuje samokrytyki, więc nie dręczy przygnębiające poczucie własnej niedoskonałości. Byłam i już.

Pojechaliśmy autobusem. Z daleka blokowisko wyglądało dość przyzwoicie i ciągle jeszcze znajomo, jednak im bardziej zapuszczaliśmy się między poznaczone liszajami zacieków budynki-pudełka, tym wyraźniej dostrzegałam zaniedbania i ślady wandalizmu - połamane krzewy, pobazgrane sprayem ściany, zdeptane do gołej

ziemi trawniki, rozbebe-szone worki ze śmieciami wokół kontenerów MPO, zdemolowane place zabaw, balkony pełne rupieci i schnącej bielizny. ...

18

- Zaszły tu spore zmiany - zauważyłam.

- I wciąż zachodzą. Niestety, na gorsze. Porządni ludzie powyprowadzali się do własnych domów na przedmieściach, a ci nieliczni, którzy jeszcze zostali, tylko patrzą, żeby dać nogę. Odkąd wybudowano tu kilka bloków socjalnych, strach wieczorem wyjść z domu. Ławki od rana do północy okupuje chuliganeria, powstały jakieś gangi... Dziękuj Bogu, że zmieniłaś adres.

Moja dawna dzielnica, mimo degeneracji, wciąż była znajoma dzięki murom, uliczkom i ścieżkom, natomiast z ludzi nie rozpoznawałam nikogo. Byli całkowicie obcy A może to ja byłam obca?

Skręciliśmy do bloku Firlego. Na resztkach skwerku obsadzonego śnieguliczką wciąż stała altanka, w której bawiliśmy się podczas deszczu.

- Teraz od wiosny do jesieni służy dziwkom do szybkich numerków z pij anymi facetami - usłyszałam wyj aśnienie, zanim zdołałam zadać pytanie.

- Nie żartuj. Nie przeszkadzają im ażurowe ściany?

- Nie. Jak widzisz krzewów nikt już nie przycina, więc trochę zasłaniają. Lecz dzieciarnia podgląda. To taka tutejsza forma edukacji seksualnej.

Rozklekotaną windą wjechaliśmy na piąte piętro. Pani Firlejowa ze wspomnień i ta, która otworzyła nam drzwi, wyglądały jak dwie różne osoby Na ulicy pewnie nawet nie pomyślałabym, że kogoś mi przypomina. Tamta była szczupluteką, zawsze uśmiechniętą blondynką, ta zaś otyłą, zafrasowaną szatynką.

- Mamuś, pamiętasz Karłę?

- Córkę Malskich? A jakże. Oczywiście, pamiętam. Ależ ty urosłaś. Przyszłaś odwiedzić stare śmieci?

- Karła przyszła do mnie. Jest moją dziewczyną - powiedział Firli dziwnie zduszonym głosem, uciekając jednocześnie wzrokiem gdzieś w bok.

Skinieniem głowy potwierdziłam jego słowa. Pani Firlejo-wa w nagłym odruchu czułości objęła mnie i pocałowała w czoło. Jezu! Chociaż mój układ z Firlim z góry zakładał oszustwo, poczułam się podle. „A może przesadzam z tymi skrupułami? Może słodkie kłamstwo jest dla matki lepsze niż gorzka prawda?” - próbowałam pocieszyć się naprędce

Do mieszkania wpadła starsza siostra Firlego, Marzena. Też mocno zmieniona, niezmienny pozostał jedynie sposób mrużenia oczu nadający jej twarzy nieznośnie ironiczny wyraz. Przynajmniej w moim odczuciu. W dzieciństwie Marzena i Liii chętniej się razem bawiły, lecz mimo to nie przypadły sobie do serca, tak jak ja z Firlim. Ona też poznała mnie od pierwszego spojrzenia.

- Karla? A co cię tu przygnało?

- Karla jest dziewczyną Miłoszka - pośpieszyła z wyjaśnieniem pani Firlej owa z entuzjazmem, jakby chodziło o księżniczkę.

Marzena w odpowiedzi parsknęła krótkim śmiechem i jeszcze bardziej zmrużyła oczy, które teraz wyglądały jak dwie czarne szparki.

- A co słyhać u Liii? Dalej taka dzezi?

- Liii studiuje na uniwersytecie filologię polską. A ty?

- Ja nie. Wykształcenie nie piwo, nie musi być pełne.
- Jasne - przytaknęłam bez głębszego przekonania. - A tak w ogóle, co robisz?
- Mam ręce, więc kręcę.
- Rozumiem - skłamałam, bo tak naprawdę nic nie rozumiałam.
- Usiądź z nami, Marzenko, i przestań już wreszcie dziam-dziać tę gumę - poprosiła pani Firlejowa.
- Odpada. Wybieram się pogibać. -Z kim?
- Z kim! Z kim! Z niekulawym facetem.

Marzena, nie zważając na naszą obecność, zdjęła spodnie i podkoszulek, otworzyła szafę i zaczęła przeszukiwać półki. Zanim znalazła odpowiednią bluzkę i spódnicę, większość rzeczy wyrzuciła na podłogę, potem zgarnęła je w jeden wielki tłumok i wepchnęła z powrotem do szafy, dociskając go drzwiami, żeby nie wypadł.

Po jej wyjściu przez chwilę panowała denerwująca cisza. Rozumiałam, że i pani Firlejowej, i Firlemu było głupio z powodu manier Marzeny, więc chociaż nie wypada pierwszej zabierać głosu w obecności osoby starszej, postanowiłam przerwać milczenie, a że nic mądrego nie przychodziło mi do głowy spytałam panią Firlejowa o zdrowie. I tak przez następną godzinę maglowaliśmy temat jej nadciśnienia tętniczego i niewydolności służby zdrowia.

Po wizycie Firli spacerkiem odprowadził mnie na przystanek autobusowy

- Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. -Tak?
- Czy mój przyjaciel, wiesz, ten, o którym ci mówiłem, z Amsterdamu, może pisać listy na twój adres?
- Jasne.
- Przepraszam za kłopot, ale nie mam ani komórki, ani komputera, więc...
- Nie ma sprawy. To naprawdę drobiazg.

Na przystanku zaczęli gromadzić się ludzie. Firli kilku starszym osobom powiedział grzeczne dzień dobry młodszemu rzucił wyzywająco zuchwałe cześć, które dla mnie pobrzmiwało nutą: „Patrzcie, palanty, mam dziewczynę!”, lecz ostatecznym akcentem dla ewentualnych durni, którzy jednak wątpiliby w charakter naszego związku, był pocałunek na pożegnanie. Co prawda tylko w policzek, ale przecież w miejscu publicznym ma on swoją wymowę.

Jeszcze jedna starsza siostra

Na swoim przystanku zauważyłam Marzenę wysiadającą drugimi drzwiami autobusu.

- Zaczekaj, mam z tobą do pogadania! - zawołała w moim kierunku.
 - Słucham. - Przystanąłam.
 - Ta gadka z imprezą była zwykłą ścierną. Czatowałam na ciebie. Naprawdę jesteś parą z Miłoszem? - Jej źrenice w szparkach powiek wyglądały jak dwa świdry. Czułam, że czerwienieję jak burak ćwikłowy.
 - Oczywiście.
 - Nie pieprz. Chyba cię powaliło. Przecież to pedał. Ciota! Rozumiesz? Pieprzona ciota.
 - Nie zauważyłam.
 - Uwierzę, gdy dasz słowo honoru i potwierdzisz na piśmie, że cię przeleciał. No jak, przeleciał cię? Przeleciał?
- Poczułam, że za chwilę poczerwienieją mi nawet włosy. Stałam wobec idiotycznej

sytuacji, bo i kłamstwo, i prawda odpadały Wybrałam trzecią możliwość.

- Za dużo chcesz wiedzieć. To nie twoja sprawa.

- Jasne, hrabina de Wal-deską - zaakcentowała z francuska. - A, e, a, o takich świństwach cicho sza. Można najwyżej pod kołdrą przy zgaszonym świetle...

- Daruj sobie dywagacje na ten temat. Najlepiej wróć do sedna sprawy.

- Masz rację, lecz gdyby nawet cię przeleciał, i tak jest ciotą. Czai się skórkojad.

Tylko nie myśl sobie, że wpadłaś mu w oko. Nic z tych rzeczy. Uskutecznił ten podryw specjalnie dla mamuśki. Poderwał i przyprowadził pokazać, że ma laskę jak inni faceci. Jej może mydlić oczy mnie nie oszuka.

- Jesteś pewna swoich podejrzeń? Bo w moim odczuciu,

22

mniejsza o szczegóły, Miłosz jest najnormalniejszym chłopcem pod słońcem.

- Przyłapałam go kiedyś z kochasiem w sytuacji, jak to się mówi elegancko, infagrando.

- Pewnie chciałaś powiedzieć in flagranti ?

- Być może. Z hiszpańskim jestem na bakier.

- Z łaciną pewnie też - nagle przysła mi ochota dokuczyć jej. Zbić z pantałyku. Była okropnie denerwująca z tym swoim knajackim luzem, wredną przenikliwością i szparko-watym spojrzeniem.

Problemy ze starszymi siostrami to dość powszechny problem, ale Firli musiał mieć totalnie przechłapano. Przy Marzenie Liii jawiła się jako prawdziwy anioł i wzór wszelakich cnót. Jestem też przekonana, że nigdy w życiu nie oczerniłaby mnie w oczach chłopaka, gdybym go oczywiście miała. Ja jej zresztą też nie.

- Nie musimy tu sterczeć jak dwa kołki. Pójdę z tobą kawalek - zaproponowała, puszczając moją uwagę mimo uszu.

Ruszyliśmy w stronę domu.

- Mam nadzieję, że usłyszę wyjaśnienie, dlaczego mówisz mi o tym wszystkim - podjęłam próbę nadania naszej rozmowie jakiegoś sensownego wymiaru. W końcu rodzeństwo, jeśli nawet ma do siebie anse, nie wyciąga ich na widok publiczny, chyba że przyświeca temu jakiś konkretny cel.

- Dlaczego? Mamuśka poza Miłoszkiem świata nie widzi. Wciąż tylko Miłoszek to... Miłoszek tamto... Miłoszek sramto, tamtaramto. Jedno wielkie sralis mazgalis, a ja to zaledwie wymóżdżony śmieć, felerny egzemplarz, który trzeba wziąć za pysk i trzymać nisko przy podłodze. Ale nie ze mną te numery.

- Tata też tak uważa?

1 In flagranti - na gorącym uczynku.

- Ojczulek, jeśli już zdecyduje się na myślenie, korzysta z gotowych przemyśleń mamuśki. W odniesieniu do ukochanego synalka stanowią pięknie zgrany duet chwalców

- Myślę, że bez względu na twoje odczucia, intencją rodziców jest...

- Intencja jest jak dupa, każdy ma własną! - wrzasnęła bez sensu, aż obejrzało się za nami kilku przechodniów - Nie praw mi morałów, jeśli nie trybisz, o co biega.

- No dobrze, więc o co biega?

Marzena zdawała się zbierać myśli. Dopiero po dość dłu-gawym milczeniu powiedziała:

- Zobaczysz, ciebie też zrobi w bambuko, bo tak naprawdę Miłosz jest zwykłą szarą mendą.

Niewiele tego po tak długim namyśle. Nagle przyszło mi do głowy, że autorką tych listów z wyzwiskami, które otrzymywał Firli, mogła być właśnie ona. Pewnie liczyła, że wpadną w ręce matki, albo po prostu taki obrała sposób dręczenia znieawidzonego brata.

-Kto jeszcze wieo... o tych niby preferencjach Miłosza? -spytałam na wszelki wypadek.

- Nie mam zielonego pojęcia. Doszliśmy do mojego domu.

- Tu mieszkam - powiedziałam, zatrzymując się.

- O kurde. Ale megaodjazd! Tobie to się udało! Nie tylko tobie, wam wszystkim.

Dziwne, że z taką chatą lecisz na tego pieprzonego zбочzka. Ja na twoim miejscu poniżej dyrektora banku nie spuściłabym nawet o oczko, ale wątpię, czy wiesz, jaką jesteś szczęściarą.

Być może tak to z zewnątrz wygląda. Niby mam wszystkie warunki, żeby być szczęśliwą, jednak moim męczącym i niszczącym utrapieniem jest właśnie brak poczucia szczęścia.

24

Rozważania prawie filozoficzne

W domu nawiedziły mnie refleksje, że tak powiem, natury filozoficznej. Gdyby nie fakt, że pewnego dnia rodzice podjęli decyzję o budowie domu, nadal mieszkałabym na betonowym blokowisku w trzech ciasnych pokojach z jeszcze ciaśniejszą kuchnią i mikroskopijną łazienką, która do spółki z balkonem pełniłaby funkcję suszarni.

Może też przechodziłabym obojętnie obok zabazgranych ścian i śmierdzących śmietników, jeździłabym rozklekotaną windą, i z duszą na ramieniu wychodziłabym wieczorem na spacer. Nawet z psem, a przecież pięć lat temu, po śmierci taty, groził nam powrót do podobnych warunków. Jak to dobrze, że wśród czarnej rozpaczki, która spadła na nas znieacka, podjęliśmy desperacką decyzję ratowania domu. Byłam wtedy zbyt zielona, żeby w pełni rozumieć, na co się porywamy, lecz teraz już wiem i ta wiedza napawa mnie dumą. Zapamiętałam ten dzień z fotograficzną dokładnością. Tydzień po pogrzebie, przy kolacji, mama powiedziała:

- Muszę podjąć ważną decyzję, lecz podejmę ją dopiero wtedy gdy usłyszę wasze zdanie, ponieważ konsekwencja tego postanowienia dotknie nas wszystkich. Na budowę musieliśmy z tatusiem zaciągnąć wysoki kredyt. Teraz, gdy nasze dochody drastycznie spadły, nie jesteśmy w stanie spłacać rat. Mamy do wyboru dwa wyjścia, albo sprzedamy dom i kupimy małe mieszkanie w bloku, albo... - mamie dramatycznie załamał się głos.

Miałyśmy przestronne pokoje, zaadaptowane dla siebie poddasze, śliczny ogródek, no i na wszystkim odcisnięty ślad ręki i serca taty wtedy młodego, dobrze zapowiadającego się architekta, a własny dom był pierwszym od początku do końca zrealizowanym autorskim projektem. Jego śmierć, mówiąc obrazowo, rzuciła nas między Scyllę a Charybdę - z jednej

strony widmo utraty domu, z drugiej bezwzględny, żarłoczny potwór - kredyt.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - powiedziała Liii.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - powtórzyłam za nią jak echo.

- Mamy możliwość temu zaradzić, lecz będzie to bardzo trudne.
- Nic nie jest za trudne, żeby ocalić dom - zapewniłyśmy
- Zgadza się na ogromne wyrzeczenia przez długie lata?
- Zgadza się.
- Wezmę dodatkową pracę, lecz pod warunkiem, że przejmiecie większość moich obowiązków.
- Zgadza się.
- Będziecie same sprzątać, robić zakupy pielęgnować ogródek?
- Będziemy.
- Wciąż będę przebywać poza domem.
- Trudno.
- Czyli umowa stoi?
- Stoi. Przysięgamy - ogarnął nas bojowy entuzjazm.
- No i jeszcze jedna oczywistość, wydatki ograniczamy do minimum.

Do ograniczania wydatków już dawno byliśmy przyzwyczajone, więc powodowane zarówno dumą z ważnej misji do spełnienia, jak i poczuciem dorosłej odpowiedzialności, i ten warunek gładko przełknęłyśmy.

Nasze samozaparcie umacniali zgłaszający się niemalże codziennie kupcy, wietrzący dobry interes do zrobienia na samotnej wdowie z dwójką nieletnich dziewczynek. Każdego dnia słyszałam, jak nawet dobrzy znajomi doradzali mamie „pozbycie” się domu. Mówili, że za pieniądze ze sprzedaży mogłaby sama żyć spokojnie i nam zabezpieczyć przyszłość, że powinna korzystać z okazji, póki nieruchomości są w cenie, że dom to, owszem, fajna sprawa, ale bez obciążonej hi-

26

poteki, że lepiej niech czym prędzej korzysta z okazji, zanim na wszystkim położy łapę komornik i zostanie z niczym.

Zmasowanemu atakowi „doradców” zdawało się nie być końca, a od słuchania ich obłudnych argumentacji moje serce truchlało ze strachu, że ktoś wreszcie przekona mamę, jednak mama to twarda sztuka.

Dostałyśmy po tacie rentę rodzinną, zaś mama, która jest profesorem anglistyki i uniwersyteckim wykładowcą, rzuciła się w wir pracy i to jakiej! Zgodnie z zasadą, że doba ma dwadzieścia cztery godziny, lecz gdy się postarać, ma ich trzydzieści sześć, wzięła dodatkowe zajęcia na prywatnej uczelni i wieczorowej szkole policealnej, nocami recenzowała prace dyplomowe lub sprawdzała prace semestralne. Przy tym nadal dbała o swój wysoki status zawodowy. Wśród naukowców panuje przekonanie, że jeśli ktoś nie idzie do przodu, ten się cofa, więc w krótkich wolnych chwilach przeglądała nowości wydawnicze, studiowała literaturę przedmiotu, pisała skrypty i artykuły do fachowych czasopism, chociaż pieniędzy z tego było tyle, co kot napłakał.

Niestety, nawet najlepsze chęci nie zastąpią umiejętności. Proste z pozoru czynności jeżyły się problemami, a te przekładały się na górę niemytych garnków, stosy brudnej bielizny, centymetrowe warstwy kurzu pod meblami, bujne chwasty na grządkach, nietrafione zakupy nieodrobione na czas lekcje i obiady po dwudziestej. Telefoniczne konsultacje z mamą niewiele pomagały bo my, gosposie-analfabetki, nieustannie wpadałyśmy w jakieś nowe pułapki. A to tak wykrochmaliliśmy obrusy że

stwardniały na deskę i musiałyśmy je polewać wodą, aby zdjąć ze sznura, a to do kotletów mielonych zamiast soli dodałyśmy sody kaustycznej, a to podczas pieczenia szarlotki, za sprawą amby2 znikła jedna

Amba to jest takie zwierze, co napotka, to zabierze.

kartka z książki kucharskiej, więc skończyłyśmy ją jako... sernik. Niezrażone wpadką, jakiś czas później, upiekłyśmy mamie tort urodzinowy. Wyglądał całkiem, całkiem, ale znów coś się pokićkało, bo tak go nasączyłyśmy spirytusem, że zapalił się od świeczek i doszczętnie spłonął.

Minął blisko miesiąc, zanim załapałyśmy, o co w tym wszystkim biega. Najpierw odkryłyśmy iż czas jest towarem równie deficytowym jak pieniądze, i nie tylko trzeba go oszczędzać, lecz skrupulatnie nim zarządzać. Opracowałyśmy grafik i kolejność wykonywanych prac. Na lodówce przykleiłyśmy kartkę do natychmiastowego notowania, czego akurat zabrakło i co należy załatwić, a do menu wprowadziłyśmy potrawy na miarę naszych kulinarnych umiejętności. Po trzech miesiącach byłyśmy już zawodowcami i nawet potrafiłyśmy wygospodarować sporo wolnego czasu. Po roku wprowadziłyśmy dyżury A po dwóch, zaczęłyśmy nawet dorabiać poza domem. Raz w tygodniu sprzątałyśmy punkt kserograficzny przy ulicy Mickiewicza.

Jednakże to tylko jedna strona konsekwencji naszego wyboru.

Zawsze donaszałam po Liii ubrania i w najkoszmarnej-szych snach nie wyśniłam, że nadejdą czasy, w których będę donaszać je jeszcze sama po sobie. Ale cóż, życie przerasta wyobraźnię.

Któregoś wyjątkowo chudego miesiąca, gdy obie z Liii wyrosłyśmy ze wszystkich sukienek, spódnic, spodni oraz bluzek, a na nowe rzeczy brakło pieniędzy, mama nagle ujawniła krawiecki talent do przeróbek. Usiadła przy maszynie i z dwóch przyciasnych spódnic zrobiła jedną „na miarę”, z trzech bluzek - dwie. Wkrótce w przeróbkach osiągnęła mistrzostwo świata. I tak moja kolekcja wzbogaciła się w niepowtarzalne wdzianko wykrojone z czterech swetrów i przedpotopowego szalika, - czapkę z rękawa swetra, torbę na książki

28

z cholewek starych kozaczków, a nawet balową sukienkę ze zdekompletowanej zasłony

Tę sukienkę zapamiętam do końca życia, materiał w niektórych miejscach wyblakł, i te wyblakłe plamy jakkolwiek byśmy nie kombinowały wypadały akurat na tyłku.

Uważałam, że to okropny obciach, lecz mama natychmiast znalazła chwalebny przykład.

- Scarlett O'Hara z Przemineło z wiatrem też przerabiała zasłony na suknie i korona jej z głowy nie spadła, lecz jeśli uważasz, że tobie to nie przystoi, od razu dajmy sobie z szyciem spokój. -1 tak wobec alternatywy: iść na zabawę w tym, co mam, czy zostać w domu z poczuciem dumy że uniknęłam obciachu, małostkowo wybrałam zabawę.

Obie z siostrą byłyśmy skazane na garderobiany koszmar, jednak z racji, że Liii jest piękna i nawet w rondlu na głowie zachowałaby prezencję modelki, zaś o mnie powiedziec „przeciętna” byłoby już komplementem, każda z nas inaczej znosiła ten stan. Liii lubiła fascynować ekstrawagancką odmiennością, ja chciałam być taka, jak

inne. Ona sto razy nicowane i sztukowane ciuchy nosiła z wdziękiem niczym paryskie kre-acje, ja czułam się jak strach na wróble i marzyłam o markowych fatalaszkach.

Ale dość wspominek. Faktem jest, że mimo ładnego domu nasza sytuacja materialna była gorsza niż niejednego mieszkańca bloku. Nawet socjalnego. Czy był to jednak powód, by bazgrać po ścianach, łamać drzewa, wyrwać sztachety czy sikać po ścianach? Jaki sens ma gnojenie wszystkiego dokoła, gdy logika podpowiada, że im mniej się ma, tym bardziej należy to szanować. A może wandalizm jest przypadłością charakteru, która sprawia, że ład i porządek kłują w oczy? A może bieda to nie fatum, od którego nie ma ucieczki, lecz sposób na życie?

Musiałam przemyśleć ten problem, gdyż dotąd żyłam w przekonaniu, a nawet w poczuciu winy, że świat pełen jest ludzi biednych, a winę za ten stan ponoszą niebiedni egoiści. Sama zaliczałam się i do niebiednych, i do egoistów

Nudny referat

Nasza buda, czyli liceum imienia Tadeusza Boya-Żeleńskiego, w wojewódzkich rankingach szkół od lat mieści się w pierwszej dziesiątce, co oznacza, że wymagania wobec uczniów są wysokie. W tym stanie rzeczy, używając kolarskiego terminu, pedałowalam sobie gdzieś w środku peletonu, daleko za liderami, chociaż sporo przed maruderami. Moja pozycja zależała od dziedziny W sprawach urody o palmę pierwszeństwa walczyły zawzięcie Matylda Bosek, Anita Wiriacka i moja przyjaciółka Iza Solska. Walczyły, chociaż są zupełnie różne pod każdym względem. I tak Matylda, smukła, długonoga, z krótką, staranną fry-zurką, o doskonałym owalu twarzy i nieskazitelnej w swym pięknie regularności rysów, z gracją księżniczki nosi wytworne, stonowane kolorystycznie rzeczy, zawsze tylko markowe. W zachowaniu - pełny bon ton. Iza złośliwie komentuje, że to uroda dla rzadkich koneserów, bo tylko tacy mogą gustować w kimś, kto wygląda, jakby połknął kij od miotły. Matylda ma narzeczonego, tak narzeczonego, nie żadnego tam chłopaka. Wiadomo o nim tylko tyle, że studiuje medycynę.

Anita ma gładką, oliwkową skórę, duże zielone oczy i piękne usta słodkiej panienczki z secesyjnych laurek. Jej urodzie nic nie jest w stanie zaszkodzić i może z tego powodu w ekstrawagancji nie uznaje żadnych kanonów mody ani w ogóle jakichkolwiek ograniczeń. Zaskakuje każdego dnia. Potrafi do sfatygowanych dzinsów założyć czerwony gorsecik i koronkową bluzkę, albo do szpilek skarpetki w zajączki, albo do falbaniastej spódnicy pasek z perełek oraz podkoszulek z nadrukiem: Kocham Nowy York. Włosy ma czasem rude, czasem czarne, czasem fioletowe, czasem nawet zielone. W uszach i w pępku nosi kolczyki, podobno z diamentami, lecz Iza twierdzi, że w rzeczywistości są to odpryski z rodzinnego kryształu, który spadł Wiriackim z szafy.

Mimo jej garderobianych dziwactw w jej niepospolitej urodzie tkwi coś tak magnetycznego, że w każdym, a szczególnie w chłopcach, rodzi się chęć otoczenia jej opieką.

No i moja serdeczna przyjaciółka - złote, puszyste loki, jasna, perłowa cera, niebieskie oczy z czarną oprawą i te rozbrajające dołeczki, które przy jej wyrazistej, żywej mimice prawie nie znikają z policzków. Podobnie jak Matylda uznaje wyłącznie markowe ciuchy z najwyższej półki, lecz w siodłach, landrynkowych

tonacjach. Czasem nawet ociera się o kicz, ale nigdy nie przekracza granicy dobrego smaku. I jeszcze jedna niezwykłość Izy - wewnętrzna świetlistość, która wyróżniała ją nawet w największym tłumie. Jakby tego wszystkiego było mało - niezrównana z niej kokietka.

Reasumując, Matylda, Anita i Iza są czymś w rodzaju brylantowych wierzchołków trójkąta zamykającego w swoim wnętrzu mniej lub bardziej atrakcyjną resztę dziewcząt, a więc i mnie.

Jeśli chodzi o męskich liderów, sprawa jest trudniejsza, gdyż kryteriów oceny nie da się sprowadzić do mody i urody Zresztą, na tej niwie, poza Irkiem Podgórskim, żaden nie rzuca na kolana. Tylko jemu natura nie poskąpiła ani wspaniałej powierzchowności, ani inteligencji, ani zamożnych i hojnych rodziców. O letnim nurkowaniu w Morzu Koralowym czy zimowym szusowaniu w Alpach opowiada tak, jakby Me-lanezja leżała na Bałtyku, a Szwajcaria w Sudetach. Krótko mówiąc: luz blues.

Dla równowagi chłopców też zamknę w trójkącie, lecz na podstawie wyróżników, które są najbardziej widoczne. Najpierw zalety umysłu, czyli Emil Dębski. Emil, zdaniem Irka, wygląda jak wkurzony Chopin przy fortepianie, lecz pod tą cokolwiek nieuporządkowaną fryzurą kryje się tytan intelektu o chłonnej pamięci, dojrzałej logice, wielkim czytaniu i wiedzy niemalże uniwersyteckiej. Jednym słowem - mózg Einsteina. I chociaż Emil piłką nie potrafiłby trafić w drzwi stodoły, posiada tytuł mistrza województwa i wicemistrza Polski w szachach, a ponieważ szachy są dyscypliną sportową, więc ma wielkie fory nawet u Kacperka. Z powodu swoich niezwykłych uzdolnień Emil dla nauczycieli jest dyżurnym olimpijczykiem z wiedzy o..., dla kolegów - kołem ratunkowym na klasówkach i sprawdzianach, dla przeciętniaków z naukowymi ambicjami - źródłem kompleksów.

Teraz zdolności przywódcze, czyli Tomek Kocanek - starosta klasy, przewodniczący samorządu uczniowskiego, zapalony turysta, niestrudzony organizator wycieczek, gorliwy obrońca przyrody, jednym słowem dusza działacza. Gdyby nie Tomek, klasa pewnie umarłaby z nudów.

Dziewczyny zazdroszczą sobie nawzajem wszystkiego: Matylda totalnie krytykuje Anitę i Izę, Iza - Matyldę i Anitę, Anita - Matyldę i Izę. Chłopcy raczej nie wchodzi sobie w drogę. Emil nie zazdrości Irkowi dziewcząt, Irek Tomkowi pełnionych funkcji, a Tomek Emilowi stopni.

Wewnątrz tych trójkątów tworzymy paczki przypominające zachodzące na siebie zbiory egzystencjalnej szarzyzny, ale zdarza się od czasu do czasu, że ktoś ściąga na siebie uwagę klasy Najczęściej jakimś wyglupem. Zgodnie z tą zasadą padło i na mnie. A było to tak.

Pani Babińska, czyli polonistka i nasza wychowawczyni, zwana w skrócie Babcią, co tydzień wyznacza kogoś do napisania referatu na dowolny temat. Stopień za wysiłek zależał

32

od zainteresowania i ożywienia dyskusji, jaki referat wywołał w klasie. Ponieważ można fantazjować zarówno o plamach na Słońcu, jak i erotycznych perypetiach Casanovy większość stara się błysnąć czymś oryginalnym. Dorota Wyszowska, czyli Wyszka, napisała o jakiejś wakacyjnej przygodzie, Matylda o kanonach mody

na przestrzeni wieków, Tomek o zdobywcach Korony Himalajów, Irek o rafach koralowych, a Malwina Rataj o Irku, chociaż dla niepoznaki tytuł referatu brzmiał Histoña, która śni mi się każdej nocy, a bohaterem snu był Piękny Znajomy.

Kiedy przyszła moja kolej, przekonałam się, że dowolny temat jest trudniejszy niż temat zadany gdyż stojąc przed oceanem możliwości, nie wiadomo, co wybrać, więc człowiek jest w sytuacji tego osiołka, któremu to w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano.

Szukałam natchnienia za oknem swojego pokoju, lecz co ciekawego można znaleźć w krytych blachodachówką domkach jednorodzinnych i dolinie zamkniętej nudnymi stokami lesistych wzgórz na horyzoncie? Kicha. Prędzej znalazłabym temat w głębi swojego serca, próbując odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jednych się kocha, innych nie. Może ci, przez wszystkich kochani, rodzą się z wpisaną w geny instrukcją, jak działać na podświadomość innych, żeby wzbudzać miłość, a wtedy miałby rację Paulo Coelho, pisząc w Alchemiku, że kocha się za nic, bo nie istnieje żaden powód do miłości? Niestety pomysł był idiotyczny Każdy głupi od razu poznałby, że tak naprawdę roztrząsam problem, dlaczego żaden chłopak na mnie nie leci i stanę się obiektem kpin, jak Malwina z tym swoim Pięknym Znajomym ze snów.

Wtem spojrzałam na oprawiony w ramkę rysunek taty i zadałam sobie pytanie, co on by mi doradził? Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki doznałam olśnienia.

Napiszę o psikusach, jakie potrafi sprawiać ludzkie oko, i jak sobie radzą z tym architekci. Bo oko, nawet sokole, z jakiegoś powodu nie trawi linii ani prostych, ani równoległych i gdy coś jest proste albo równoległe, zaraz to wykrzywi. Gdyby ateński Partenon został zbudowany dokładnie według linii i cyrkla, wyglądałby niechlujnie, jednym słowem byłby budowlanym koszmarem, gdyż schody sprawiałyby wrażenie wgiętych, kolumny - wciętych i na dodatek rozłazących się na boki. Dzięki architektom, którzy skorygowali złudzenia optyczne wypukłościami oraz zbieżnym ustawieniem kolumn, budowla prawie od dwóch i pół tysiąca lat jest wzorem ładu, piękna i harmonii.

Przez cały tydzień wertując książki taty, wyszukiwałam podobnych przykładów i sama byłam zdziwiona, że znalazłam ich tyle. Niestety, mój referat nie rzucił na kolana. Gorzej. Po pięciu minutach w klasie rozległy się szepty, po dziesięciu gwar był taki, że nie słyszałam własnego głosu, a Babcia raz po raz musiała apelować o spokój.

Dyskusja wypadła koszmarne. Najpierw nikt nic nie mówił, nawet Iza nabrała wody w usta, wreszcie zabrał głos Kamil.

- Widać, że Karla się starała, tylko trudno zrozumieć po co. Gdyby opublikowała ten referat w internecie, być może kogoś by zainteresowała. W końcu na świecie sporo jest osobników z odchyłami.

- Dostajesz ocenę niedostateczną! - zawołała Babcia.

- Dlaczego? To jest tylko mój głos w dyskusji. A swoją drogą już za samo słuchanie takich nudziarstw powinien być przyznawany dodatek specjalny

- Albo dodatkowy dzień wolny od nauki - padło z klasy, lecz nie rozpoznałam głosu. Dopiero teraz do akcji wkroczyła Iza.

- A mnie się podobało. Z referatu Karli można wysnuć wniosek, że teoria względności obowiązuje nie tylko w astrofizyce.

Po jej wypowiedzi znów zapadła kłopotliwa cisza. Wszyscy siedzieli w znudzonym bezruchu, jedynie Emil coś z zapamiętaniem pisał, a w chwilach namysłu drapał się ołówkiem w głowę.

- Kto chce jeszcze zabrać głos na zaprezentowany temat? Czyżby naprawdę nikt nie miał żadnych pytań? - Biedna Babcia robiła, co mogła.

- Może ja - Emil uniósł ołówek. - Powietrze jest jednorodne, na czym więc polega owo złudzenia optyczne? Jaki konkretnie czynnik wywołuje przykładowo... łukowatą aberrację?

- Nie zastanawiałam się nad tym, to zagadnienie z fizyki.

- Więc przeniosę się na poletko architektury Czy wypukłość korygującą pozorną wklęsłość oblicza się konkretnym wzorem, czy używa się jakiegoś współczynnika, czy może robi się to na oko?

- Nie wiem.

- Czy ta korygująca wypukłość jest odcinkiem okręgu czy paraboli?

-Nie wiem...

- Czy tak, jak w przypadku odkształceń ciał stałych, ową optyczną wklęsłość też oznacza się strzałką ugięcia?

-Nie wiem...

- Zakładam, że również nie wiesz, jak wylicza się zbieżność kolumn.

- Nie, ale kolumny zewnętrzne są najmocniej odchylone od pionu.

- A czy ich osie na przedłużeniu muszą przeciąć się w jednym punkcie, czy jest to bez znaczenia?

- Nie jestem pewna, ale chyba w jednym punkcie.

3 Aberracja - wada soczewki, obiektywu, zniekształcająca albo zaciera-j ąca obraz; pozorne odchylenie położenia gwiazd wskutek ruchu Ziemi.

Dyskusja w wykonaniu Emila polegała na zaganianiu oponenta w kozi róg, w moim przypadku poszło mu nadzwyczaj łatwo. Udowodnił, że mówię o sprawach, o których nie mam zielonego pojęcia. Może rzeczywiście lepszy byłby Paulo Coelho? Albo może kwiecisty opis zmagania z chwastami na grządce z pietruszką? Albo z gąsienicami na kapuście? Albo z własną słabością w sporcie?

- Czy ktoś chciałby jeszcze zabrać głos? - spytała Babcia zachęcająco.

Nikt nie chciał. Nawet Iza. Dopiero na przerwie wzięło ją na gadanie.

- Co ci strzeliło do głowy pisać takie bzdety? Wszystko brzmiało jak jakiś cholerny bełkot: prosta, która jest krzywą, krzywa, która robi za prostą, równoległe, które się rozłazą, nierównoległe, które coś tam... sramtam, tamtaramtam. Wypukłe... srukłe... wklęsłe... sręśle... aberracje, sracje... Rany! Jedynie Emil coś z tego kumał, a i to, jak się okazało, nie do końca. Ty sama chyba też. Przynajmniej takie sprawiałaś wrażenie. Lecz głowa do góry mogło być gorzej, wszyscy tylko ziewali, a mogli się śmiać - rzuciła pocieszająco, aby nie pognebiać mnie do spodu.

Godzinę później nikt już nie pamiętał mojego referatu, tylko ja, jak łoś przeżuwać, międlilałam w sobie gorycz bla-mażu. Dałam plamę niby jakaś durnowata masochistka intelektualna, bo kosztem sporego nakładu pracy Gdyby wybierano nudziarę roku, zostałabym królową.

Wieczorem stanęłam na wadze. Wskazówka nieubłaganie dobiegła do sześćdziesiątki. No tak, jestem nudną, tłustą kluchą. W moim przypadku sport nie

wystarczy postanowiłam zrezygnować z kolacji.

Trotest

Nazajutrz Tomek wrócił z comiesięcznej nasiadówki Rady Szkoły na którą był czasem zapraszany jako przewodniczący samorządu uczniowskiego, kazał nam się uciszyć i oznajmił krótko:

- Słuchajcie, ni z gruszki, ni z pietruszki Rada chce nam zmienić patrona budy

Proponuję totalny protest.

- Coś takiego! A komuż to Boy-Żeleński solą w zadku? Podali przynajmniej jakiś powód? - spytał Emil.

- Był ponoć wojującym antyklerykałem.

- Nie ponoć, a na pewno i jako taki nie nadaje się na patrona szkoły w katolickim kraju - odezwała się Anielka Świątek, zwana Świątą.

- Bzdura, Boy nie walczył ani z religią, ani z Kościołem, ani z klerem. Zwalczał wyłącznie kołtuństwo - wyjaśnił z pasją Tomek.

- Niech zgodnę, to inicjatywa naszej pani katechetki! -zawołał Emil, unosząc w górę ołówek.

-Trafiłeś.

- Zastawianie pojedynczych organów jest ryzykowne, ale daję głowę, że prawdziwym powodem są Dziewice konsystorskie. Niesłusznie, niesłusznie, facet tym jednym wierszem zasłużył sobie na pomnik.

- Też tak uważam, lecz za uwiecznienie w poezji tego nieszczęśnika, który dostał takiej manii, że chciał tylko od Stefanii. Znał Tadzio życie, mądrze pisał - poparł Emila ktoś z tylnych ławek.

- No właśnie. Bo w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz - podsumował Bartek Bugajski.

- Jesteście świnię - oburzyła się Anielka. - Boy był wstrętnym rozpustnikiem, a przecież...

37

- .. .Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo tylko od pasa w górę, reszta to diabelska robota - wtrącił gładko Emil, naśladując udatnie jej głos.

- .. .więc świętego to wyróżnia, że się nigdy nie wypróżnia - dorzucił Janek Wolski, który z upodobaniem wszystko rymował.

Klasa ryknęła śmiechem.

- Świnię! Takie kpiny podpadają pod obrazę uczuć religijnych.

- Dla mnie mogą zmienić patrona tylko na Lukę Skywał-kera - wtrącił Mariusz Ostrowski, wielki fan fantastyki naukowej, a w szczególności Gwiezdných wojen.

Żartom nie było końca. Gdyby taki problem wynikł w klasie o profilu humanistycznym, do jakiej chodziła niegdyś Liii, argumenty „za” i „przeciw” byłyby pewnie rzeczowe, poparte fragmentami utworów, przykładami z życia pisarza, analizą epoki, w której żył i tworzył, związkami z naszym miastem albo przynajmniej regionem, rozważaniami, jaki stanowi wzór dla współczesnej młodzieży i tym podobnymi mądrymi rzeczami. Nasza klasa dyskutowała chaotycznie, przerzucała się cytatami bardziej obliczonymi na zgorszenie Anieli Świątek niż dowartościowanie samego patrona. W końcu zabrakło cytatów, lecz nie ochoty do wygłupów. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, nikt nikogo nie słuchał, a kiedy rej -wach sięgnął

decybelowego zenitu, Tomek stanął na krześle i wrzasnął:

- Spokój!!! - Gdy już ucichło, ciągnął dalej: - Ponieważ decyzja Rady zapadła niewielką przewagą głosów, złamano paragraf osiemnasty punkt szósty Statutu szkoły, czyli, krótko mówiąc, bez naszej opinii skierowano uchwałę prosto do Sejmiku Samorządowego, proponuję więc protestacyjny Kto jest za?

38

Z wyjątkiem Anieli, Marka Szalacha i Kamila Kostki, wszyscy podnieśli ręce.

- Wiedziałem, że można na was liczyć. Podobno tym z Tuwima też chcą zmienić patrona.

- A Tuwim czym podpadł? Lokomotywa jest niesłuszna ideowo, czy co? - zainteresował się Darek Jurski.

- Pogłębiała analiza Murzynka Bambo dowiodła, że wiersz zawiera treści rasistowskie - wyjaśnił z właściwą sobie ironią Emil.

- A do tego na cześć rui i rozpusty napisał Dytyramb o wiosnie. Ani jedno, ani drugie nie jest poprawne politycznie - dodał Bartek Bugajski.

-1, co zakrawa na skandal, ani jednym słowem nie wspomniał o Skywalkerze - bez sensu zauważył Mariusz.

- Nie udawajcie, że nie wiecie, w czym rzecz. Tuwim był Żydem - Aniela powiedziała to talem tonem, jakby słowo „Żyd” było synonimem jakiegoś kosmicznego, niewyobrażalnego zła.

No i zaczęło się od nowa.

- Przedszkolakom z piątki niech zabiorą Brzechwę. Też wyznania mojeszowego.

-1 skojarzył Trumana z trumną, czym z czterdziestoletnim wyprzedzeniem obraził bratni naród amerykański...

- A do tego napisał Kaczkę dziwaczkę...

- Skandal! Kaczkę w paczkę, paczkę na taczkę...

- Mickiewicz miał matkę Żydówkę, a u Żydów narodowość dziedziczy się po matce...

- Mądrze, bardzo mądrze, wszak ojcostwo rzecz wątpliwa...

4 Harry S. Truman (1884-1972) - amerykański polityk. W latach 1945-1953 prezydent USA. Okres jego prezydentury owocował w liczne historyczne wydarzenia: zakończenie drugiej wojny światowej, początek zimnej wojny, utworzenie ONZ, a także część wojny koreańskiej.

- Dlatego nasz narodowy wieszcz to Mosiek pełną gębą. W czasie Wiosny Ludów na czele legionu wyganiał papieża z Rzymu. Czy tak postąpiłby Polak katolik?

- A Kościuszko był antyklerykałem...

- A Platon homosiem...

- Homosiów popieram, więcej lasek zostaje dla facetów hetero...

- Powinni coś znaleźć Szekspirowi. Nie musielibyśmy piłować tego cholernego Makbeta...

-1 Słowackiemu. W połowie Ukrainiec, a Mazepa wcale nie lepszy od Makbeta...

- Słusznie! Mazepę i Makbeta niech kopnie chabeta - zry-mował Janek Wolski.

Takie mniej więcej opinie padały ze wszystkich stron, a gwar potężniał z każdą chwilą. Tomek z wysokości swojego krzesła nadaremnie próbował uporządkować

dyskusję. Wyręczył go w tym dzwonek, a wraz z dzwonkiem do klasy wszedł pan od

fizyki z dziennikiem pod pachą.

Na następnej przerwie Tomek już bez przeszkód oznajmił nam:

- Porozumiem się z samorządem uczniowskim z Tuwima i razem coś postanowimy.

No i postanowili zorganizować wiec protestacyjny najpierw pod Ratuszem, gdzie urzędował prezydent oraz przewodniczący rady miasta, później przed Urzędem Wojewódzkim, gdzie z kolei mieściło się kuratorium i urząd marszałkowski. I tu, i tu Tomek miał odczytać stosowną petycję, a jej kopie wręczyć najwyższym oficjelom z kuratorem oświaty włącznie. Już same nazwy instytucji budziły respekt, więc rzecz wymagała starannego przygotowania.

Tomek, uznany przez aklamację za przywódcę przedsięwzięcia, porozdzielał między nas obowiązki według własnego uznania, czyli niesprawiedliwie, ale nikt specjalnie nie pro-

testował. Jedni pisali petycję, drudzy zbierali podpisy pod tą petycją, inni układali hasła do skandowania, a jeszcze inni transparenty do malowania. Nie wiem, czy motorem naszego działania była chęć obrony Boya-Żeleńskiego, zwykła przekora, talent agitacyjny Tomka, czy po prostu wszystko po trochu. Dostałam przydział do grupy od transparentów. Grupa dla wygody podzieliła się na mniejsze grupki. Ja znalazłam się w jednej wraz z Izą, Wyszka i Malwiną. Miałyśmy wymyślić i napisać na prostokątnych sklejkach przybitych do drążków cztery hasła, najlepiej niebanalnych, mocnych i wpadających w oko, co wcale nie jest takie łatwe.

Propozycji było ze sto, lecz żadna ani nie porażała oryginalnością, ani mocą, ani też nie rwała oczu. W końcu Iza zawołała:

- Mam! Słówka Boya to nasza ostoja.

- Zamiast Słówka dajmy Myśli - zaproponowałam.

- Myśli? Dlaczego akurat Myśli? - zdziwiła się Malwina.

- Taka analogia do Czerwonej książeczki z myślami Mao Zedonga, katechizmu każdego chińskiego komunisty, a w Chinach podobno wszyscy są komunistami.

- Super. W takim razie raz niech będą Słówka, raz Myśh. Będzie jedno hasło mniej do wymyślenia.

-Kto z Boyem wojuje, ten... ten bluesa nie czuje-błysnęła znów Iza.

- Fajne, chociaż trąci abstrakcją - przyznałyśmy zgodnie.

- A może parafraza przypowieści biblijnej? Kto z Boyem wojuje, ten od boi ginie - zaproponowała, dusząc się śmiechem Wyszka.

- Zbyt udziwnione. -I co z tego?

- No właśnie.

Namalowaliśmy napisy białą farbą na niebieskim tle, a była ku temu najwyższa pora, gdyż już nazajutrz, na długiej przerwie, mieliśmy spontanicznie protestować.

41

Nasze hasła nie porażały oryginalnością. Można powiedzieć, ginęły w tłumie różnorodności od tak poważnych jak: Chcemy szkoły wolnej od polityki, Szkoła krzewicielką wiedzy, nie poglądów, Domagamy się wiedzy wolnej od politycznego balastu poprzez bardziej ogólnikowe: Kultura broni się sama, aż po czystą abstrakcję autorstwa Anity: Bez boja walczyć o Boya. Zapowiadał się fajny happening.

Wszystko przebiegło nadzwyczaj sprawnie. Zanim nauczyciele zdążyli załapać, co jest grane, razem z uczniami z Tuwima, już staliśmy na Rynku przed Ratuszem, a

Tomek z ratuszowych schodów, niczym z trybuny, przez przenośny megafon z tubą, czytał petycję i rzucał hasła, które z zapalem skandowaliśmy

Przechodnie przystawali zaciekawieni, we wszystkich oknach Ratusza pojawiły się głowy urzędników, w końcu jeden z nich wyszedł, wziął od Tomica megafon i zawołał:

- Wasza demonstracja jest nielegalna. Proszę natychmiast, powtarzam, natychmiast się rozejść!

Odpowiedzią były śmiechy gwizdy i okrzyki, od których dyrektorowi zwiędłyby uszy gdyby je słyszał. Urzędnik uciekł jak zmyty a Tomek dał znak do wymarszu pod Urząd Wojewódzki. Ruszyliśmy, śpiewając krótkie przyśpiewki układane na poczekaniu przez Janka Wolskiego, minęliśmy pomnik Kościuszki i weszliśmy w wąską uliczkę jego imienia prowadzącą z Rynku w kierunku Grunwaldzkiej. Kiedy skręcaliśmy na rozległy plac zwany nieformalnie placem defilad, stanęła nam na drodze spora grupa młodych ludzi w kominiarkach, chustkach na twarzach albo przynajmniej głęboko nasuniętych na oczy kapturach. Myśleliśmy, że chcą do nas dołączyć, tymczasem poleciały w naszą stronę wyzwiska, które po chwili uprościły się do dwóch skandowanych słów: Żydzi! Pedały! Żydzi! Pedały!... Potem rozwinęli transparent z hasłem: Zrobimy z wami, co Hitler z Żydami.

42

- Nie zatrzymujemy się, naprzód! Naprzód! - komenderował Tomek.

Idący całkiem z tyłu nie wiedzieli, co zaszło z przodu, byli nawet przekonani, iż to nasi ni z gruszki, ni z pietruszki zaczęli wznosić hasła przeciw Żydom i pedalom, lecz mimo krótkiej dezorientacji niczym taran parliśmy do przodu. Ci anty nie zamierzali ustępować. Gorzej, z ich strony spadł na nas grad kamieni, kijów, puszek po piwie, coli, plastikowych butelek i różnego innego paskudztwa.

Oho, robiło się niewesoło. Nagle jakiś impuls sprawił, że jednocześnie i my i tamci zaczęliśmy biec ku sobie. Chłopcy w okamgnieniu wysforowali się do przodu i z bojowym wrzaskiem szepili z tamtymi. Poszły w ruch pięści. Tamci zza pasków i z rękawów powyciągali pały i łańcuchy, naszym za oręż posłużyły tablice z hasłami, plecaki i torby.

Naciskana przez tłum, poszturchiwana, wraz z innymi przewalałam się raz w jedną, raz w drugą stronę, tracąc z oczu Izę, Wyszkę i Malwinę. Kilka razy dostałam jakąś puszką czy butelką, lecz całą uwagę skupiałam na tym, żeby zachować pion, gdyż wywrotka groziła rozdeptaniem na placek. A było coraz trudniej. Chociaż mieliśmy liczebną przewagę, to dziewczyny okularnicy chuderlaki i zwykłe strachotłuki, nie stanowiły żadnej siły bojowej, co najwyżej bierną masę utrudniającą swobodę ruchów Tymczasem tamci, bardziej agresywni i lepiej zaprawieni w zadymach, wbili się klinem w środek naszej grupy i rozpychali boki w kierunku chodników, gdzie wcześniej przewidując porozstawiali swoich osiłków, aby ci lali nas od skrzydeł. Czyli kicha.

Miotana w różne strony zostałam w końcu wepchnięta w wir największy bijatyki. Tu nawalanka trwała na całego i bez pardonu. Dookoła rozlegały się wrzaski, przekleństwa, wyzwiska, dzwoniły łańcuchy, tępo trzaskały pałki i kije, gdzieś z boku sypały się tłuczone szyby... Horror. Teraz utrzymanie się na nogach wymagało i skupienia, i szczęścia. Kilka razy oberwałam w

plecy czymś twardym z taką siłą, że na chwilę straciłam dech. Rozglądałam się za jakąś bezpieczną drogą ucieczki, lecz z każdej strony było podobnie.

Wtem znalazłam się obok Tomka. Z zakrwawioną koszulą i rozwianym włosom, pogiętym megafonem, jak w amoku, siał spustoszenie wśród przeciwników.

Najwidoczniej nad naszym przywódcą czuwała opatrność, która akurat mnie wyznaczyła na jego Anioła Stróża. A było to tak: moją uwagę przyciągnął zachodzący Tomka od tyłu dryblas w kominiarce, z nadtłuczoną butelką w łapie dokładnie w momencie, kiedy brał zamach. Bez głębszego namysłu walnęłam dryblasa w łeb swój ą tablicą z hasłem. Chciałam uderzyć płaską stroną, lecz pechowo trafiłam kantem. Napastnik padł na wznak niczym manekin, a jego kominiarka powoli nasiąkała nienaturalnie szkarłatną krwią.

- Jezu!!! Zabiłam człowieka! - Zzmroziło mnie lodem.

Kimkolwiek była ofiara, należało ją ratować. Mimo roz-pierduchy wokół schyliłam się, odsłoniłam mu twarz i... doznałam szoku. Pod kominiarką zobaczyłam Marka Szala-cha!!!

Tymczasem od strony Urzędu natarła na nas zdyscyplinowaną ławą policja, a właściwie jednostka do zadań specjalnych. Równocześnie rozbrzmiały dudniący nadawane przez policyjne megafony apele nawołujące do spokoju i natychmiastowego rozejścia się. W efekcie zamieszanie wzrosło jeszcze bardziej. Jedni chcieli uciekać, inni w służbach zobaczyli nowego wroga do zaatakowania, jeszcze inni chyba niczego nie zauważyli i kontynuowali bijatykę, jakby nigdy nic. Markowi Szalachowi, jeśli jeszcze żył, groziło zadeptanie na śmierć. Cóż, nawet zdrajcy należąca jest pomoc jak psu buda, więc chwyciłam go za rękę i próbowałam odciągnąć gdzieś na bok, choć tak na oko nie było gdzie.

- Karla, zwariowałaś? Uciekaj! - Jak spod ziemi wyrosła przy mnie Iza i pociągnęła w kierunku chodnika. Po chwili dołączyła do nas Wyszka. Ta, w przeciwieństwie do Izy, była bosa i potargana, jakby przedzierała się przez pole jeżyn.

Przykucnęłyśmy za jakimś samochodem, jednak ten tak się kolebał pod naporem tłumu, że łada moment groził wywrotką.

- Chyba nie wyjdziemy stąd żywe - jęknęłam, mając wciąż przed oczami nieruchomą twarz Marka.

- Wyjdziemy Widzicie tamto uchylone okno? Za mną! -Iza ruszyła przodem, ja z Wyszką za nią. Wylądowałyśmy w czyj ej s piwnicy na przyzbie węgla. Byłyśmy całe w paj ęczy-nach, kurzu i pyłe węglowym, ale bezpieczne.

%eperkusje

W wieczornych wiadomościach w telewizji lokalnej pokazano krótką migawkę z naszego wiecu pod Ratuszem i obszerną relację z awantury na ulicy Grunwaldzkiej. I to od razu bijatykę, a prezentowano najbardziej drastyczne wypadki: tamtych skandujących w naszą stronę swoje bluzgi, nasze hasła oraz Tomka z megafonem przy ustach, lecz jego słowa zagłuszał zza ekranu głos lektora relacjonującego zajście. Potem realizator zrobił cięcie i zaserwował co smakowitsze migawki z bijatyki: tu jeden z tamtych okłada na oślepał pałką naszych; tam nasi tłuką tamtych deskami z hasłami; tu jakaś dziewczyna (rany Anita!) siedzi na plecach zakapturzonego dryblasa i okłada go pięściami po głowie; obok tamci okładają łańcuchami naszych osłaniających się plecakami; dalej jeden z naszych chwycił jednego z

tamtym za bary i przyłożył kolanem w brzuch; tam kopią naszego leżącego bez ruchu na jezdni; w innym miejscu odwrotnie, nasi kopią jakiegoś tamtego... Wreszcie oddziały specjalne w czarnych uniformach i w pełnym uzbrojeniu, ukryci za przezroczystymi tarczami karnie i metodycznie nacierają na tę kotłownicę, wyciągają z tłumu pojedyncze osoby i pakują do stojących w pogotowiu więźniarek. Potem znów cięcie i przebitka na nadjeżdżające na sygnale karetki pogotowia i wyskakujących w pośpiechu ratowników medycznych, którzy zabierają w pośpiechu rannych. W podsumowaniu sprawozdawca powiedział, że według wstępnych informacji policja aresztowała dwadzieścia dwie najbardziej agresywne osoby, pomocy lekarskiej udzielono szesnastu poszkodowanym, siedem z nich jest w stanie poważnym, stan jednego jest ciężki. Byłam pewna, ten stan ciężki to Marek. Na szczęście żył, lecz i tak z jego powodu całą noc nie zmrużyłam oka, bo świadomość, że może właśnie ze szpitalnego łóżka przenosi się w zaświaty, działała z mocą końskiej dawki środka przeciwsennego.

Następny dzień był równie pasjonujący jak sama manifestacja. W klasie naliczyliśmy ośmiu nieobecnych. Brakowało: Anity Wiriackiej, Janka Wolskiego, Tomka Kocanka, Darka Jurskiego, Bartka Bugajskiego, Kamila Kostki, Pawła Jarczki oraz Marka Szalacha.

Po dość burzliwej dyskusji na zasadzie, kto co wie, ustaliliśmy że Anita, Janek i Tomek zostali zaaresztowani, Darka i Bartka zabrało pogotowie, poobijany Paweł dochodził do siebie w domu, natomiast nikt nie znał powodu nieobecności Marka i Kamila. Ponieważ byli przeciwni naszej manifestacji, uznano, że pewnie zrobili sobie wolne, a ja nie przyznałam się, co wiem na temat jednego z nich.

Pierwsza miała być matematyka, ale zamiast pana Kęsika przyszła na lekcję Babcia. Wiedzieliśmy teraz się zacznie.

- Jestem wstrząśnięta i oburzona waszym wybrykiem. Zawiedliście mnie, biorąc udział we wczorajszej awanturze. Przynieśliście wstyd naszej szkole, która dotąd cieszyła się zapra-

46

cowaną uczciwie dobrą opinią. Piszą o was w atmosferze skandalu. - Wyjęła z reklamówki i rzuciła na stół plik gazet. - I to teraz, gdy w wojewódzkim rankingu szkół zdobyliśmy zaszczytne trzecie miejsce. Rozumiem, że chcieliście zmanifestować swoją niechęć do zmiany patrona szkoły, lecz droga, którą obraliście, prowadzi donikąd. Nieważne, jakimi kierowaliście się intencjami, władze potraktują ten protest jako zwykłe wichrzycielstwo, chuligaństwo...

Gdyby był obecny Tomek, już dawno zabrałby głos i przedstawił racje naszej strony. Przecież mieliśmy jak najlepsze intencje, szliśmy sobie grzecznie jak barania, a bijatykę wszczęli tamci... my tylko odpieraliśmy ataki i... w ogóle... Fakt, manifestacja skończyła się niefortunnie, jednakże nie było w tym grama naszej winy... Niestety poza Tomkiem nikt nie przejawiał talentów mediatorskich, więc siedzieliśmy zgaszeni, zmuleni i w ogóle kłapnięci. Dopiero gdy Babcia rozkręciła się na dobre i zarzuciła nam niemal zamach zbrój -ny na władze wojewódzkie i samorządowe, ruszyło Emila.

- Pani profesor, faktem jest, że nasza akcja skończyła się wielką awanturą, jednakże pretensje należy kierować do chuliganów, którzy z jakiegoś powodu wzięli nas za

Żydów i pedałów. Setki ludzi mogą poświadczyć, że to my zostaliśmy napadnięci. Napadnięci i pobici. Tymczasem pani traktuje nas nie jak ofiary, a jakichś zadymiarzy czy oprychów. Protestuję przeciwko takiemu stawianiu sprawy Emil usiadł, a Babcia przez dłuższą chwilę chodziła tam i z powrotem, jakby odebrało jej mowę. Wreszcie usiadła za stołem, otworzyła dziennik i powiedziała zrezygnowanym głosem:

- Na długiej przerwie przez radiowęzeł przemówi dyrektor. - Pokręciła głową, zamknęła dziennik, wzięła go pod pachę i wyszła z klasy

47

Dyro powtórzył mniej więcej słowa Babci, tylko bardziej patetycznie i dosadnie:

- Jestem zbulwersowany! - grzmiał, a jego bas odbijał się echem po wszystkich salach, pracowniach, korytarzach, sanitariatach a nawet szatniach. - Jestem zbulwersowany waszym nieetycznym i niegodnym ucznia postępowaniem. Przynieśliście ujmę patronowi, którego imienia chcieliście rzekomo bronić, i skompromitowaliście szkołę. Ponadto zapamiętajcie sobie, do prezentacji konstruktywnej krytyki, bądź jakiegokolwiek opinii na jakikolwiek temat, istnieją ustalone prawnie procedury postępowania. Obowiązują one wszędzie, łącznie z naszą szkołą. Byliśmy, jesteśmy i zawsze będziemy otwarci na dialog z naszymi wychowankami. Powtarzam: dialog, nie warcholskie wybryki, które nazywacie protestem. W efekcie waszego nieprzemyślanego uczynku, powiem mocniej, bezmyślnej awantury, dziewięciu uczniów naszej szkoły zostało aresztowanych, a ośmiu jest hospitalizowanych. Co dalej w tej sprawie, postanowi Rada Pedagogiczna. Na koniec jeszcze jedno wyjaśnienie, gdyż jak mniemam, nie zrozumieliście intencji Rady Nikt nie ma zamiaru siłą narzucać szkole nowego patrona. Dostaniecie propozycję trzech kandydatów, z których w referendum wybierze jednego. Obiecuję, weźmiemy pod uwagę wolę większości bez względu na wynik głosowania. Dziękuję za uwagę.

Radio trzasnęło i zamilkło. Nawet nie puścili muzyki.

- Jak nie pałą, to kijem - podsumował wystąpienie dyra Emil. - Założę się o wiadro lodów, że wśród tych trzech kandydatów zabraknie Boya.

-1 bardzo dobrze - dała głos Anielka. -1 zapamiętajcie moje słowa, wasze wybryki do niczego dobrego nie doprowadzą.

- Dobrze, zapamiętamy jeśli tak ci zależy, by do wszystkich swoich cnót, dodać jeszcze opinię wieszczki.

48

Skończyła się przerwa i do klasy wszedł pan Kęsik. Już od progu kazał nam przygotować kartki do sprawdzianu.

Godzinę później ktoś przez komórkę otrzymał pewną wiadomość, że Marek znalazł się wśród poszkodowanych, a Kamil wśród uwięzionych.

- Powinniśmy podnieść chłopaków na duchu. Kupimy wiązanki i odwiedzimy ich w szpitalu na znak, że jesteśmy z nimi - zaproponowała Matylda, która nigdy, nawet wśród największej nerwówki, nie zapomniała zadbać o konwenanse, jednym słowem była takim klasowym szefem protokołu dyplomatycznego i przy sposobności skarbnikiem.

- A co z chłopakami za kratkami? Do więzienia z kwiatami raczej nas nie wpuszczą -

zainteresowała się Wyszka.

- Powinni wyjść na wolność po czterdziestu ośmiu godzinach, czyli jutro, wtedy powitamy ich jak prawdziwych bohaterów. Zbieram po dwa złote od osoby.

Byłoby ironią losu, gdyby klasa wręczyła Markowi kwiaty Facet, który naciągnął na łeb kominiarkę i wraz z bandą chuliganów ruszył bić koleżanki i kolegów, z którymi od lat chodził do szkoły zasługiwał raczej na potępienie, lecz o tym wiedziałam tylko ja. Czułam rozdziew pomiędzy poczuciem sprawiedliwości a lękiem przed konsekwencjami, jakie na mnie spadną, gdy Marek poniesie poważny uszczerbek na zdrowiu, albo nawet umrze. Z właściwą tchórzliwym charakterem taktyką wybrałam drogę pośrednią. Odwołałam Izę na bok i powiedziałam:

- Marek w żadnym wypadku nie zasługuje na wdzięczność klasy. Wiem, że walczył przeciw nam po drugiej stronie.

- Opowiadasz głupoty

- Ależ skąd! Widziałam, jak dostał w głowę i upadł. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, rzecz jasna, że to on. Poznałam go dopiero wtedy, gdy mu spadła kominiarka. Ty chyba też widziałas, bylas przy tym...

- Nie przypominam sobie.

- Pamiętasz, jak mnie odnalazlas?

- Racja! - Pacnęła się dłonią w czoło. - Z boku wyglądało, jakbyś akurat udzielała Markowi pomocy. Jesteś pewna, że był w kominiarce?

- Na sto procent. Stałam o krok od niego, kiedy padał.

- A tak, tak, przypominam sobie, koło jego głowy leżało coś czarnego. Pewnie kominiarka, bo co by innego?

Teraz sprawy potoczyły się błyskawicznie. Iza stanęła na krześle i obwieściła zdumionej klasie, że Marek Szalach jest zdrajcą, ponieważ nie tylko nie poparł protestu, lecz na dodatek wraz z napastnikami tłukł naszych, a sprawa wydała się przypadkiem, gdy tak oberwał po łbie, że aż mu spadła kominiarka. Szczęśliwym trafem ona przy tym była, widziała, jest oburzona i w ogóle. O mnie ani słowa. I dobrze.

Postępek Marka budził niedowierzanie, więc raz po raz ktoś podchodził do Izy pytać o różne szczegóły. Iza chętnie opowiadała, lecz, swoim zwyczajem, za każdym razem modyfikowała co nieco. Z ostatecznej wersji wynikało już jasno, iż to ona własnoręcznie zerwała kominiarkę z twarzy Marka i krzyknęła zgorszona w najwyższym stopniu: „Szalach, jesteś skończoną świnią!”. Przy sposobności temat obrastał nowymi informacjami. Wyszka przypomniawszy sobie, że widziała Marka protestującego przeciwko paradyze równości, Anita słyszała, jak kogoś o ciemnej karnacji nazwał negatywem, Irek, jak Marek dał mu do przeczytania książkę o światowym spisku żydowskim i z tego powodu nawet się pokłócili. Jednak wszystkich przebił Darek.

- Wpadłem do niego kiedyś do domu i zbaraniałem. W jego pokoju na honorowym miejscu wisi flaga ze swastyką. Wiecie, jak ten palant to tłumaczył?

- No jak?

- Że tak tylko sobie pogrywa na nerwach dziadkowi, któ

50

ry był więźniem obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie i w kółko o tym

opowiada. Słowo daję, kawał świra.

Iza chodziła w glorii osoby która zdemaskowała Marka. W szpitalu jeszcze raz powtórzyła swoją wersję Darkowi i Bartkowi, następnego dnia Tomkowi, Jankowi i Anicie, bo tak, jak przewidywała Matylda, zwolniono ich z aresztu po dwóch dobach. Nie był to jeszcze koniec niespodzianek. Wraz z naszymi do tej samej więźniarki zgarnięto Kamila, lecz że był to Kamil, sprawa się ryła dopiero wtedy gdy policjanci odebrali mu kominiarkę.

Wszyscy wyszliśmy z demonstracji i z większym lub mniej -szym uszczerbkiem na ciele, a Tomek, jak na prawdziwego bojownika przystało, nosił rękę na temblaku. Chłopcy ostentacyjnie lekceważyli swoje uszkodzenia, ba, traktowali je nawet z dumą niczym napoleońscy wiarusi rany wyniesione spod Waterloo. Dziewczyny sińce i podbite oczy maskowały pudrem, plastrami i ciemnymi okularami, tylko Anita uczyniła z nich element dekoracyjny. Fioletową śliwę na lewym oku pomalowała w różowe paski, rozciętą wargę pociągnęła błyszczkiem, a granatowego siniaka na policzku przerobiła na kwiatek. I nie uwierzycie, wyglądała z tym pięknie.

Gdy wszyscy już się wygadali do woli, Tomek stwierdził, że to jeszcze nie koniec naszej walki. Wyjął z plecaka plik gazet.

- Czytaliście? W gazetach wypisują same bzdury Wszyscy w kółko tylko o zajściach, natomiast żadnemu redaktorowi nie chciało się dociekać, dlaczego protestowaliśmy. Niektórzy nadmieniają jedynie, że uczniowska manifestacja, która w założeniu miała być pokój owa, przerodziła się w bój -kę. Napiżemy sprostowanie do każdego artykułu, a przy okazji przemycimy nasze postulaty Jeśli zrobimy to dobrze, wywołamy publiczną dyskusję, wtedy dyrekcja będzie musiała wyłożyć kawę na ławę, jakie ma waty do Boya. Niech spróbują powiedzieć, że nie chcą Żyda i antyklerykała, niech tylko spróbują.

I znów Tomek porozdzielał pomiędzy nas zadania, i znów znalazłam się w grupie z Izą, Wyszką i Malwiną, a przypadły nam „Wiadomości Codzienne”, lokalna gazeta o sporym nakładzie i dziennikarstwem z mocnym przechyłem w kierunku sensacji. W naszej sprawie było dużo zdjęć i zdań typu: chuligańskie wybryki licealistów... gorszące sceny... dialog na kije i pięści... co wyrosnie z tej młodzieży... wzmoc dyscyplinę w szkołach... karać... zero pobłażania... i tak dalej, i tak dalej. O rzeczywistych sprawcach tej burdy wspomniano ledwie półgębkiem, a powód był jasny jak słońce. Chuligani nachuliganili? - żadna rewelacja, ale licealiści z dobrej szkoły? O! To jest skandal nad skandale, a przy sposobności news na pierwszą stronę. Gdy o reakcji na prasowe artykuły mówił Tomek, wszystko wyglądało prosto, jednak przy próbie ujęcia odpowiedzi w formę literacką, zaczęły się schody Od czterech godzin siedzieliśmy w czwórce przy komputerze w moim pokoju i nawet nie napisałyśmy pierwszego zdania. Ciągle zbaczaliśmy z drogi. Najpierw Iza rozwinęła ulepszoną wersję historii pod tytułem: Jak zdemaskowałam Marka, potem, Malwiną zaczęła mówić o Irku, a ten temat w jej wykonaniu to nie jakiś wysychający okresowo strumyczek, lecz Nil, Missisipi, Wołga, czy nawet Amazonka z dopływami. Z magnetofonową dokładnością przytaczała jego niby bardzo ważne słowa i opinie, z precyzją aparatu fotograficznego opisywała każdy gesty z którego miało coś tam wynikać, a w moim odczuciu, mimo jej chęci, nic nie wynikało. Mówiąc o Irku, mówiła z konieczności również o Majce Joniec z III b, która rzekomo uczepliła się go

jak rzep psiego ogona. Była to wierutna bzdura, bo Irek z Majką od laiku miesiący stanowili zakochaną w sobie parę.

52

Mimo wszystko rozumiem Malwinę. Wiem, co znaczy bez wzajemności kochać się w kimś, znam owo natręctwo myśli zniewolonych niczym ćma płomieniem świecy, wiem, jak wtedy chce się wciąż na tego kogoś patrzeć, o nim mówić, i w ogóle całe życie podporządkować wyłącznie temu jedynemu. Jest tylko jedno ale. Nigdy przenigdy nie robiłabym tego z bezkrytyczną otwartością Malwiny. Nie osaczałabym z każdej strony obiektu westchnień i nie wtajemniczałabym w swoje uczucia wszystkich dokoła. Lecz cóż, każdy ma swój sposób na szczęście, a ja wcale nie mogę powiedzieć, że mój jest lepszy.

O dwudziestej pierwszej było już za późno na rozpoczynanie zadania, w którego sprawie się spotkałyśmy

- Karla, machnij jakiś szkic, my jutro go dopracujemy i będzie okay - błysnęła pomysłem Iza. Zanim zatrybiłam i zaprotestowałam, one były już na ulicy. Usiadłam do pisania, z nadzieją, że jakimś cudownym sposobem spłynie na mnie wena twórcza, niestety pojawił się syndrom pierwszego zdania. Wiadomo, najtrudniej jest zacząć. Po dziesięciu bezskutecznych próbach poszłam po pomoc do mamy, która akurat piła w kuchni kawę.

- Każde tego rodzaju pisma zaczyna się mniej więcej tak: W odpowiedzi... albo: W nawiązaniu do artykułu autorstwa Pana Iksińskiego, opublikowanego dnia tego i tego, w Państwa dzienniku numer taki a taki, pragniemy poinformować, że... Dalej wyłuszczasz, o co wam chodzi, z czym się nie zgadzacie i na podstawie prawa prasowego prosicie o zamieszczenia sprostowania...

No jasne! Jakież to proste, gdy się już wie! Mama pomogła mi jeszcze napisać uzasadnienie, dlaczego bronimy patrona naszej szkoły oraz zakończyć pięknym apelem o wsparcie naszych starań w imię zawodowej solidarności dziennikarzy z Boyem, gdyż Boy był nie tylko, lekarzem, poetą, recenzentem literackim i teatralnym, tłumaczem klasyki francuskiej, ale również publicystą, czyli ich wybitnym kolegą po piórze.

Nazajutrz dopiero o szesnastej, kiedy Iza, Wyszka i Malwina zjawily się u mnie w domu, po półgodzinnej paplaninie, spytały wreszcie, czy coś skrobnęłam w wiadomym temacie.

- Tak - zwolniłam miejsce przy komputerze, aby umożliwić przeczytanie tekstu.

- Jest super - stwierdziły zgodnie Wyszka i Malwina, tylko Iza się skrzywiła.

- Będzie super, jednakże dopiero po gruntownych poprawkach. Prześlij tekst na moją skrzynkę e-mailową, dopracuję go porządnie.

Iza poprawek nie naniosła żadnych, lecz i bez nich nasze, a właściwie moje pismo okazało się najlepsze. Tomek na-wrzeszczał na pozostałych, iż nie potrafią sensownie sklecić kilku zdań na zadany temat, a jako przykład dobrej roboty wskazał nas.

- Grupa Izy potrafiła się przyłożyć do roboty Czyli można? Można, gdy się tylko chce. Proponuję, aby wszyscy napisali mniej więcej podobnie.

Na długiej przerwie Iza głośno przeczytała „nasz” tekst, ale tak szybko, że mało kto zdążył porobić notatki, w efekcie raz po raz ktoś podchodził do niej z prośbą o „konsultacje”. Tak jak zawsze, gdy coś od niej zależało, prychała zniecierpliwiona:

- Taki pryszcz, jak pismo na jedną stronę, każdy sam powinien napisać, a przynajmniej spróbować, zaś zerowanie na cudzym jest łatwizną w najgorszym wydaniu.

Ponieważ więcej było tych umoralniających przytyków niż konkretów, pisanie szło jak krew z nosa, w końcu dnia Tomek doszedł do wniosku, że wersja Izy (grupe pominął) bę-

54

dzie odpowiedzią do wszystkich mediów, zmieni się tylko nagłówek i ewentualnie parę szczegółów we wstępie.

Jasne. Byłabym mitomanką i straciła przyjaźń Izy, gdybym nagle ogłosiła, że tak naprawdę autorką tekstu jest moja mama, ale ja przynajmniej przelałam jej słowa na papier, więc mam większe prawa do awansu na lidera grupy Miło by było usłyszeć: Grupa Karli zrobiła to doskonale. Tymczasem nikt na mnie nie zwracał uwagi. No cóż. Jestem po prostu zwykłą oferma, która nie potrafi nawet sprzedać swojej pracy Vrodziny Łili

Zbliżały się urodziny Liii; ponieważ jesień nadal była słoneczna, postanowiła urządzić przyjęcie w ogrodzie przy grillu. Największy problem stanowił dla mnie pomysł na praktyczny ładny i tani prezent, lecz gdy na liście gości zobaczyłam Rafała, w mojej głowie, eksploatowały fajerwerki radosnych myśli. Zobaczą go! Zobaczą! Z bliska! Może porozmawiam z nim... Powtarzałam jak pozytywka, tracąc przy tym zainteresowanie do wszystkiego, co nie wiązało się z Rafałem. W antykwariacie za grosze kupiłam album z reprodukcjami obrazów Bolesława Barbackiego, po czym całą uwagę poświęciłam przygotowaniom do tego wielkiego spotkania.

Ku mojej czarnej rozpaczycie wskazówka wagi od tygodnia maniakałnym kurcgalopkiem gnała do pięćdziesięciu siedmiu. Czyli i intensywny trening, i szlaban na kolacje nie starczyły Zrezygnowałam z zup. Punkt prosty do realizacji, gorzej z punktem, w co się ubrać. Charakter imprezy narzucał niezobowiązujące stroje, a wiadomo, że w świecie mody najwięcej pomysłowości wymaga właśnie niezobowiązujący strój: niby to ot tak, od niechcenia, niby w byle czym, a efekt rzuca na kolana. Niestety, przy nadwadze i niedostatkach urody stopień trudności rośnie w postępie arytmetycznym, a w obecności pięknej solenizantki - nawet geometrycznym.

Jakby tego wszystkiego było mało, nieustannie zachodziłam w głowę, czy Rafał przyjdzie z kimś, czy sam. Z dwa-naściorga gości dobrze znałam tylko Izę, Maćka i Firlego, o reszcie wiedziałam mało lub zgoła nic, więc było wysoce prawdopodobne, że któreś z żeńskich imion z listy należało do dziewczyny Rafała. Cholera, mogło to być nawet imię mojej siostry

Fakt. Wystawiałam swoją nadzieję na ciężką próbę. Chociaż realnie szanse na sukces były nikłe, moje udręczone niespełnieniem serce potrzebowało kojącego plastra, chociażby z poczucia, że przecież próbowałam.

Na razie trwały przygotowania. Ponieważ Liii sama finansowała przyjęcie, obowiązywała najtańsza opcja, czyli kurze udka z grilla, czerwony barszcz, dwa rodzaje sernika i słone paluszki. Udka najpierw obgotowałyśmy, posmarowałyśmy specjalną miksturą według przepisu mamy i pozostawiłyśmy w lodówce, żeby się

macerowały Na wywarze zrobiłyśmy barszcz.

Marzenia o czymś szalowym i niezobowiązującym w jednym z konieczności przykroilaam do dzinsów oraz dyżurnej czarnej bluzki, pocieszając się, że czarne wyszczupla. Za to makijażowi poświęciłam mnóstwo czasu. Zafundowałam sobie nawet sztuczne rzęsy i podkradłam mamie perfumy Ale po kolei.

Powoli schodzili się zaproszeni, najpierw Ania i Piotr, chwilę później Marlena i Artur, tuż za nimi Kasia, potem Firli, potem Iza z Maćkiem. Na razie robiłam za kelnerkę, w oczekiwaniu na pozostałych gości, tym już obecnym podawałam, wedle życzenia kawę lub herbatę. Z półgodzinnym spóźnieniem doszli jeszcze Kinga i Marcin, a Rafała wciąż nie było.

Zaczynałam się denerwować. Wtem moja serdeczną przyjaciółka tym razem na seledynowo, przygnała do mnie do kuchni niezaspokojona ciekawość.

- Karla, co ja widzę, masz chłopaka, a gdzież to go poderwałaś, w seminarium?

- Nie podoba ci się? Nie musi.

- podoba, tylko on wygląda jak...

- Jedno jest pewne, nie jak twój Maciek.

Na złodzieju czapka gore. Przestraszyłam się, że na dźwięk słowa „gej” spiekę raka, dając powód do podejrzeń. Chyba niepotrzebnie, bo chwilę później Iza dosiadła się do Firlego i najwyraźniej znalazła z nim wspólny język, bo rozmawiali z wielkim ożywieniem. A swoją drogą ciekawe, czy uroda Izy i wrażenie, jakie robi na chłopcach są w stanie sprawić, że homo stanie się hetero. Było to całkiem realne, gdyż posiada ona owo „coś”, tę jakąś wyrażaną spojrzeniem niemą obietnicę czegoś, czego nie potrafiłam nazwać, a co chłopców tak ogłupiało, że mogła manipulować nimi ze sprawnością pilota do telewizora. I manipulowała. Chętnie, i bezdusznie. Tylko Maciek z uporem maniaka, niby głaz w nurcie rzeki, ciągle przy niej trwał, zakłócając ten uporządkowany ruch adoratorów. A może nie? Może był wyjątkiem potwierdzającym regułę? Na razie wyraźnie puszczały mu nerwy Siedział osowiały, raz po raz posyłając Firlemu pełne nienawiści spojrzenia, które ten najzwyczajniej w świecie ignorował.

Tymczasem atmosfera wokół grilla stawała się coraz luźniejsza. Pierwsza porcja udek skwierczała smakowicie na mszcie, goście porozsiadali się, gdzie kto mógł, rozmowy brzęczały jak pszczeli rój, wszyscy przerzucali się komplementami, żarcikami, aluzjkami i ledwo zawoalowanymi, swawolnymi propozycjami, a Rafał wciąż nie przychodził. Do mojego z każdą minutą coraz gorszego humoru dołączyło dręczące pytanie: „Czy tylko się spóźnia, czy może z jakiegoś powodu zrezygnował?”. Z twarzy Liii trudno było wyczytać odpowiedź,

57

bo ta - cała w skowronkach - miała gdzieś tę dziurę w powietrzu, która aż bolała nieobecnością najważniejszego gościa.

W końcu Maciek nie zdierzył. Wywołał Izę do kuchni i zarzucił gradem wymówek. Ta nie pozostała mu dłużna. Wywiązała się kłótnia, w efekcie Iza nazwała Maćka głupim pa-lantem, powiedziała, że ma jego i w ogóle wszystkiego dość, że idzie do domu... Głucha na moje prośby żeby jeszcze została, wyszła, a w ślad za nią wyszedł Maciek.

Usiadłam przy Firlim. Wyglądał na zadowolonego, cho-] wciąż nie uczestniczył w rozmowie. Nawet mnie nie zaszczy- i cił jednym słowem, mimo że udawaliśmy parę. Dupek. Już miałam wykręcić się bólem głowy i pój ść popłakać do swój e-go pokoju, gdy oto moje serce ruszyło szaleńczym galopem -na krótką chwilę za żywopłotem z czerwonych berberysów, w wąskim prześwicie między domem a słupkiem granicznym ujrzałam Rafała. Ktoś mu towarzyszył, nie dostrzegłam kto.

Dziewczyna? Kiedy znów pojawił się w polu widzenia, odetchnęłam z ulgą. Szedł z Kubą! Kuba bywał już u Liii. Obaj j nieśli spore bukiety i po butelce szampana. Spóźnialskich przywitało pełne dezaprobaty chóralne „uuuuuu”, by za chwi-] lę przejść w śmiechy i okrzyki.

Usiedli naprzeciwko mnie, co przyj ęłam z ogromną radością. Mogłam patrzeć na swoje bóstwo do woli bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń, sycić nim oczy i duszę, delek- i tować się jego postacią niczym boską ambrozją.

Podobnie, jak Firli, milczałam. Goście Liii onieśmielali. Nie dorównywałam im ani swobodnym stylem bycia, ani poziomem intelektualnym, ani umiej ętnością mówienia na tyle 1 interesująco, by skupić na sobie uwagę chociażby przez mi- 1 nutę. Kicha.

Rej wśród towarzystwa wodził Piotr, który opowiadał naj-śmieszniej sze dowcipy najzabawniej każdemu docinał, naj-celniej ripostował, jednym słowem był duszą towarzystwa,

lecz ja widziałam tylko Rafała. Ze szczęścia ścisnęło mnie w dołku, kręciło się w głowie, dławilo w gardle, a oczy zachodziły mgłą. „Spójrz na mnie, proszę, spójrz” - wysyłałam bezgłośnie sygnały jednak jego wzrok tylko od czasu do czasu omiatał moją postać z równą obojętnością, jak krzewy agrestu i czarnej porzeczki za moimi plecami.

Impreza rozkręcała się coraz bardziej, rozmowy luźno przeskakiwały z tematu na temat, aż w pewnej chwili Piotr powiedział:

- Marlina siedzi sobie skromniutko, jak trusia, zamiast się pochwalić, że wydała swój pierwszy tomik wierszy Złóżmy jej gratulacje. W końcu poezja to nie w kij dmuchał. Wszyscy zaczęli klaskać, gratulować, a wreszcie prosić, aby zaprezentowała próbkę swojego talentu. Marlina wyjęła z torebki dość cieniutki tomik i otworzyła na chybił trafił:

kochać - to nie rozumieć
żadnego ze słów
w palcach obracać bezradnie
cichy kamyk
i głosu nocy nie słyszeć
tylko zagłębić się w sen
tylko czekać.. .5

Czy poeci zawsze opisują to, co sami czują? Może biorą na warsztat uczucia innych? Przecież niemożliwością jest, aby taką atrakcyjną brunetkę o olśniewającym uśmiechu i delikatnej urodzie porcelanowej figurki, z takim przystojniakiem przy boku dotknął problem z miłością. Ciekawe jak brzmiałby erotyk mojego autorstwa, gdybym miała talent go spłodzić? Czy byłby tylko mantrą z czarodziejską formułą o mistycznym słowie Rafał⁷. Czy może ukryłabym to imię w metaforach i

niedomówieniach?

5 Wiersz autorstwa Wiesława Kota.

59

Marlena przeczytała jeszcze kilka innych wierszy, a potem powiedziała, że podaruje każdemu po tomiku, z dedykacją, niech każdy poczyta sobie sam. Zaraz też zaczęła się dyskusja o poezji, literaturze, ludziach pióra, czyli... intelektualna biesiada.

Liii przy każdej okazji powtarza, iż tylko humanista jest prawdziwym inteligentem. Fizycy chemicy, matematycy biolodzy inżynierowie, architekci... mogą uważać się najwyżej za ćwierćinteligentów. Przyznaję, gdy humaniści przy kawiarnianym stoliku rozmawiają o limerykach Szymborskiej, eg-zystencjonalizmie Sartre'a czy Noblu dla Jelinek, brzmi to całkiem zwyczajnie. Natomiast gdybym nagle wyskoczyła z tematem, że pH jest ujemnym logarytmem ze stężeń jonów wodorowych, albo że diament stanowi alotropową odmianę węgla, albo nawet że sinus kwadrat plus cosinus kwadrat równa się jeden, wyszłabym na głupka. Zaprawieni w naukach ścisłych o tym wiedzą, a humaniści traktują te zagadnienia jak chińszczyznę, a to, co dla humanistów jest chińszczyzną, nie nadaje się na motyw towarzyskich pogawędek. A gdyby tak wałnąć czymś naprawdę rewelacyjnym? Na przykład: Stephen Hawking odkrył kwantowe promieniowanie czarnych dziur. Nie! Już słyszę te pełne pobłażliwej ironii słowa: „A kogóż obchodzą jakieś tam dziury?”. Ciekawsze są kwestie z rejestru wysokiego „c”, chociażby relacje między Abelardem i Heloizą, rozterki sercowe młodego Wertera, czy rozmowy Hamleta z czaszką Yoricka.

Humaniści to niepoprawni zarozumiałcy Człowiekowi, który nie wie, kim był Ernest Hemingway albo Umberto Eco, natychmiast zarzucają brak kultury, lecz sami nie czują się intelektualnie zdyskwalifikowani brakiem wiedzy o braciach Śniadeckich czy Nikolu Tesli. Może i racja, w końcu w matematyce, fizyce, chemii oraz innych tego typu dziedzinach nauki, nikt nie potrzebuje dociekać, co autor miał na myśli. Dla równowagi humaniści też mają swój zgryz - sprawny w nogach piłkarz jest dla wielu większym idolem niż Sienkiewicz z Szekspirem razem wzięci.

Moja wiedza o Rafale, poza tym, że jest piękny była właściwie zerowa i ku mojej rozpaczycy zanosilo się na to, że nadal taką pozostanie. Nie mówił o sobie nic.

Odetchnęłam z ulgą dopiero koło północy, kiedy zaproponował Marlenie:

- Spróbuj pisać scenariusze, szukam ciekawych propozycji.

Wszyscy zdawali się być zorientowani w szczegółach, bo w dalszej dyskusji, która rozwinęła się na ten temat, padały tylko ogólniki w stylu: filmówka, akademia, studio takie lub inne, lecz to wystarczyło, aby odgadnąć, że ma jakieś stypendium, studiuje w Paryżu i związany jest z branżą filmową.

Nowa wiedza przyniosła nową udrękę. Jak na zawołanie moja usłużna i wredna wyobraźnia zaczęła produkować obraz za obrazem z Rafałem w roli głównej. Oto rankiem, w sportowym stroju wychodzi z luksusowego hotelu w Cannes, z powolną nonszalancją idzie sobie na plażę, albo na legendarny Bulwar Croisette zatłoczony najpiękniejszymi dziewczynami świata spragnionymi najmniejszej choćby rólki filmowej... Oto wieczorem wpada do jednej z ekskluzywnych dyskotek pełnych ślicznych, zalotnych, uwodzicielskich gwiazd i gwiazdeczek... Oto w nieskazitelnym fraku, wraz z boginiami kina, po czerwonych schodach Festiwalowego Pałacu wstępuje na filmowy olimp. A wszystkie te zjawiskowo piękne kobiety spoglądają

pożądliwie na urokliwego Polaka, i szepczą syrenio: będziesz nasz, nasz, nasz... niech no tylko skończy się ta uroczysta pompa... Uff. Skoro Rafał codziennie miał kontakty z pięknymi dziewczętami, ba, gwiazdami, logika nakazywała wybić go sobie z głowy gumowym młotkiem.

Po przyjęciu wróciłam do domu, weszłam do łazienki, wsadziłam palec w gardło, żeby wymiotować te cholerne udka,

61

serniki i paluszki. Dławiłam się, żołądkiem wstrząsały bolesne konwulsje i... nic. Włożyłam całą rękę. Poszło! Wyrzygałam wszystko! Anulowałam z siebie cały ten kaloryczny balast i ogarnęło mnie poczucie oczyszczenia i ulgi.

Trzeba być konsekwentnym w swoich postanowieniach. Muszę być szczupłą, albo w ogóle nie muszę być.

Klasowe niesnaski

Tymczasem w szkole nadal wrzało. Wszystkie bez wyjątku czasopisma wydrukowały nasze sprostowania i Tomek, dla podtrzymania medialnej dyskusji, kazał nam pisać indywidualne listy do redakcji. Ponieważ grupa Izy już raz najlepiej wypadła, zgodnie z zasadą, że na pracowitych naldada się większe obowiązki, polecił nam napisać pierwszą partię listów. I znów Iza, Wyszka i Malwina zjawiły się u mnie w domu, i znów tak jak ostatnio rozmawiałyśmy nie o tym, co trzeba. A wszystko przez Izę, którą zawsze świerzbi język, gdy wie coś, czego nie wiedzą inni.

- Słuchajcie, dziewczyny, Karla ma chłopaka ślicznego jak malowanie, a robi z tego tajemnicę, jakby to był Belfegor - obwieściła ledwie zasiadłyśmy przy komputerze.

- Kim jest Belfegor? Znam go? - zainteresowała się Malwina.

- Nie wiesz? Według legendy postrach Luwru. - Aha.

- Mówię wam, chłopak piękny do bólu. Laleczka. Co ja mówię, taki Ken przy nim to paskuda.

- Chłopak nie musi być piękny, wystarczy, że jest męski. Na przykład jak Irek - wtrąciła swoje Malwina, lecz na razie Iza nie dopuściła do zmiany wątku rozmowy.

- Całowałaś się z nim, Karla? Przyznaj się.

62

- Jasne, bo co? - Nie kłamałam. Pocałował mnie przecież w policzek na przystanku autobusowym. Pytanie o szczegóły byłoby nietaktem, lecz na wszelki wypadek ubezpieczyłam się, kierując uwagę na Wyszkę.

- A ty, z kim teraz chodzisz?

- Na razie z nikim.

- Widziałam cię kiedyś w Pstryczku z Arkiem Doboszem z III c.

- E tam, zwykle przypadkowe spotkanie - stwierdziła obojętnie i zamilkła.

- A Irek nareszcie przejrzał na oczy i zerwał z tą beznadziejną Majką Joniec z III b. Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam. To było do przewidzenia. Przecież ona w ogóle do niego nie pasowała...

Teraz Malwina wpadła w dobrze wyjeżdżone koleiny i nie było już sposobu, żeby wrzucić inny temat. Dalej poszło jak zwykle. Wysłuchałyśmy najświeższych wiadomości z pola walki, o Irka rzecz jasna, następnie rozbudowanych komentarzy, które zwyczajowo były fantazjowaniem o tym, co jej się wydaje, co powinno być i dlaczego nie jest. Koło dwudziestej wyszły zapominając nawet postanowić, co z

naszym „głosem w dyskusji”, jakby było oczywiste, że to mój problem.

O nie! Tym razem postanowiłam przestać robić za jelenia. „Iza prędzej ugryzie się we własne ucho, niż znów zaimponuje klasie moją pracą” - przyrzekłam sobie.

Napisałam wstęp według wskazówki mamy i... stop. Bo co tu pisać? Parafrazować Gombrowicza, że Boy wielkim poetą był? Powtarzać argumenty ujęte w poprzednim piśmie? Na co się powołać? Nagle olśnienie! Najpierw mglista myśl, która formowana jak grudka miękkiej gliny przyjęła ostateczną postać:

W Starożytnym Egipcie, gdy histońc narodu była histońa faraona, nic innego sienie liczyło. Bywało, iż monarcha, któ-

rypodstępem pozbawił tronu swojego poprzednika, lub z jakiegoś powodu żywił do niego nienawiść, wymazywał jego imię z inskrypcji w grobowcach i na pomnikach, a w te miejsca wpisywał swoje. Dzisiaj, kiedy żyjemy w czasach demokracji, histońc tworzy cały naród, i bez względu na to, jak kolejne pokolenia oceniają swoich protoplastów, uczciwość nakazuje, żeby nie fałszować minionych dziejów.

Różnorodna przeszłość jest takim samym dziedzictwem narodowym jak różnorodność kultury. Przestrzegając tej zasady, nie ma powodu, aby zastępować Tadeusza Boya-Żeleńskiego innym patronem, choćby był on równie godnym, a nawet godniejszym kandydatem. Nadanie imienia naszej szkole jest faktem, wolą wyrażoną przez naszych poprzedników pięćdziesiąt lat temu i niech tak zostanie.

Po głębszym namyśle dopisałam:

Myślę, że w mieście powstaje wiele nowych szkół, ulic, placów, szpitali i innych placówek, które z wdzięcznością przyjmą za patrona szanowne osoby proponowane na nowych patronów naszej szkoły.

List podpisałam, wsadziłam do koperty, zaadresowałam i rano wrzuciłam do skrzynki pocztowej. Do szkoły wzięłam jedynie kopię.

Do długiej przerwy nic się nie działo, dopiero kiedy Tomek poruszył problem listów, Iza spytała:

-Napisałaś?

- Napisałam. -No to dawaj.

- Nie mam. Wysłałam już.

Izie ze zdziwienia zaokrągliły się oczy

- Nas też podpisałaś?

-Was? Nie. Myślałam, że nie chciałyście. Fakt, że nie doda kolejnego listka laurowego do swojego wieńca sławy, poruszył ją do żywego.

64

- Jak mogłaś? - W tej samej chwili do naszej ławki podeszły Wyszka i Malwina. - Wyobraźcie sobie, Karla wycięła nam numer. Sama podpisała się pod listem i go wysłała.

- Postąpiłaś nie fair - stwierdziła Malwina. - Wszystkie siedziałyśmy u ciebie ze cztery godziny

Chociaż nadal w głębi ducha uważałam, że racja jest po mojej stronie, opuszczał mnie rezon.

- Owszem, rozmawiałyśmy wczoraj cztery godziny, jednakże ani jedno słowo nie padło na temat listu.

- Przesadzasz. Pogadałyśmy trochę o tym i owym, ale spotkałyśmy się w ściśle

określonym celu. - Wszystkie trzy z obrażonymi minami odwróciły się na pięcie i poszły na korytarz. Małpy!

Iza musiała cierpieć podwójnie, straciła możliwość konwersacji z Anitą i Emilem, którzy tym razem też zmobilizowali swoje grupy do napisania listów. A dyskusja, z uwagi na ich specyficzną wymowę, mogłaby być intrygująca. Grupa Anity ujęła treść w stylu, że zmiana patrona szkoły ma znamiona indoktrynacji na wzór nazistów i muzułmanów, natomiast grupa Emila, że potępienie w czambuł własnej przeszłości i przekreślanie dokonań przodków zawsze źle się kończy. Jako przykład podali likwidację tysiącletniej Akademii Platonskiej i potępienie osiągnięć jej uczonych, a w zakończeniu: Gdyby nie Arabowie, po następnym tysiącleciu na nowo musielibyśmy odkrywać prawo Pitagorasa i geometrię Euklidesową.

Tomek oba teksty uznał za zbyt radykalne. Najpierw wytknął Anicie, że mocno przesadziła:

- Czymkolwiek kierowała się Rada, nie można im zarzucać ani muzułmańskiego fundamentalizmu, ani tym bardziej nazistowskich metod działania. - Potem Emilowi:

- Niepotrzebnie poruszyłeś sprawę, o której chrześcijanie woleliby zapomnieć. Dolewanie oliwy do ognia nie leży w naszym interesie. Nie, to nie przejdzie.

- Właśnie, że przejdzie. Masz prawo wyrazić swoją opinię, tak jak każdy inny, ale wara od cenzury, skoro sam powołałeś się na demokrację! - zawołała Anita.

- Też protestuję przeciwko poprawkom w naszym liście.] Twoja argumentacja, Tomek, jest nietrafiona, bo czyż historia nie jest najlepszą nauczycielką? Czyż błędy przeszłości, nie powinny być przestrożą dla przyszłości? Dla mnie nasz przykład jest trafiony. Nie zmienię go.

- Ależ zrozumcie, jeśli chcemy stworzyć spójną grupę nacisku, nie powinniście używać argumentów... - próbował uzasadnić swoje racje Tomek, lecz Anita mu przerwała:

- Podpisałyśmy się pod listem? Podpisałyśmy Odtąd odpowiedzialność za każde napisane słowo to nasza sprawa.

Trudno jest zmusić Anitę do zmiany zdania. Sińce z jej twarzy już prawie zeszyły opuchlizna pod okiem skłęśla i przybrała niebieskawy odcień z żółtą otoczką, co stało się natchnieniem do przerobienia jej na chmurkę przesłaniającą słońce.

Uzupełnieniem był asymetryczny kucyk związany pomarańczową kokardką z tiulu, do tego koszulka w bia- i niebieskie pasy, dzinsowe ogrodniczki, zielone adidasy i skarpetki. I wyglądała ślicznie.

-Niby tak, ale...

- No i jeszcze jedna rzecz. Pokaż, co ty wypociłeś? Pewnie arcydzieło, wzór taktu, elokwencji, kompetencji i wszelkich innych -encji. No? Czekamy - Anita przeszła do ataku.

- Przesadzasz - wzięła w obronę Tomka Matylda Bosek. - Tomek koordynował całą akcję, załatwiał sprawy formalne, dogadywał się z ludźmi od Tuwima, a na dodatek ma złamaną rękę. Chcesz go zastąpić?

Żelazna logika argumentów Matyldy ostudziła mocno zapał bojowy Anity, co wspólnie z dzwonkiem ostatecznie zakończyło dyskusję.

66

Tymczasem do klasy wróciły zawiedzione amatorki mojej pracy. Iza z miną ponurą

jak chmura gradowa milcząco usiadła w ławce. Znałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jest urażona. Nie obrażona, a właśnie u-ra-žo-na.

- O co ci chodzi? - spytałam, żeby stworzyć sobie pole do oczyszczenia przykrej atmosfery

- Drobiazg, po prostu zawiodłam się na tobie. Mogłaś uczciwie powiedzieć, że pracujesz na własny rachunek i byłybyśmy kwita. Wolno ci, chociaż przyjaźń zobowiązuje.

Do klasy wszedł profesor chemii, pan Barczyk, z uwagi na niski wzrost i rudy zarost zwany przez nas Barszczykiem. Z Barszczyka, mimo chłopackowatego wyglądu, jest niezgorsza piła, więc należało w najwyższym stopniu zachować ostrożność. Na szczęście tym razem Barszczyk odpuścił sobie odpytkę, dlatego mogłam spokojnie przemyśleć sobie to i owo. Powody, dla których wysłałam list do gazety tylko w swoim imieniu, straciły nagle sens, zaczęłam zarzucać sobie infantylizm, a pod koniec lekcji nabrałam pewności, że poza wątpliwą satysfakcją, nie osiągnęłam niczego. Jestem po prostu głupia. Głupia jak paczka gwoździ. Gdyby głupota przemieniała się w tłuszcz, ważyłabym pół tony. Z trudem doczekałam się następnej przerwy.

- Słuchaj, Iza, jeśli chcesz, mogę specjalnie dla was coś jeszcze napisać - zaproponowałam.

- Musztarda po obiedzie. Same sobie napiszemy - Ależ ja naprawdę myślałam... - bezsilnie powtarzałam się.

- Posłuchaj, Karla, twój problem polega na tym, że tak sama od siebie nie potrafisz być okay, a wymuszaną poprawność mam gdzieś.

Tego dnia Iza na każdej przerwie szła porozmawiać z Wy-szką lub Malwiną albo obiema naraz, po ostatniej lekcji pobiegła z niespotykanym u niej pośpiechem do Maćka, który czekał pod szkołą. Następnego dnia stanowił powtórkę dnia poprzedniego. Nadaremnie machałam białą flagą, dla najlepszej przyjaciółki byłam dziurą w powietrzu. Po południu wypadał akurat trening, pomyślałam więc, że wizja spotkania z Kacperkiem poprawi jej humor, a wraz z humorem stosunek do mnie.

- Nie idę. - Dlaczego?

- Mam swoje powody.

- Wyjeżdżasz gdzieś?

- Być może. - Zarzuciła plecak na ramię, wyminęła mnie | i wyszła.

Wróciłam do domu w markotnym nastroju.

- Dostałaś list z Holandii! - zawołała z kuchni Liii. - A któż to do ciebie pisze z tak daleka?

- Ktoś - odpowiedziałam z miną, jakby codziennie skrzynkę zapychała korespondencja do mnie i pobiegłam do swojego pokoju.

Dotychczas nie dostawałam żadnych listów, co najwyżej grzecznościowe pocztówki od kogoś z wycieczki, wczasów, lub z okazji świąt, ale nigdy walentynek. Nie znałam nikogo, kto przysłałby mi choćby najmniej szą kartkę z naj skromniej szym serduszkim zamiast kropki nad „i”. Ten list też nie był do mnie. Na znaczku była pieczętka poczty w Amsterdamie, a na odwrocie, w miejscu na dane nadawcy, krótkie

- Har-menz. Pewnie imię. Zadzwoiłam do Firlego, ponieważ nie zastałam go w domu, więc poszłam na trening.

Firli odezwał się dopiero następnego dnia koło południa.

- Mam dla ciebie coś - powiedziałam na wstępie. Od razu domyślił się co.
- Spotkajmy się jak najprędzej. Możesz wpaść do Pstryczka7. -Mogę. O której?
- Teraz. Zaraz. Jak najszybciej.
- Dobrze, będę za pół godziny

Spotkanie z Firliem było mi na rękę. Liczyłam, że zaprosi mnie do kina. Ostatecznie bez Izy też mogłam sobie zagospodarować sobotni czas.

Firli czekał przy filiżance kawy. Podałam mu kopertę.

- Zastanów się, na co masz ochotę, ja tymczasem rzucę okiem na list. Nie masz nic przeciwko temu?
- Skądże.

Otworzyłam kartę z menu. Najbardziej lubiłam lody ba-kaliowe, tutaj wyjątkowo pyszne, lecz mała porcja miała najmniej czterysta kilokalorii, więc nie dla mnie.

Galaretkę owocową? Za dużo cukru i ta czapa z bitej śmietany przyprószona czekoladą. Odpada. Kremówka... napoleonka... babeczka ... torcik lodowy.. ■ ?

Każde ciastko to kaloryczna bomba... W końcu zdecydowałam się na wodę mineralną bez bąbelków. Tymczasem Firli czytał z wielkim zaangażowaniem, lecz szło mu opornie, bo list był napisany po angielsku. Nie przerwał nawet, gdy do kawiarni weszło kilku jego znajomych, którzy mieli wyraźnie ochotę zamienić z nim parę słów

- Dzięki - włożył starannie list do koperty, a kopertę schował do kieszeni.

-Za co?

- Że tak szybko dałaś mi znać.
- Drobiazg. Od niego?

Tak sobie spytałam, lecz dla Firlego był to impuls do zwierzeń.

- Harmi jest wspaniałym... przyjacielem. Naprawdę. Jestem szczęśliwy że go spotkałem. Najczęściej ludzie potępiają takie związki, nawet nie usiłując ich zrozumieć.

- Jasne, liczy się uczucie, nie płęć - przytaknęłam i zaczęłam, sobie wyobrażać Firlego w objęciach innego chłopca. Filmu z miłością gejowską dotąd nie obejrzałam, więc moja wyobraźnia nie miała solidnej podbudowy merytorycznej.

69

Ponadto tamten chłopak nie miał konkretnej twarzy - Masz jego zdjęcie? -Mam.

- Pokaż. Wyjął z portfela zbiorową fotografię pstrykniętą na jakimś statku wycieczkowym. Pięć osób, w tym jedna kobieta, stało opartych o reling i uśmiechało się do obiektywu.

- To on - wskazał palcem na mężczyznę stojącego obok siebie.

Zamurowało mnie. Facet, chociaż szczupły i dobrze utrzymany, miał chyba ze trzydzieści pięć lat i wyraźnie zaznaczoną łysinę.

- Wygląda sympatycznie - powiedziałam asekurancko.
- Może go kiedyś poznasz.
- Chętnie.

Jeszcze przez dwie godziny rozmawialiśmy o zaletach ducha i ciała Harmiego, potem o homoseksualizmie w ogóle.

- Harmi przekonał mnie, że nasza orientacja seksualna nie jest żadnym powodem do wstydu. Czy wiesz, że największy rozkwit w dziejach zapewnili Grecji

homoseksualiści? Nigdy ani kultura, ani literatura, ani filozofia, ani nawet armia nie święciły większych triumfów, jak właśnie przy całkowitej tolerancji obyczajowej. Bo gejów, jak mawia Harmi, charakteryzuje wyjątkowa wrażliwość. Geje, gdy tylko stworzy im się właściwe warunki, albo przynajmniej nie przeszkadza, potrafią osiągać więcej, niż każdy inny hetero. Wiesz, ilu wybitnych ludzi było gejami... ?
Do kina nie poszliśmy

powrót równowagi

Sytuacja zmieniła się w poniedziałek. Ledwie o ósmej Barszczyk wszedł do klasy i sprawdził obecność, kazał nam schować książki i zeszyty Oznaczało to jedno - sprawdzian. Nauczyciel opracował perfekcyjne metody walki ze ściąganiem, podpowiadaniem i innymi metodami uczniowskiej samopomocy. Na klasówki zawsze przygotowywał sześć zestawów zadań i rozdzielał je wzdłuż rzędów. W ten sposób wszystkie jednakowe zadania były odgrudzone od siebie dwiema ławkami. Dodatkowo sam nieustannie przechadzał się po klasie, przystawał od czasu do czasu za czyimiś plecami i sprawdzał, jak sobie nieborak radzi. Jeśli kiepsko, miał na niego oko.

System nie dotyczył Izy i mnie, znalazłyśmy na niego sposób, jednak dotąd stosowałyśmy go podczas pokoju. Teraz... Wtem moja przyjaciółka nagle uległa cudownej metamorfozie. Był z niej najprawdziwszy, psychiczny kameleon.

- Karluś, kochana, jesteś dla mnie jedyną nadzieją. Tylko na ciebie mogę liczyć, błagam, pomóż mi - usłyszałam żarliwy szept przerwany brutalnie przez Barszczyka, który skończył rozdawać kartki, wrócił pod tablicę i objął wzrokiem całą klasę. Za każdym razem dawałam się uwieść tym nagłym przypływom serdeczności. Doszło do milczącego pojednania. Iza uzupełniająco skierowała do mnie kilka przymilnych min i na pomocniczej kartce do obliczeń na brudno, narysowała wykrzyknik. W naszej tajnej mowie oznaczał: RATUNKU! Jej wykrzyknik był pękaty jak pijawka opita krwią, a kropka wielkości złotówki.

- ? - w moim brudnopisie był zapytaniem, jakiej pomocy potrzebuje.

- 0! - zero z wykrzyknikiem: niczego nie kumam.

Tak, jak zawsze w takiej sytuacji, rzuciłam jej koło ratunkowe. Narysowałam strzałkę skierowaną w swoją stronę, znak, że pomogę, gdy tylko umożliwi mi przeczytanie treści swojego zadania.

Iza ze skwapliwością topielca skorzystała z szansy ocalenia.

Życie lubi płać figle. Dostała temat, do którego czuła wyjątkową awersję - liczba Avogadra.

- Nie, nie, nie. Cała chemia jest oparta na podejrzanych podstawach, a już te kombinacje z atomami to kuglarskie sztuczki - upierała się, gdy jakiś czas temu próbowałam wytłumaczyć jej, w czym rzecz z tą liczbą. - Popatrz, taka jednostka wagi j est wielkością umowną, lecz wynikają z uczciwej umowy Ludzie umówili się, że jeden kilogram odpowiada ciężarowi litra wody destylowanej. I w porządku. W Afryce, Ameryce czy gdzie indziej na świecie mogę ten litr postawić na wadze zamiast odważnika i sprawdzić, czy torebka cukru rzeczywiście waży kilogram. Ale powiedz, czym jest gramo-cząsteczka? No?

- Masą atomową wyrażoną...

- Sralis mazgalis. Nikt nigdy nie widział atomu i nieprędko zobaczy, więc nie

uwierzę, że znalazł się spryciarz, który go zważył. - Iza od początku do końca błędnie rozumowała, jednakże mój dar przekonywania był niedostateczny, by przynajmniej nadkruszyć jej opór. To raczej ona mnie próbowała przekonać do swoich racji. - Powiem ci, Karla, ta gramoczą-steczka to pic na wodę, a facet, który twierdzi, że policzył te niewidzialne atomy w tych głupich molach⁶, to szarlatan. Sam fakt, że wyszła mu liczba z dwudziestoma ośmioma zerami kwalifikuje go do wariatkowa. Bałwan, życia by mu brakło, gdyby nawet mógł policzyć i liczył dwadzieścia cztery godziny na dobę.

6 Mol - liczba gramów substancji równa wagowo masie cząsteczkowej.

Iza największe niedorzeczności potrafiła wypowiadać ze swadą i miną osoby wszystkowiedzącej. Często zachodziłam w głowę, co ją skłoniło, żeby wybrać kierunek z rozszerzonymi przedmiotami ścisłymi. Chyba tylko mocne przekonanie, że jakoś się uda. I udawało się. Ze zwinnością kota, zawsze spadała na cztery łapy, aż któregoś dnia, na jej nieszczęście, przyszedł belfer-pistolet odporny na najwymyślniejsze uczniowskie sztuczki. Raz-dwa odgadł taktykę Izy i ze złośliwością faceta pewnego swojej przewagi, podjął tę grę. Pozwalał sobie nawet na lekkie kpiny. Na przykład tak wywoływał ją do odpowiedzi:

- Iza Solska, podejdź proszę, dziewczę do Tablicy Okresowej Mendelejewa i pokaż swoim różnym paluszkami pierwiastki transuranowe.

Pytanie było proste jak konstrukcja cepa, lecz tylko dla tych, którzy wiedzą, iż noszą one nazwą aktywności i na tablicy są podpisane tak, że ślepy by wymacał.

W tej sytuacji Iza, zamiast przysiąc fałdów, z determinacją hazardzisty podjęła ryzyko prześlizgnięcia się przez chemię bez nauki. Dotąd wygrywała, ale tylko dzięki mojej pomocy. Każda lepsza ocena ze sprawdzianu neutralizowała jakąś pałę z odpowiedzi ustnych i jakoś to szło. Właśnie w tym celu opracowałyśmy nasz interpunkcyjny szyfr.

Ledwie zdążyłam spisać dane zadania Izy, stanął nad nią Barszczyk. Pod wpływem jego inkwizytorskiego wzroku Izie rozdygotały się ręce, zaczęła nerwowo i bez sensu coś bazgrać po brudnopisie, a czas uciekał. Barszczyka najwyraźniej upajał ten widok, bo uśmiechając się pod nosem, ani myślał odejść. Stał, jakby przy naszej ławce zapuścił korzenie.

Z desperacką determinacją przystąpiłam do rozwiązywania zadań mojej nieszczęsnej przyjaciółki. Spieszyłam się jak diabli, bo przecież musiałam jeszcze pomyśleć o sobie. Dostałam zadanie z zastosowaniem prawa Gay-Lussaca, żadne

73

tam wielkie rzeczy lecz łatwo było o pomyłkę w tasiemcowych obliczeniach.

Udało się. Kiedy w końcu Barszczyk na chwilę skierował swoją uwagę na tylne ławki, podsunęłam jej brudnopis z rozwiązaniem. Niestety, sama u siebie coś pokręciłam i dostałam za ledwie trójkę. Stopień mniej niż Iza.

Krótką fascynacja białym szaleństwem

Tymczasem przeminęła długa jesień, nadeszła mroźna i śnieżna zima. Irek, kiedy nie jechał na narty gdzieś w Alpy albo na grenlandzkie lodowce, żeby nie wypaść z formy, korzystał z krajowych możliwości. Najbliższy stok z wyciągiem typu wyrwirażka znaj dował się w niedalekiej Górcie Głogowskiej. Akurat na sobotnie i niedzielne wypady Malwina postanowiła wykorzystać i tę sposobność, żeby pobyć

blisko swojego idola - zapalała nagłą miłością do nart. Sprawiała sobie drogi kombinezon w kolorze jarzębiny, a do tego kolorystycznie dobraną czapkę, gogle, rękawiczki, no i rzecz jasna narty. W narciarskim stroju wyglądała super, gorzej rzecz się miała z umiejętnościami, a wiadomo, rozpaczliwie pokraczny zjazd stylem typu pług nie imponuje nawet w najpiękniejszym kombinezonie na najlepszym sprzęcie. Malwina o tym wiedziała i postanowiła wziąć lekcje narciarstwa. Żeby obniżyć koszty namówiła na kurs Wyszkę, Izę i mnie, my z kolei dokooptowałyśmy Maćka i Firlego. Zaczęliśmy poszukiwać jakiegoś niedrogo instruktora.

- Znalazłam, znalazłam specjalistę! Jest tani i skuteczny. Obiecał, że już po tygodniu będziemy śmigać po stoku krystianią równoległą w olimpijskim stylu - triumfowała po dwóch dniach Malwina.

Białe szaleństwo to doskonały sposób na spalenie mnó-

74

stwa kalorii, a do tego sylwetka narciarza sunącego wdzięcznym slalomem po stoku, jest przepiękna. Te zmieniające kierunek jazdy leciutkie muśnięcia śniegu raz prawym, raz lewym kijkiem, ta niezależna od tułowia, dająca efekt gibkości praca ugiętych nóg, ten dynamizm wyrzucający zza piętek fontanny śniegu i charakterystyczny przy tym zaśpiew nart, owe niepowtarzalne szuuu, szuuu, szuuu... działało na moją wyobraźnię jak narkotyk. O tak, chciałam zostać mistrzynią narciarstwa. Niestety, to drogi sport. Zaczęły się perturbacje ze skompletowaniem sprzętu i odpowiedniego stroju. Marzyłam o czerwonym kombinezonie z czerwonymi dodatkami, lecz skończyło się na dżinsach, ortalionowej kurtce i wełnianej czapce z pomponem, która jakimś cudem uniknęła przeróbki. Narty i buty wypożyczyłam.

Iza, żeby broń Boże nikt jej nie przegapił w tłumie, wystąpiła w odblaskowopomarańczowym uniformie z dobraną odpowiednio resztą. Maciek, jakby chciał kolorystycznie dostosować się do Izy był na brązowo, Wyszka i Firli, podobnie jak ja - garderobiana prowizorka.

Mniemaliśmy optymistycznie, że sześciuosobowa grupa dla wybitnego fachowca stanowi akurat liczbę umożliwiającą porządną naukę. W sobotę instruktor zgodnie z umową oczekiwał nas na stoku. Podparty bambusowymi kijkami stał koślawo na odrapanych nartach z Idepskimi wiązaniami. Nie wyglądał na mistrza nie tylko z uwagi na sprzęt. Piwny brzuch mocno wypinał mu kurtkę; zdawało się, że lada chwila trzaśnie w niej ekler. Ale cóż, mistrzowie ponoć bardziej dbają o umiejętności niż estetykę.

Pan instruktor przedstawił się jako Zdzicho i kazał sobie mówić po imieniu. To rzekomo miało skruszyć bariery psychologiczne, tak naturalne między mistrzem a uczniem. Nasze imiona w ogóle go nie zainteresowały, być może usłyszał je od Malwiny i zapamiętał.

Najpierw była rozgrzewka. Poskakaliśmy chwilę w miejscu, wymachując rękami. Potem przez dziesięć minut ćwiczyliśmy ślizg boczny Proste, należało zjeżdżać bokiem nart, unikając krawędziowania. Wreszcie instruktor ustawił nas rzędem wzdłuż stoku i powiedział, żebyśmy poczekali na niego chwileczkę, bo ma coś bardzo pilnego do załatwienia, po czym ruszył w górę. Chwilę później zniknął w kępie drzew i krzewów porastających płaski wierzchołek, który wznosił się stromo

kilkanaście metrów nad biegnącą w poprzek zbocza szeroką półką, na której kończył się wyciąg.

Czekaliśmy

- Jezu! - wrzasnęła nagle Wyszka. Zanim ktokolwiek zdołał zapytać, co ją przstraszyło, przed nami przemknął Zdzi-cho. Bez kijków, z opuszczonymi do kostek spodniami siedział na nartach w kucki. Z jego szeroko otwartych ust, na kształt syreny dobywało się, w miarę zmiany odległości najpierw coraz głośniejsze, potem coraz cichsze aaaaaaaa... Ludzie umykali mu z drogi, więc instruktor, niczym strzała pokonał stok, śmignął obok długiej kolejki do wyciągu i płaską łaką pomknął w kierunku krzaków na jej obrzeżu.

- Tylko nie mówcie, że to jakaś figura narciarska, bo przerzucę się na łyżwy! - zawołała Iza.

- Facet najwyraźniej ma braki w punkcie, jak załatwiać potrzeby fizjologiczne bez odpinania nart. Powinien narty ustawić w poprzek pochyłości i dodatkowo zabezpieczyć się kijkami. Inaczej kicha. Bez szkody dla swoich klejnotów gołym tyłkiem nie zahamuje się na tak wyjeżdżonym śniegu, choćby nie wiem co - niespodziewanie zatrzymał się przy nas Irek. Tuż za nim przystanąła Majka Joniec. Najwyraźniej informacje Malwiny o końcu ich romansu były przedwcześnie. Oboje byli rozbawieni przypadkiem instruktora, lecz w uśmiechu Majki, która patrzyła tylko na Malwinę, więcej dostrzegłam ironii niż wesołości.

Dopiero teraz w pełni dotarło do nas, co naprawdę zaszło. Zaczęliśmy się pokładać ze śmiechu, a wraz z nami wszyscy narciarze obecni tego dnia na zboczu. Jakaś para przejeżdżająca obok zwolniła, żeby podziękować za atrakcję wartą każdych pieniędzy. Żalowali, że nie mieli przy sobie aparatu fotograficznego. Chwilę później podjechała starsza pani, żeby powiedzieć, że mimo wieku pierwszy raz zobaczyła na własne oczy, co oznacza porzekadło: Zostać z gołym tyłkiem na lodzie.

Tylko Malwina się nie śmiała. Przerzucała spojrzenie z twarzy Irka na twarz Majki i odwrotnie, a jej oczy wzbierały łzami.

W końcu Irek z Majką odjechali. Stanowili piękną parę. On wysoki, barczysty w markowym granatowym kombinezonie podkreślającym jeszcze jego sportową sylwetkę, ona smukła, jasnobłękitna, zburzą kasztanowych włosów wypływających kaskadą spod białej czapki. Szusowali równolegle, lekko, zgrabnie, z pewnością i opanowaniem. Oboje sprawiali wrażenie produktów z górnej półki. Chwilę później jechali wyciągiem w górę, ale nie tak, jak jeżdżą inni. Tu liny prawą ręką uczepiony był tylko Irek, lewą ręką obejmował w pasie Majkę.

Wtem, wśród tej ogólnej wesołości, Malwina wybuchła płaczem. Było to tak nieoczekiwane, że minęło kilka minut, zanim jej płacz dotarł do naszej świadomości.

- Co ci nagle odbiło? Martwisz się, że instruktor dał nogę z naszą forsą?

Pytanie Izy wywołało nowy wybuch śmiechu u wszystkich z wyjątkiem Malwiny, która wciąż zalewając się łzami, odpięła narty, zarzuciła je na ramię i zaczęła schodzić w dół. Podążyliśmy za nią: Iza dreptała bokiem na krawędziach nart, Wyszka i ja zsuwałyśmy się szerokim pługiem, zaś Maciek i Firli zjeżdżali trawersem, hamując co kawałek.

- Odczepcie się ode mnie, dajcie mi święty spokój - oganiała się od nas jak od natrętnych much. - Mam już wszystkiego dość, dość, dość. Nie mogę dłużej...

- Typowy napad hysterii - szepnęła do mnie Iza.

- Ciekawe, co jest powodem takiej reakcji?

Wtedy też nie wiązałam tego wybuchu z Irkiem. Przewlekłego bzika Malwiny na jego punkcie, jak każdy, traktowałam niczym szpetny, ale stały element krajobrazu. Coś, co po prostu było, do czego się przywykło i na co się zobojętniało.

- Opuść sobie tego patałacha Zdzicha. Podstawy teoretyczne już mamy, teraz wystarczy tylko poćwiczyć dla wprawy Popatrz, chłopcy całkiem dobrze sobie radzą - przekonywała Malwinę Wyszka. Niestety, bezskutecznie.

- Odczepcie się ode mnie. Spieprzajcie! - wrzasnęła nagle. Przez ten wybuch złości przebijała rozpacz, bezsilność i jakaś bezradność, które chciała zakrzyczeć, lecz tylko ja to usłyszałam.

- Przesadzasz. Nic się przecież nie stało i nikt nie ma do ciebie o nic pretensji - próbowała uspokoić ją Wyszka.

- Jest super, a do tego uchachaliśmy się po pachy taniej niż w kinie - dodali chłopcy

- No, ale skoro nasze towarzystwo cię drażni, nie będziemy namolni. Spadamy - powiedziała lekko urażonym tonem Iza.

Nie wiem, dlaczego słowa Izy podziałały na nas jak rozkaz do odwrotu. Każdy na miarę swoich narciarskich umiejętności zaczął zjeżdżać ze stoku. Malwina, wciąż płacząc, ruszyła w kierunku szałasu.

Szałasem nazywano drewnianą budowlę w kształcie namiotu z kominkiem pośrodku, ciężkimi stołami i ławami dookoła. Można tam było zamówić bigos, grzańca, czyli piwo na gorąco z przyprawami, herbatę z prądem, czyli z rumem,

78

albo za niewielką opłatą zostawić bagaż, albo po prostu całkiem za darmo się ogrzać. Tak więc cel, do którego zmierzała Malwina, był najbezpieczniejszym miejscem w promieniu co najmniej kilometra i może dlatego w nikim z nas nie zrodziło się odczucie, że postępujemy źle, pozostawiając ją samą.

Tymczasem znów powrócił nam dobry humor. Przestaliśmy się przejmować brakami, każdy zjeżdżał, jak potrafił, każdą wywrotkę kwitowaliśmy śmiechem, zwłaszcza że oprócz nas na stoku sporo było osób jeżdżących kiepsko, żeby nie powiedzieć fatalnie.

Kilka razy podjeżdżał do nas Irek i udzielał cennych wskazówek, na przykład jak obciążać narty i jak wbijać kijki przy skrętach, jak wyrzucać piętki przy zmianie kierunku jazdy, jak manewrować środkiem ciężkości ciała i tym podobne. Majka Joniec cały czas stała w pobliżu, dając w ten niemy sposób do zrozumienia, że nie ma ochoty na bliższą znajomość z nami,- czeka tylko na Irka.

O zmroku poszliśmy do szałasów po Malwinę, lecz nie zastaliśmy jej. Barman potwierdził, że zapłakana dziewczyna pasująca do naszego opisu siedziała przy kominku, pamiętał, że zamówiła herbatę z cytryną, pamiętał, że zapłaciła banknotem dziesięciozłotowym i zapomniała wziąć resztę, pamiętał, że rozmawiała przez czerwony telefon komórkowy tylko nie zauważył, kiedy wyszła. Wspólnie uznaliśmy, że wróciła wcześniej do domu. Chociaż przewidywaliśmy, iż instruktor nie wywiązując się z umowy, przepadnie bez śladu z naszą forszą, dzień uważaliśmy za udany.

Następnego dnia koło południa wpadły do mnie Iza i Wyszka z tragiczną

wiadomością: Malwina próbowała popełnić samobójstwo. Podcięła sobie żyły.

79

Trzypadek oMalwiny

A było to tak. Wyszka przyszła do Malwiny o jedenastej. Miały jechać do sklepu firmowego Tyrolia na wyprzedaż sprzętu sportowego, tymczasem zastała Ratajów w stanie totalnego szoku - Malwina usiłowała popełnić samobójstwo przez podcięcie żył. Wyszka natychmiast zatelefonowała do Izy i, chwilę później, obie wpadły do mnie.

- Nie rozumiem, co jej odbiło? Chyba nie ten przypadek z instruktorem? - powtarzała z niedowierzaniem Iza.

- Najpewniej zrobiła to przez Irka - wtrąciłam nieśmiało, gdyż z jakiegoś powodu stanęła mi przed oczyma ostatnia scena z Malwina na stoku.

- Głupstwa opowiadasz, przecież Irek niczym jej nie obraził. A w ogóle było super.

- No właśnie - przytaknęła Wyszka, chociaż już bez pewności Izy

- Malwina się popłakała i...

- Szukasz dziury w całym. Tak rozumując, obciążymy nasze sumienia winą, że nie zareagowałyśmy w porę na jej depresję, tymczasem Malwinie dopisywał świetny humor. A że zdenerwowała się idiotą instruktorem? Normalka. Jednak, sama przyznaj, nikt z tak błahego powodu nie popełnia samobójstwa - pouczyła mnie Iza. Mimo wątpliwości nie oponowałam, gdy obie postępek Malwiny zgodnie uznały za nieprzewidywalny i zupełnie niezrozumiały, j ednak potrzeba znalezienia j akiegokolwiek rozwiązania pchnęła Wyszkę do dalszych przypuszczeń.

- Może w jej domu doszło do jakichś spięć? W ciągu ostatniego miesiąca złapała przecież pięć pał.

- O tak, pięć pał to bardzo prawdopodobny powód - ten argument przypadł Izie do gustu bez zastrzeżeń.

Postanowiłyśmy odwiedzić Malwinę w szpitalu, chociaż

80

nie wiedziałyśmy, w którym. Zaczęliśmy od szpitala miejskiego i od razu trafiliśmy w dziesiątkę. Leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej. Niestety, wstęp na oddział był zabroniony a personel informacji udzielał wyłącznie rodzinie. Nawet nie mogliśmy przekazać jej kwiatów, na które ofiarnie się złożyłyśmy.

Wtedy nadeszła pani Rataj owa. Mimo pośpiechu przystanąła na chwilę, żeby z nami porozmawiać. Powiedziała, że Malwina jest nieprzytomna, bo straciła dużo krwi, ale będzie żyła. Wreszcie padło pytanie, które cały czas wisiało w powietrzu:

- Czy może wiecie, dziewczynki, co Malwinę pchnęło do tego strasznego czynu?

- Nie, proszę pani, jesteśmy totalnie zaskoczone. Była wczoraj z nami na nartach, miała doskonały humor... Nie, nie mamy zielonego pojęcia, dlaczego to zrobiła - wyjaśniła w imieniu naszej trójki Iza.

-Awszkole? Może w szkole zdarzyło się coś, o czym nam nie powiedziała?

- Ależ skąd! Wszyscy ją lubili, to znaczy lubią - poprawiła się. - Nie, nie. Jeżeli miała kłopoty, to z pewnością poza szkołą.

Kłamała. Przecież wielkim problemem Malwiny był Irek, j ednak milczałam solidarnie, bo być może w takiej chwili bardziej od prawdy potrzebne są słowa

pocieszenia.

- W domu niczego niepokojącego nie zauważyliśmy.

- Proszę przekazać Malwinie pozdrowienia od nas i niech pani będzie dobrej myśli. Trzymamy za nią kciuki.

- Dziękuję, bardzo wam dziękuję. - Po krótkiej chwili ciężkiego milczenia, dodała: - Proszę was, dziewczynki, zachowajcie ten wypadek w tajemnicy Rozumiecie, sensacja tego rodzaju jest wodą na młyn różnych plotkarzy Ludzie z cudzego nieszczęścia potrafią zrobić pośmiewisko, a tego chciałabym córce oszczędzić.

81

- Tak. Będziemy milczały - obiecałyśmy zgodnie. Pani Ratajowa jeszcze raz podziękowała nam i ruszyła swoją drogą.

- Rozumiem, że swoim chłopakom też nic nie powiecie -upewniła się Wyszka.

- Jasne. Tajemnica jest tajemnicą. Zresztą, faceci to niepewni powiernicy sekretów! - zawołała Iza, chociaż, prawdę mówiąc, jej samej najtrudniej przychodziło trzymanie języka za zębami.

Wracałam do domu spacerkiem. Świeży śnieg dodał miastu urody, skrzył się w słońcu diamentowo, powtarzał z wiernością negatywu, koronki konarów i gałęzek, płotom po-nakładał białe czapeczki, a dachy przykrył puchowymi kołderkami. Jak można na śmierć wybrać tak uroczą porę? Gdy świeci słońce, nadzieja jest żywsza, a dołek psychiczny płytszy lecz widać desperaci są tak zgębieni, tak wyjałowieni z dobrych myśli, tak głęboko zrozpaczeni, że aż w samounicestwieniu szukają ukojenia. I nic tu po najcudowniejszej pogodzie. Boże, ależ byłam durna! Potrzebowałam aż takiego aktu rozpacz, żeby we właściwym świetle ujrzeć to, co cały czas wręcz kłuło w oczy Serce i myśli Malwiny po brzegi wypełniała beznadziejna miłość, z której wszyscy się naśmiewali. Mówili: głupia... frajerka... bez ambicji... czepia się chłopaka jak rzep psiego ogona... Tak, nasz osąd był niewłaściwy nieludzki i prostacki, bo my klasa, jesteśmy taką wredną, bezwzględną lożą szyderców. Rzucamy niefrasobliwie słowa, słowa--szpilki, słowa-kolce, słowa-sztylety, słowa-kamienie... a wystarczy jedna, jedyna sekunda refleksji, by uświadomić sobie, jak te słowa ranią.

I jeśli nawet ja sama nie mówiłam źle o Malwinie, grzeszyłam wzgardliwymi myślami, słuchaniem bez odrazy złośliwości na jej temat i cichą satysfakcją, że sama lepiej się

maskuje- Przecież jej problemy były kalką moich problemów jej bezsenne noce musiały być bliźniaczo podobne do moich, bo pewnie łamała sobie głowę, na czym polega erotyczny magnetyzm takiej Majki Joniec, magnetyzm, z którym przegrywa jej wielka, bezwarunkowa miłość. Tak. Dla Malwiny żaden dzień nie był wart życia bez Irka. Potrzebowała go bardziej niż powietrza.

A swoją drogą, dobrze byłoby posiadać tajemnicę zniewalania męskich serc. Musi przecież istnieć jakieś coś, jakiś wspólny mianownik, który poraża odmienną płęć. Chyba że jest inaczej, w przyrodzie pociąg płciowy jest powszechny, jedynie wyjątkowo zdarzają się wybrakowane osobniki, które epatują czymś, co zniechęca ewentualnych partnerów? A może rzeczywiście nie istnieje żaden powód do zakochania, wszelkie uczucia są sprawą chemii, jakichś testosteronów, estrogenów i innych hormonów, a rzecz polega na tym, że jedni wydzielają je obficie, u innych

ledwie ciurkają? Albo może to tylko jakieś przypadkowe spięcie w zwojach mózgowych? Chłopak spojrzy na dziewczynę, i nagle, trzask! Zwarcie! Odtąd jej obraz prześladowa go dniem i nocą. Myśli tylko o niej, powtarza ukochane imię jak zacięta płyta analogowa. Albo odwrotnie... brr... zgrzyt i dreszcz obrzydzenia. Gdyby posiadać tę wiedzę... Może wtedy wystarczyłaby odpowiednia pigułka, zastrzyk lub zwykły plaster w odpowiednim miejscu? Przykleisz pod lewą piersią - facet szaleje na twoim punkcie; przykleisz na prawym udzie - odkochujesz się, chociażbyś dzień wcześniej byłaś zadurzona po uszy. Boże, jakżeż wtedy życie byłoby proste i szczęśliwe.

Gdy wreszcie dotarłam do domu, najpierw stanęłam na wadze. Pięćdziesiąt sześć i pół! Zgroza. Muszę zrezygnować z ziemniaków. Ziemniakami tuczy się świnię. Nie chcę być tucznikiem.

'Zwycięstwo

Tymczasem w szkole powoli wygaszał spór o Boya-Żeleńskiego. Po serii artykułów, jednej audycji w radiu i jednym wywiadzie udzielonym przez naszego dyrektora redaktorowi miejscowej telewizji wyszło, że owszem, do Rady wpłynęła propozycja zmiany patrona szkoły jednakże żywiołowa reakcja uczniów była przedwczesna, wynikała z młodzieńczej zapalczywości i niezrozumienia procedur, ponieważ zgodnie ze Statutem ble, ble, ble, każdy ma prawo wnieść propozycję, a Rada musi ją przyjąć i rozpatrzyć. W tym przypadku, zanim rozpatrzyła, problem rozwiązał się sam. Wnioskodawca projekt wycofał.

Nikommu już się nie chciało dociekać prawdy chociaż natychmiast powstało kilka domyślnych wariantów przyczyny takiego obrotu sprawy Jedni uważali, że dyrekcja ustąpiła, bo się przestraszyła klęski w referendum, drudzy, że Rada powróci do tematu, gdy sprawa nieco przycichnie, jeszcze inni, że znajdą jakiś kruczek prawny żeby zmienić patrona w czasie wakacji. Tak czy owak, wygraliśmy, i tylko Aniela Świątek, zniesmaczona tym zwycięstwem przy każdej okazji ka-sandrycznie wieszczyla, że nasza głupia zadyma odbije się nam jeszcze czkawką.

Marek Szalach i Kamil Kostka wrócili już do szkoły, lecz klasa się od nich totalnie odwróciła. Nikt nie odpowiadał im na zwykłe „cześć”, nikt nie podchodził na przerwie pogadać, i chociaż na ogolonej głowie Marka widniały szwy grubości serdelków, nikt nie spytał, kto mu tak przydzwonił. Ostracyzm klasy przymusił ich do chodzenia własnymi ścieżkami, te zaś prowadziły najczęściej do załomu muru między budynkiem szkoły a halą sportową, gdzie na każdej przerwie palili papierosy VV sytuacji, gdy temat patrona się wypalił, przypadek naszego instruktora nauki jazdy urósł do rangi sensacji dnia. ^V poniedziałek rano Irek, ubiegając Izę, opowiedział o jego zjeździe w kucki z gołym tyłkiem i okazało się, że narciarstwo jest sportem, w którym można nie tylko połamać kości, narty lub kijki, ale i ponieść uszczerbek na honorze.

- Ja widziałem przypadek, jak jakaś oferma nie zauważyła że narobiła sobie z tyłu na narty i wozila „to” przymarz-nięte na kość przez cały dzień. Wszyscy pękali ze śmiechu, a biedaczysko myślało, że śmieją się z jego dowcipów - opowiedział inny przypadek Marek Ostrowski.

- A ja byłem świadkiem, jak na Kasprowym dziewczynie przy upadku rozdarło kombinezon i do wieczora świeciła gołym tyłkiem. Faceci dokonywali cudów, żeby

jechać za nią, bo tyłeczek miała, że ho, ho - przyrzekał Bartek Bugajski, chociaż kilka osób wątpiło, by nawet największa gapa przez kilka godzin nie odkryła, dlaczego pośladki marzną jej bardziej niż uszy Dorzucali zabawne zdarzenia inni, i w tym wesołym nastroju, nikt nie spytał o Malwinę. Zresztą, panował akurat okres grypowo-anginowy i w ogóle absencja była duża.

Po kilku dniach Wyszka przyniosła wiadomość, że Mal-wina została wypisana ze szpitala do domu, lecz coś z nią jest nie tak, uparcie milczy a rodzina pilnuje jej dniem i nocą, żeby, jak mówią, zapobiec następnym głupstwom.

- Nazywanie przez dorosłych głupstwami nawet najtrudniejszych problemów młodych jest normalką, pozostawiam to bez komentarza, lecz uważam, iż w takiej sytuacji powinniśmy ją odwiedzić - powiedziała na zakończenie.

- Po co? - zdziwiła się Iza.

- Żeby pomóc, rzecz jasna.

- Wtrącanie się w cudze sprawy nie jest żadną pomocą tylko zwykłym wścibstwem.

Gdyby potrzebowała naszego

85

wsparcia, skorzystałaby chociażby z telefonu. Nasze numery zna, a jak nawet zapomniała, istnieje biuro informacji.

Już raz ulegając sugestii Izy, zostawiłyśmy koleżankę w depresji samą na stoku, teraz historia się powtórzyła. Opuściłyśmy sobie. Tymczasem, chociaż my wtajemniczone trzymałyśmy język za zębami, w klasie najpierw szeptem, potem coraz głośniej zaczęto mówić o próbie samobójczej Malwiny jednak nikt nic pewnego nie wiedział. Naturalnym i najpewniejszym źródłem informacji uznano zaprzyjaźnioną z samobójczynią Wyszkę, ta jednak postawiła sprawę jasno:

- Dajcie mi święty spokój, nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Koniec, kropka - oświadczyła i twardo trwała w tym postanowieniu.

Ponieważ życie, nawet plotkarskie, nie lubi próżni, więc ruszyła lawina domysłów.

Jedni twierdzili, że się truła tabletkami nasennymi, drudzy że gazem, jeszcze inni, że wyskoczyła oknem, a wszyscy powoływali się na j akieś taj emnicze, pewne źródła. Iżę rzecz jasna okropnie swędział język, więc któregoś dnia nie wytrzymała.

- Opowiadacie głupstwa. Malwina ani się nie truła, ani nie wieszala, ani nie wyskoczyła oknem.

- Tylko? - padło zbiorowe pytanie, wtedy Iza, żeby podsycić ciekawość, powiedziała tajemniczo: - Wiem, lecz nie powiem.

W ten prosty sposób znów gładko weszła w rolę osoby dobrze poinformowanej, a informacja objęta klauzulą tajemnicy intryguje podwójnie. Kilka osób próbowało mnie wziąć na spytki, jednak oświadczyłam, że Iza, nie robi wyjątków nawet wobec przyjaciół. Chyba nikt w to nie uwierzył, a ponieważ uparcie trzymałam się tej wersji, w końcu nagabywania ustały

Dociekanie prawdy bez możliwości konfrontacji z faktami przypomina bicie piany co jest czynnością wyjątkowo

nudną, więc w końcu niewtajemniczonym temat się przejadł i zainteresowanie spadło.

- Nieważne, jak chciała z sobą skończyć Malwina, ważne, że znamy powód -

podsumowała Dorota Miłek któregoś dnia, żeby dać nam, poinformowanym, do zrozumienia, że możemy się wypchać swoją tajemnicą.

- Wątpię - Iza, próbując od nowa wzniecić ciekawość, zrobiła minę, jakby usłyszała okropną bzdurę.

- Przez Irka.

- Absurd.

Mimo zaprzeczeń Izy klasa jakąś wspólną intuicją uznała, że jednak powodem był Irek. Pozostała tylko do ustalenia kwestia bezpośredniego impulsu samobójstwa, bo musiał jakiś być. Coś ważnego. Szczególnego.

Miała rację pani Ratajowa. Ludzie odcięci od prawdy wymyślają niewyobrażalne brednie. Ktoś, na przykład, domniemał, bo tak mu akurat strześliło do głowy że Malwina jest z Irkiem w ciąży I chociaż wszyscy codziennie byli świadkami bezskutecznych prób Malwiny zainteresowania sobą Irka, uprawdopodobniono ten idiotyzm nowiną, że spotykali się potajemnie, aby ukryć romans przed Majką Joniec. Najdziwniejsze w tym było to, że ta ewidentna plotka zaczęła żyć własnym życiem, a nawet obrastać nowymi szczegółami. Znalazła się nawet osoba dobrze poinformowana, która przysięgła, że Ratajowie z tego powodu wygnali córkę z domu. Nadaremnie Irek przy każdej sposobności dementował te głupoty skandaliczny wydzźwięk tej wersji i czynił ją na tyle atrakcyjną, że ochoczo przyjęto ją jak najprawdziwszą prawdę. Jeśli nawet niektórzy mieli wątpliwości, to najczęściej z zastrzeżeniem, że w każdej plotce jest ziarno prawdy Z czasem tajemnica straciła powab tajemnicy i zainteresowanie samobójstwem Malwiny spadło do zera.

87

Kilka dni później zrobiła się odwilż, śnieg gwałtownie stopniał, jezdnie i chodniki zaległa błotnista maź, a północny wiatr zdawał się przenikać do samych kości. W czwartek po południu postanowiłyśmy z Izą wpaść do Pstryczka. W taką pieską pogodę zawsze przesiadywał tu tłum znajomych. Tak było i tym razem. Przy jednym ze stolików siedzieli: Wyszka, Arek Dobosz, Emil Dębski i Janek Wolski.

Dostawiłyśmy dwa krzesła i dosiedliśmy się do nich. Chłopcy rozmawiali akurat o jakimś meczu. Nasze przybycie ucięło eksploatację sportowego wątku, gdyż Iza wraz ze swoją obecnością zawsze narzucała temat, którym intrygowała albo nawet wprawiała w osłupienie słuchaczy

- Ach, mówię wam, nie uwierzycie, udało mi się coś niezwykłego - zawiesiła głos, aby wzmóc ciekawość, lecz w tę taktyczną pauzę wciął się Emil:

- Niech zgadnę, załatwiłaś Barszczykowi powołanie do wojska.

Powiedział to tak komicznie, że wybuchliśmy śmiechem. Iza zachnęła się:

- Pewnie sądzisz, że jesteś strasznie dowcipny?

- Może strasznie nie, ale wystarczająco, by pobudzić słuchaczy do brechtania.

Iza wywołała na twarz jedną z tych swoich urażonych min, która zawsze wprawiała mnie w poczucie niepewności. Nawet teraz, kiedy to żart Emila popsuł jej humor, czułam się, jakbym była temu winna, bo śmiałam się razem z innymi.

- No powiedz wreszcie, co ci się przytrafiło - podjęłam próbę skierowania uwagi na przyjaciółkę.

- Nieważne.

- No powiedz, nie napinaj się tak, słuchamy - poparł mnie Emil.

- Straciłam ochotę. Zresztą, musimy już iść - wstała. - Chodź, Karla.

Wyszłyśmy Do pośniegowego błota i północnego wiatru dołączyła lodowata mżawka. Bardziej parszywą pogodę trudno było sobie wyobrazić. Z żalem myślałam o pozostawionej właśnie cieplej i jasnej kawiarni, rozbawionych ludziach przy stoliku, i byłam zła na siebie, że bez słowa sprzeciwu, jak ja-Idźbezmózgowiec, poddałam się cudzej woli. Kazała mi wyjść, więc wyszłam, chociaż nie miałam ochoty ani żadnego konkretnego planu na resztę dnia.

- Wkurzający jest ten Emil. Dupek. Zwykły dupek - rzuciła Iza po kilku krokach.

Dla mnie był tylko genialnym, pewnym siebie kolegą, który specjalnie nie wyróżniał się ani złośliwością, ani zarozumiałstwem. Znałam wielu gorszych.

- Przesadzasz. Chciał tylko błysnąć dowcipem.

- No jasne. Jesteś głucha na niuanse. - Znaczyło to u niej: masz skórę grubą jak słoń.

Zaczęłam analizować słowa Emila, próbując dociec, jakie wtręty przemycił między wyrazami, które wyłapała tylko ona. Tymczasem wiatr siekł ostrym deszczem, błoto oblepiało buty co kilka metrów czyhały zdradliwe kałuże. W takich warunkach trudno było o sensowną analizę semantyczno-logiczną.

- Może odwiedzimy Malwinę? - zaproponowałam.

- No nie. Na dzisiaj wyczerpałam już limit zepsutego humoru. Wracam do domu.

Cześć.

- Cześć.

Trzed wielkim bale

Nigdy nie byłam na prawdziwym balu sylwestrowym. Oficjalnie niby z powodu zbyt młodego wieku, a tak naprawdę nie miałam ani z kim, ani za co. Zresztą, co tu dużo mówić o wielkich czy mniejszych balach. Wszystkie sylwestry spędzałam w domu. Należałam do wyjątków, gdyż większość koleżanek z klasy bawiła się jeśli nie na dyskotekach, to przynajmniej w klubach, lub chociażby na prywatkach. Cały zeszłoroczny styczeń upłynął na opowieściach o karnawałowych atrakcjach, a nieliczne niedołęgi mojego pokroju tylko słuchały i zazdrościły. Miałam cichą nadzieję, że w tym roku Firli, przynajmniej w celach reklamowych, zaprosi mnie na jakąś imprezę. Na razie czekałam.

W połowie grudnia znów przyszedł list z Holandii. Spotkałam się z tego powodu z Firliem w Pstryczku. I znów ja piłam wodę mineralną bez bąbelków, on z przejęciem czytał list, jednak tym razem, gdy skończył czytać, powiedział:

- Tuż po świętach znów coś do mnie przyjdzie. Proszę cię, Karla, to ważne, daj mi natychmiast znać. Obiecujesz?

- Jasne.

- Gdybyś na przykład nie mogła wyjść z domu, była chora, albo zajęta, zadzwoń.

Przyjadę osobiście.

- Dobrze.

. Oczekiwałam, że jak zwykle zacznie opowiadać o swoim holenderskim przyjacielu, wyjaśni, czego oczekuję następnym liście, a przy sposobności wspomni o sylwestrowych planach, niestety Dopijaliśmy w milczeniu, ja swoją wodę, on kawę. Czułam, że za chwilę podejdzie kelner, zapłacimy rachunek, a gdy już wyjdziemy z

kawiarni, okazja poruszenia intrygującego mnie tematu zniknie bezpowrotnie.
Postanowiłam działać.

- Masz jakiś pomysł na sylwestra? - spytałam bez żadnych wstępów.
- Szczerze mówiąc, nie myślałem o tym, ale pomyślę. Jasne, jasne, trzeba o tym pomyśleć. Załatwione.

Poszło łatwiej, niż myślałam. Może mężczyźni, bez względu na orientację seksualną, potrzebują inspiracji do działania? W końcu według ludowego porzekadła, mężczyzna jest głową, zaś kobieta szyją, która nią kręci.

Byłam z siebie dumna. Czekałam niecierpliwie na proporcję Firlego, lecz zanim się doczekałam, któregoś dnia Iza spytała:

- Masz ochotę na wielki bal sylwestrowy w Klubie Oficerskim?

-Ale Firli...

- Interesuje mnie twoje zdanie, nie Firlego.

- Oczywiście.

- Więc idziemy, Firli musi się dostosować.

Tata Izy jest oficerem, dokładnie pułkownikiem w dużej jednostce wojskowej. Przy jednostce działa kantyna zwana popularnie Klubem Oficerskim. O imprezach tam organizowanych krążą na mieście legendy. Niestety przywilej bywania w klubie mają wyłącznie wojskowi, ich rodziny ludzie związani z wojskiem oraz osoby im towarzyszące.

- Ile to będzie kosztować?

- Taniocha. Dwie stówy od głowy

Taniocha jak mało co na tym świecie jest pojęciem względnym. Dla mnie było to cholernie drogo, dla Firlego pewnie też, więc z propozycji nie mogłam skorzystać.

- Niemożliwe, ja...

- Co? Zaskoczyłam cię? - parsknęła śmiechem. - Tak tanio, bo sala jest własnością jednostki, przygrywa orkiestra wojskowa, a za kucharzy, kelnerów i szatniarzy robią żołnierze. W nagrodę dostają przepustki jak za dodatkową służbę. Reflektujesz?

Nagle pomysł wydał mi się kuszący. Mogłam pożyczyć pieniądze od mamy, potem spłacać z kieszonkowego.

- Reflektuję.

Wieczorem zadzwoniłam do Firlego i powtórzyłam mu propozycję Izy

- Świetny pomysł, ale ... - zawiesił głos. Domyśliłam się w mig, w czym problem.

Forsa!

- Niedrogo, po dwieście złotych od osoby. Ja, rzecz jasna, płacę za siebie - pośpieszyłam z wyjaśnieniem.

Tylko udawaliśmy parę, w kawiarni płacił za mnie niewysokie rachunki, lecz wstęp na bal karnawałowy był wydatkiem nie na jego kieszeń. Mógłby pod byle pretekstem zrezygnować, a tego nie przeżyłabym. Gotowa byłam sama pokryć wszystkie koszty choćbym miała stanąć na głowie.

- No dobrze, chociaż.... - Serce mi zamarło. Niepotrzebnie, bo nagle zmienił ton. - Super, naprawdę super.

Mama pożyczyła mi pieniądze, a nawet wspaniałomyślnie umorzyła połowę długu. Teraz pojawił się problem, co na siebie włożyć, a marzyłam o pięknej, wytwornej sukni, ja-snobłękietnej, z dekoltem, ozdobionej delikatnymi cekinami przy staniczku,

do tego atlasowych bucikach pod kolor i naszyjniku z diamencików. No, w najgorszym przypadku z cyr-konii. Z praktyki wiedziałam, że i tak skończy się na jakichś trzeci raz nicowanych starociach z kolekcji mamy pamiętającej lepsze czasy „Trudno, przynajmniej sobie pomarzę” -myślałam.

Gdy ja bujałam w obłokach, Iza działała. Uwijała się jak. w ukropie w poszukiwaniu wystrzałowej kreacji. Towarzyszyłam jej w codziennych rajdach po najdroższych sklepach. Od oglądania zapierających dech w piersi ofert najlepszych kreatorów mody, jasnobłękitna suknia moich marzeń bledła coraz bardziej, w końcu rozplynęła się w niebycie zapomnienia. Nie musiałam już marzyć, codziennie z wieszaków i manekinów kusily klientów gotowe arcydzieła sztuki krawieckiej, że tylko przymierzać i kupować. Gdy się jest przy kasie, oczywiście, bo ceny przyprawiały o zawrót głowy. Niestety, tylko mnie, bo na Izie nie robiły wrażenia. Poza tym ja zachwycałam się wszystkim, albo prawie wszystkim, jej nie podobało się nic, lub prawie nic. Gdy na przykład mówiłam:

- O, ta sukienka jest bardzo ładna. Iza krytycznie stwierdzała:

- E tam, jest beznadziejna. - Albo: - Mogłaby być, gdyby nie ten wieśniacki krój. -

Albo: - Tandetny materiał. - Albo: - Koszmar, tego już od dwóch lat się nie nosi. -

Albo: - Wygląda jak sprana szmata, albo coś w tym rodzaju.

Ponieważ każdą odzywką obnażałam tylko swoje bezgu-ście i brak rozeznania w aktualnych trendach zmieniłam taktykę. Zaprzestałam komentarzy, dopiero gdy Iza wyciągała jakąś sukienkę i pytała, co o niej myślę, próbowałam odgadnąć z jej miny, czy wpaść w zachwyt, czy tylko wyrazić średnio entuzjastyczną opinię. Przy założeniu, że taki ekspert od mody j ak ona nie zwróciłby uwagi na tandetny ciuch, z góry wyeliminowałam negatywne opinie i dzięki temu w dziewięćdziesięciu procentach trafiałam w jej oczekiwania.

Kiedy wreszcie z setek obejrzanych i dziesiątek przymierzonych sukienek oraz butów Iza wreszcie coś wybierała, konsultowała wybór z mamą, która najczęściej odradzała jej pomysł, jako mało oryginalny niezbyt elegancki, niewystarczająco ekstrawagancki, za skromny, za ciemny, za jasny za mocno zabudowany pogrubiający, spłaszczający piersi, poszerzający biodra, skracający nogi... Zaczęłam wątpić, czy przez takie sito ma szansę cokolwiek przejść.

Pani Solska jest diametralnie różna od mojej mamy. Z dobrym skutkiem dokłada wielu starań, żeby wyglądać na starszą siostrę Izy Regularnie ćwiczy na siłowni oraz ubiera się jak nastolatka. Pracuje w eleganckiej perfumerii i wygląda, j akby była żywą reklamą produktów, które sprzedaj e. Moja mama nosi ubrania klasycznego kroju, w stonowanych Dar~ wach i z dyskretnymi dodatkami. Jedyłą ekstrawagancją, na jaką sobie pozwala, są kapelusze. Kiedyś próbowałam namówić ją na jakieś młodzieżowe wdzianko, lecz odrzekła, że nie gustuje w stylu dzidzi-piernik, gdyż czterdziestoletnia dzierlatka bardziej wzbudza zażenowanie niż podziw a ona, chociażby z racji profesji, na nic takiego pozwolić sobie Bie może, nawet gdyby chciała.

Z opowiadań Izy wiem, że pani Solska tańczyła niegdyś w wojskowym zespole pieśni i tańca, miała nawet szansę przejść do „Mazowsza”, lecz na szczęście zakochała się w przy-stojnym oficerze. „Jestem dzieckiem pięknej miłości, a dzieci zrodzone z pięknej miłości są wyjątkowe” - powtarzała zawsze Iza, kończąc

wspomnienia o rodzicach. Swoim zwyczajem za każdym razem zmieniała nieco ich wersję, jednakże co tam fakty przy takim ładunku romantyzmu. Ale wracam do sedna sprawy Patrząc z boku, można by dojść do wniosku, że nadmiar możliwości jest równie kłopotliwy jak ich niedobór. Mijały kolejne, pracowite dni, a Iza niczego nie kupiła. Wreszcie któregoś dnia stwierdziła:

- Cholera, tak to jest mieszkać prowincji.

- Dwustutysięczne miasto trudno uznać za prowincję.

- Jeżeli chodzi o modę, jesteśmy sto lat za Murzynami. Same barachło.

Postanowiłyśmy z mamą skoczyć na zakupy do Warszawy A ty? - Wreszcie skierowała uwagę na mnie. - Masz już coś na oku, czy pojedziesz z nami?

- Ostatnio jestem w finansowym dołku, więc zakupy w stolicy raczej odpadają. - Prawdę mówiąc, mój finansowy dołek jest stanem permanentnym.

- Mam rozumieć, że z kieszonkowego chcesz kupić sylwestrową sukienkę? Zwariowałaś? Zostaw to zmartwienie mamie.

- Mama miała ostatnio spore wydatki i...

- E tam. Jej wydatki, jej problemy. Musisz twardo egzekwować należny ci standard, inaczej będziesz skazana na byle tandetę jak jakaś czwartorzędna elegantka.

Sylwester jest tylko raz w roku. Ja w ogóle nie wyobrażam sobie, że rodzice mogliby mi czegokolwiek odmówić. - Przewróciła z dezaprobatą oczami, wzruszyła ramionami i po krótkiej chwili milczenia zaproponowała pomoc. - Czasem na wyprzedzających

02na kupić coś fajnego. Chodźmy do mojej mamy, ona jest w tym dobra.

W perfumerii ruch był niewielki. Pani Solska, aktualnie platynowa blondynka z modnie wystrzępionymi włosami, miała na sobie obcisły, bordowy sweterek długością ledwie sięgający paska czarnych, błyszczących spodni.

- Cześć, mamcia. - Iza przechyliła się nad gablotą i pocałowała ją w policzek.

- Cześć, Izunia. Cześć, Karlusia. Co słychać, dziewczynki?

- Karla ma problem z sylwestrową kiecką. Cienko u niej z kasą, więc poszukuje czegoś fajnego, lecz niedrogiego.

- Rozumiem, coś z przeceny - ściszyła głos, jakby mówiła o jakiejś wstydlivej sprawie. - W Gracji sprzedają za bezcen zeszłoroczne kreacje. Niektóre są pierwsza klasa. I tanio. Dwuczęściową sukienkę z koronki i jedwabnej tafty można kupić już za sześćset złotych.

Wyobraziłam sobie cenę sprzed przeceny

- Rozważę tę możliwość - powiedziała wykrętnie, próbując lekkim tonem zamaskować uczucie zawodu.

- Chodźmy przynajmniej przymierzyć - zapaliła się Iza.

- Innym razem.

- No chodź, może akurat trafisz na coś przyzwoitego.

- Naprawdę nie.

- Z tobą tak zawsze - prychnęła i zrobiła obrażoną minę. W stosunku do Izy mam w sobie coś takiego, że każda

chęć przysługi z jej strony, rodzi u mnie poczucie, że winna jej jestem dozgonną wdzięczność. A kiedy już muszę z jakiegoś powodu odrzucić propozycję pomocy, czuję się jak ten biblijny wieprz, który depcze perły.

Wróciłam do domu w podłym nastroju, a że do sylwestra wciąż było daleko, dopiero zbliżało się Boże Narodzenie, postanowiłam na razie odpuścić sobie konfekcyjny problem.

Tierwsze prawdziwe sukcesy

Koło Wigilii nareszcie moja waga ruszyła w dół. Pięćdziesiąt cztery kilogramy! W ciągu niecałych dwóch tygodni dwu-ipółkilogramowy spadek. To podniosło mnie na duchu i zmobilizowało do dalszych wyrzeczeń. Ba, jakich tam wyrzeczeń!

Dostosowanie ilości pożywienia do rzeczywistych potrzeb organizmu nie jest żadnym wyrzeczeniem. No i czułam się dużo lepiej. Było mi lekko, jakby wraz ze zbędnymi kilogramami znikły z mojego ciała jakieś toksyny, które męczyły serce, obciążały kamieniem wątrobę, tworzyły złogi w żyłach, i błotniste osady w nerkach. Teraz, dzięki żelaznej dyscyplinie, wychodziłam z tego fatalnego stanu. Tymczasem mama ni z gruszki, ni z pietruszki zaczęła mi się baczniej przyglądać i zadawać niewygodne pytania. A dla mamy, jak dla większości mam, jedynie dziecko-pączuś stanowi najlepszą wizytówkę rodzicielskiej troski. Również Liii, choć niepytana o zdanie, raz po raz startowała z wytykami, że przesadzam z odchudzaniem, lecz ja przejrzałam tę złośliwą małpę. Chce, żebym źle wyglądała, by ona sama mogła błyszczeć na moim tle. Niedoczekanie!

Zaczęłam nosić luźniejsze ubrania i w miarę możliwości jadać osobno. To ważne, aby nikt nie patrzył, ile nakładasz na talerz, gdyż zawsze uzna, że za mało.

Kolacja wigilijna stanowiła groźbę zaprzepaszczenia tego, co już osiągnęłam. A stół zwyczajowo z tej okazji zastawia się obficie. W tym dniu normą jest kulinarne molestowanie. Uświęcony zwyczaj wymaga zjeść jedną chochelkę żuru na wędzonce, drugą barszczyku z uszkami, gołąbka z kaszą i grzybkami, no i koniecznie dzwonko karpia po żydowsku, i lalka pierożków z kapustą, i kilka mięsem, i szklanek kompociku z suszonych śliwek... i jeszcze to, i jeszcze owo, a wszystko pyszne, zdrowe, zrobione zgodnie z rodzinną tradycją, a tradycja, jak wiadomo, ma w pogardzie kalorie.

96

Tego roku przy wigilijnym stole zasiedli Kryszkowie, znajomi mamy z uczelni, oraz pan Teofil, samotny starszy pan, który mieszka w domu opieki społecznej. Pana Teofila, złotą rączkę, zawsze wzywaliśmy, gdy trzeba było naprawić ciekący kran, wymienić zamek w drzwiach, przepchać zatkaną rurę kanalizacyjną, przyciąć żywopłot, albo zrobić cokolwiek, co nas przerastało. Kilka lat temu pan Teofil podupadł na zdrowiu, rzadziej u nas bywał, jednak nadal zapraszałyśmy go na Wigilię i Wielkanoc, by przynajmniej w święta miał namiastkę prawdziwej rodziny. Oczywiście przygotowałam się logistycznie do tej wielkiej wyżerki. Ubrałam się w obszerną bluzkę i spódnicę ze sporymi kieszeniami, kieszenie wyłożyłam miękką folią. Zająłam miej sce na końcu stołu, jak najdalej od mamy i Liii, gdyż było jasne, że to one skupią na sobie całą uwagę i nikt nie będzie zaprzętał sobie głowy obserwacją mojego talerza. Tak, jak założyłam, kolejne porcje jedzenia niespostrzeżenie lądowały w foliowych woreczkach, które opróżniałam w przy okazji licznych kursów do kuchni.

Na potrawy płynne też znalazłam sposób. Prosty, chociaż wymagający sprytu.

Brałam do ust na przykład łyżkę barszczu i po chwili, niby to popijając, wypluwałam

go do filiżanki. W filiżance, zamiast ubywać, wciąż przybywało płynu, jednak nikt tego nie spostrzegł.

Nie samo obżarstwo jest istotą Wigilii, są i prezenty. Z powodu naszej mizerności finansowej, od lat wyjątkowo skromne. Powiedziałybym - symboliczne. Ot, jakieś książki, skarpetki, mydełko, dezodoranty czasem paczka kawy dla mamy. Dla pana Teofila krem do golenia lub woda toaletowa, od niego - po tabliczce czekolady. W tym roku, z uwagi na dodatkowych gości, prezentów było więcej, jednak nie spodziewałam się rewelacji. Tymczasem już po rozpakowaniu pierwszej, płaskiej paczuski przeżyłam szok. Wraz z tabliczką Mlecznej z orzechami dostałam kopertę z dwustuzłotowym banknotem. Spojrzałam z niedowierzaniem na pana Teofila.

- Tego roku aniołek najwyraźniej poszedł na łatwiznę. - Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

- Dziękuję. - Cmoknęłam go w policzek.

Koperty z pieniędzmi otrzymały również mama i Liii. Od Kryszków dostałyśmy po bransoletki z półszlachetnych kamieni, mama - butelkę szkockiej whisky, oni od nas - butelkę francuskiego szampana. Na prezent dla pana Teofila złożyliśmy się wszyscy i kupiliśmy elegancki szalik oraz ciepłe rękawiczki z kożuskiem.

Okres bożonarodzeniowy mimo gastronomicznego terroru, jest naprawdę wspaniały, bo to nie tylko śnieg, wystrój miasta, olbrzymia jodła ustawiona na rynku przed ratuszem, ale również domy pachnące lasem i woskiem płonących świec, ciepły blask kominka, kolorowe lampki na choince, kolędy podniosły nastrój, i ten spokój, gdy wszyscy są razem, nikomu nigdzie nie spieszo, nikt nie siedzi jak na szpilkach, bo oderwał się od pilnej pracy a gonią go terminy... bo jest umówiony... bo jest spóźniony... bo nazajutrz musi wcześniej wstać, a jeszcze nie zrobił tego czy tamtego...

Tuż po dwudziestej pan Teofil wstał z zamiarem powrotu do swojego domu opieki społecznej.

- Panie Teofilu, a dokąd to? Niech pan z nami zostanie - powstrzymała go mama.

- Pani kierowniczką nie toleruje spóźniających. Napisałem w zeszycie, że wrócę przed dwudziestą pierwszą. Już na mnie czas.

- Załatwię panu prolongatę przepustki. Będzie nam miło, jeżeli zechce pan być naszym gościem przez całe święta. Pościelimy panu w narożnym pokoju.

- Tak, niech pan zostanie - poparłyśmy z Liii zgodnie mamę.

Widać było, że nasza propozycja wzruszyła pana Teofila. Trochę się wzbraniał, lecz w końcu dał się posadzić na fotelu przy kominku. Raz po raz ktoś podchodził do niego, by uciąć sobie pogawędkę. Nikt z nas nie przypuszczał wtedy, że spędzamy ostatnie z nim święta, i że jego odejście tyle zmieni w naszym życiu.

Przed snem stanęłam na wadze. Chociaż dobrze wiedziałam, że waga nie wzrosła ani o pół deka, widok wskazówki na pięćdziesiątce czwórce był najwspanialszą nagrodą za świetnie wykonane zadanie. Satysfakcja, którą tak rzadko odczuwam z własnego powodu, sprawiła, że zasnęłam szczęśliwa.

W nocy przebudziłam się na chwilę i przez uchylone drzwi zobaczyłam światło w salonie. Dochodziła druga, więc kominek powinien już wygasnąć, a lampki na choince być wyłączone. Nie zakładając szlafroka, zesłam sprawdzić, co się stało.

W fotelu siedział pan Teofil zapatrzony w ogień.

- Źle się pan czuje, panie Teofilu?

- Ależ nie, drogie dziecko, wszystko w porządku. Siedzę tak sobie i rozmyślam. Zaraz idę do łóżka.

- Potrzebuje pan może czegoś?

- Dziecinko, starzy ludzie potrzebują niewiele. Ot, odrobiny zdrowia i od czasu do czasu dobrego słowa.

- Naprawdę tylko tyle?

Nie do wiary że istnieją tacy minimaliści. Ja bez zastanowienia potrafiłabym wyliczyć długą listę potrzeb, a potrzebuję miłości, akceptacji, urody figury modelki, ładnych strojów, markowych kosmetyków, sukcesów w sporcie, dobrych wyników w nauce i najważniejsze, chociaż wymienione na końcu - kogoś, kto by na zawsze był moją życiową kotwicą, rozumiał mnie i kochał, jak to się mówi, do grobowej deski. Niestety, jakoś nie widać amatorów.

Dwieście złotych, które dostałam od pana Teofila, nie rozwiązywało rzecz jasna problemu balowej kreacji, nawet z wyprzedaży, lecz przynajmniej kasowało z nadwyżką dług u mamy

Tuż po świętach Liii ze swoją paczką pojechała na jakiś studencki spęd w Tatry, a mama, jak przewidywałam, przystąpiła do dzieła. Najpierw w lamusie na poddaszu przejrzałyśmy szafę z działem stroje wieczorowe. Spośród sukien ze staroświeckich lam, brokatów, koronek, tiuli, atlasów, szyfonów, aksamitów i welurów uszytych według mody o której uczą już tylko na historii ubioru w szkołach krawieckich, mama wybrała ciemnozieloną, ozdobioną przy dekolcie złotym haftem richelieu.

- Myślę, że ta będzie akurat.

- Ten klosz i te zaszewki odpadają - gładko weszłam w rolę znawcy mody

- Dół przerobimy na wąską spódnicę z rozcięciem z boku albo z tyłu, górę przytniemy, doszyjemy ramiączka i będzie super.

I tak cud, że obeszło się bez wstawek, sztukowań i cięć w różnych, dziwnych miejscach w celu zamaskowania śladów niegdysiejszych zaszewek, albo naszywania aplikacji na zbędne dziurki od guzików. Gdybym studiowała krawiectwo, na temat techniki wtórnego wykorzystania znoszonych ubrań, mogłabym napisać doktorat.

Dwa dni kombinowałyśmy jak koń pod górę, żeby jakoś dopasować poprute i rozprasowane kawałki starej sukien' ' do papierowych form nowej kreacji. Jakie to trudne, wie tyl ko ten, kto chociaż raz w życiu próbował tej sztuki. Gdy ju' pokonałyśmy etap wstępny przez kolejne dwa dni mama siedziała przy maszynie, zaś jaw samych majtkach stałam obok w roli (ledwie) żywego manekina. Trzeba wiedzieć, że dla

krawcowych-amatorek sukces jest wprost proporcjonalny do liczby przymiarek, a obie bardzo pragnęłyśmy sukcesu.

W pewnej chwili mama, upinając na mnie kawałki materiału, spytała:

- Karla, coraz gorzej z tobą. Jesteś sucha jak patyk, a tyłek masz płaski jak chłopak.

- Chciałabyś, abym miała XXXL?

- Daleka jestem od takiej przesady, lecz powinnaś być trochę pełniejsza.

Spróbowałam zbagatelizować jej uwagę:

- Siejesz panikę, nie odbiegam od normy Poza tym czuję się dobrze i jestem zdrowa

jak koń.

Mama z dezaprobatą pokręciła głową i nadzwyczaj łatwo odpuściła sobie ten temat, lecz czas pokazał, że nie na długo. Na razie w pocie czoła pracowałyśmy nad sukienką, aż wreszcie szczęśliwie dobrnęłyśmy do końca. Wyszło nawet fajnie.

Sylwester

Zdawało się, że śnię. Ja, Karla, która dotąd marzyłam choćby o zaproszeniu na potupajkę w remizie, jechałam na bal w Klubie Oficerskim. Państwo Solscyuprzejmie zabrali mnie swoim samochodem spod domu. Firli miał czekać w holu klubu. Po raz pierwszy czułam się kimś ważnym, byłam pełna wiary, że oto w moim życiu nadszedł moment zwrotny, kiedy to z brzydkiego kaczątka przemieniam się we wspaniałego łabędzia i odtąd będzie tylko pięknie i szczęśliwie.

Przy podjeździe rzęsiście oświetlonego budynku Klubu zatrzymywały się kolejno samochody z których wysiadali wytworni panowie i panie, a wśród nich i ja. Mina zrzędała mi nieco, gdy w szatni oddaliśmy płaszcze i wreszcie mogłam docenić wysiłki Izy i jej mamy Obie - pani Solska w obcisłej sukni ze srebrnych łusek i rubinowym naszyjniku, Iza w dwuczęściowej sukience ze złotobezowej koronki i z włosami upię. tymi jakoś tak, że fryzura była jednocześnie, i wyszukanie elegancka, i lekko frywolna- wyglądały zjawiskowo pięknie. Być może Liii mogłaby z nimi konkurować nawet w przenicowanej chałupniczo sukience, ja poczułam się, jakbym wyszła z zakurzonej szafy Nawet gorzej: jak Kopciuszek, który na swojej drodze nie spotkał żadnej dobrej wróżki.

Firli się spóźniał. Coraz bardziej nerwowo spoglądałam w kierunku wejścia.

- Spokój nie, spokojnie, Karla, dziś trudno złapać taksówkę. Poczekamy jeszcze.

Miejsca są rezerwowane - raz po raz pocieszała mnie pani Solska, jednak ja czułam, że coś jest nie tak. I miałam rację, bo oto podszedł do nas jeden z szatniarzy, dając dowód, że w moim przypadku prawo Murphy'ego⁷ działa bezbłędnie.

- Przepraszam, pani Karla Malska? -Tak.

- Poproszono mnie, żebym pani przekazał ten list. Proszę. Poczułam, jak cała krew ucieka mi w pięty Wyj ęłam z koperty kartkę i przeczytałam:

Karla!

Błagam, wybac mi, jadę do Amsterdamu. Wiem, że postępuję nie fair, ale tak wypadło. Wytłumaczę się przy następnym spotkaniu. Życzę Ci wszystkiego najlepszego i jeszcze raz przepraszam.

M.E

Gorszego upokorzenia mogła doznać tylko panna młoda, której narzeczony zwiął sprzed ołtarza. Czułam, jak wzbierają we mnie tak różnorodne emocje, że lada chwila ich wypadkowa wystrzeli na zewnątrz, eksplodują i będzie skandal.

⁷ Jeśli coś może pójść źle, to pójdzie.

Przyj edzie pogotowie i w kaftanie bezpieczeństwa odwiezie nje do jakiegoś wariatkowa. Chociaż doskonale wiem, że ;estem zbyt skromną osobą, by wzbudzać ogólne zainteresowanie, widziałam wokół setki wzgardliwych spojrzeń i słyszałam rozchodzący się jak fala po stawie ironiczny śmiech.

- Karla, co znowu? - Iza wyrwała mnie z odrętwienia.

- Firli, to znaczy Miłosz, nie przyjdzie...

- No nie! Puścił cię w trąbę?!

- Izuniu - skarcił ją pieszczotliwie pan Solski.

- Musiał pilnie wyjechać.

Zapadło długie, dające wiele do myślenia milczenie, które wreszcie przerwała pani Wolska.

- Więc chodźmy. - Ujęła mnie pod rękę. Gdyby nie ten gest, pewnie uciekłabym, gdzie pieprz rośnie. - Takie sytuacje się zdarzają, lecz teraz zapomnij o tym.

Łatwo radzić. Bał wprawiał mnie w euforię, gdy był tylko oczekiwaniem, teraz napawał przygnębieniem sto razy gorszym niż wszystkie przepłakane w poduszkę noce. Każdy miał jakąś przyjazną duszę, albo przynajmniej partnera do tańca... Mnie nikt nie kochał. Nikt! Nikt! Nikt! A brak miłości to najgorsza tortura. Może zabić.

Mimo minorowego nastroju dałam się wprowadzić po schodach na piętro, potem przez obszerny hol do oświetlonej rzeźbiarskiej sali, która sprawiała wrażenie wycinka przestrzeni z innej rzeczywistości. Kolorowe światła, serpentyny, lamety, baloniki, lampiony... przesycająca powietrze woń perfum, szelest jedwabiu, żorzety, tafty... migotliwe błyski naszyjników, bransoletek, pierścionków, broszek... zastawione elegancko stoły... Wszystko mieniło się jak w kalejdoskopie, lecz dla mnie był to kalejdoskop wyłącznie z czarnych szkiełek.

W głębi, na podwyższeniu siedmioosobowa orkiestra przygrywała wchodzącym gościom pogodne kompozycje. Na tyl-

103

sukni ze srebrnych łusek i rubinowym naszyjniku, Iza w dwuczęściowej sukience ze złotobeżowej koronki i z włosami upiętymi jakoś tak, że fryzura była jednocześnie, i wyszukanie elegancka, i lekko frywolna - wyglądały zjawiskowo pięknie. Być może Liii mogłaby z nimi konkurować nawet w przenicowanej chałupniczo sukience, ja poczułam się, jakbym wyszła z zakurzonej szafy Nawet gorzej: jak Kopciuszek, który na swojej drodze nie spotkał żadnej dobrej wróżki.

Firli się spóźniał. Coraz bardziej nerwowo spoglądałam w kierunku wejścia.

- Spokojnie, spokojnie, Karla, dziś trudno złapać taksówkę. Poczekamy jeszcze.

Miejsca są rezerwowane - raz po raz pocieszała mnie pani Solska, jednak ja czułam, że coś jest nie tak. I miałam rację, bo oto podszedł do nas jeden z szatniarzy, dając dowód, że w moim przypadku prawo Murphy'ego⁷ działa bezbłędnie.

- Przepraszam, pani Karla Malska? -Tak.

- Poproszono mnie, żebym pani przekazał ten list. Proszę. Poczułam, jak cała krew ucieka mi w pięty Wyjęłam z koperty kartkę i przeczytałam:

Karla!

Błagam, wybac mi, jadę do Amsterdamu. Wiem, że postępuję nie fair, ale tak wypadło. Wytłumaczę się przy następnym spotkaniu. Życzę Ci wszystkiego najlepszego i jeszcze raz przepraszam.

M.F.

Gorszego upokorzenia mogła doznać tylko panna młoda, której narzeczony zwiął sprzed ołtarza. Czułam, jak wzbierają we mnie tak różnorodne emocje, że lada chwila ich wypadkowa wystrzeli na zewnątrz, eksplodują i będzie skandal.

⁷ Jeśli coś może pójść źle, to pójdzie.

przyjedzie pogotowie i w kaftanie bezpieczeństwa odwiezie mnie do jakiegoś wariatkowa. Chociaż doskonale wiem, że jestem zbyt skromną osobą, by wzbudzać

ogólne zainteresowanie, widziałam wokół setki wzgardliwych spojrzeń i słyszałam rozchodzący się jak fala po stawie ironiczny śmiech.

- Karla, co znowu? - Iza wyrwała mnie z odrętwienia.

- Firli, to znaczy Miłosz, nie przyjdzie...

- No nie! Puścił cię w trąbę?!

- Izuniu - skarcił ją pieszczotliwie pan Solski.

- Musiał pilnie wyjechać.

Zapadło długie, dające wiele do myślenia milczenie, które wreszcie przerwała pani Wolska.

- Więc chodźmy - Ujęła mnie pod rękę. Gdyby nie ten gest, pewnie uciekłabym, gdzie pieprz rośnie. - Takie sytuacje się zdarzają, lecz teraz zapomnij o tym.

Łatwo radzić. Bał wprawiał mnie w euforię, gdy był tylko oczekiwaniem, teraz napawał przygnębieniem sto razy gorszym niż wszystkie przepłakane w poduszkę noce. Każdy miał jakąś przyjazną duszę, albo przynajmniej partnera do tańca... Mnie nikt nie kochał. Nikt! Nikt! Nikt! A brak miłości to najgorsza tortura. Może zabić.

Mimo minorowego nastroju dałam się wprowadzić po schodach na piętro, potem przez obszerny hol do oświetlonej rzeźbionej sali, która sprawiała wrażenie wycinka przestrzeni z innej rzeczywistości. Kolorowe światła, serpentyny, lamety, baloniki, lampiony... przesycająca powietrze woń perfum, szelest jedwabiu, żorzety, tafty... migotliwe błyski naszyjników, bransoletek, pierścionków, broszek... zastawione elegancko stoły... Wszystko mieniło się jakwalejdoskopie, lecz dla mnie był to kalejdoskop wyłącznie z czarnych szkiełek.

W głębi, na podwyższeniu siedmioosobowa orkiestra przygrywała wchodzącym gościom pogodną kompozycję. Na tylnej kulisie, na razie w cieniu, polatywał amarek z łukie i szarfa z wypisanym numerem nadchodzącego roku.

Zajęliśmy miejsce przy stoliku, przy którym już siedzieli państwo Kwiatkowie, jak wywnioskowałam z późniejszych strzępków zdań, on podpułkownik, ona cywilny pracownik sztabu. Tymczasem powoli, powoli docierała do mnie świą domość, że ani ja, ani mój dramat tak naprawdę nikogo nie obchodzą. Z przyciszonego gwaru ogólnie przebijająca radość i nadzieja a dobrej zabawy. Jednym uchem wyławiałam wytwórnie komplementy kierowane nie do mnie, drugim słuchałam przekomarzań Izy z Maćkiem.

Orkiestra zaczęła grać standardy taneczne, coraz więcej par wychodziło na parkiet, a dla mnie nadszedł czas następnej porcji upokorzenia. Ponieważ byłam bez pary, a nie wypada zostawić przy stoliku samej kobiety, więc kolejno dwie pary tańczyły, a jedna para dotrzymywała towarzystwa tej pani, dla której akurat brakło partnera. Czułam totalną żenadę, chociaż w tym układzie rachunek prawdopodobieństwa dawał mi szansę przetańczenia co drugiego kawalka.

Zabawa nabierała wigoru. Suto zakrapiana alkoholem konsumpcja sprawiała, że nastrój był coraz swobodniejszy rozluźniały się hamulce i wkrótce swawolna bezceremonialność bez śladu wyparła początkową układność. Raz-dwa nadeszła faza wspólnej zabawy, no i się zaczęło. Gdzieś z głębi sali zaczęli rojnie wylaniać się chętni do tańca z Izą, czasem do naszego stolika trwały swoiste wyścigi, podchodziło dwóch, a nawet trzech konkurentów. Szczęśliwiec, który ubiegł rywala, ruszał w tany

ze śliczną wybranką, pozostali, by nie odchodzić z kwitkiem, prosili czasem mnie, czasem panią Kwiatkową, bo pani Solska miała powodzenie niewiele mniejsze od córki. Maciek w tym czasie tylko ścisnął szczęki, lecz najwidoczniej tej nocy postanowił sobie odpuścić. Przynajmniej na razie.

Koło dwudziestej drugiej szczęście uśmiechnęło się i do ^ojej skromnej osoby, chociaż było to szczęście cokolwiek zezowate -wpadłam w oko spoconemu, mocno podchmielonemu grubasowi w randze majora. Grali akurat jakieś tango--prytulango. Mogłabym wyobrażać sobie, że jestem smukłą i wiotką Nataszą Rostową z Wojny i pokoju Lwa Tołstoja i tańczę z Andrzejem Bołkońskim, który ma twarz Rafała, ale kicha. Major nie tylko sapał jak parowóz, lecz tańczył z takim przyciskiem, jakby chciał na mojej skórze odcisnąć wszystkie guziki od munduru. A kiedy już odprowadził mnie na miejsce, ścisnął porozumiewawczo rękę i posłał oblesnego całusa. Fuj. Już odchodząc, spostrzegł wolne krzesło, natychmiast je zajął i wdał się w pogawędkę z Solskimi i Kwiatkami. I wtedy wyszło, że to na dodatek homo macantus, a rozmowa jest tylko pretekstem, by pod stołem ścisnąć moje kolana. Jezu!

- jęknęłam w duszy i wstałam.

- Idziesz poprawić makijaż? Super, pójdziemy razem - zaproponowała Iza.

Wyszłyśmy do toalety - Jak się bawisz?

- Nawet...

- Widziałas tego przystojniaka? - Izie zawsze brakuje cierpliwości, żeby wysłuchać kogoś do końca, gdy sama ma coś pilnego do powiedzenia. - Tego wysokiego blondyna w mundurze oficera lotnictwa.

- Tak. Superfacet. Niestety, jest z partnerką, w dodatku w ciąży - Też zwróciłam na niego uwagę, był rzeczywiście diablo przystojny, a poza tym siedział przy sąsiednim stoliku.

Iza lekceważąco wzruszyła ramionami i nagle zmieniła temat.

- Mam już dość Maćka. Tylko psuje mi zabawę.

Do toalety weszły następne dwie panie. Przypudrowałyśmy nosy i ruszyłyśmy w stronę sali. Już z daleka dostrzegłam, że gruby major nadal siedzi przy naszym stoliku, za to Maciek stoi przy drzwiach.

- O nie - zezłościła się Iza na jego widok. - Przesadza idiota! Kłótnia siekierą wisiała w powietrzu. Stałam przed

wyborem: być świadkiem kolejnej sceny zazdrości czy iść prosto w objęcia grubego majora. I wtedy opatrność uznała, że wyczerpałam limit nieszczęść i zesłała mi ratunek w postaci postawnego żołnierza. Nie był to ktoś na miarę moich wyobrażeń, lecz dobrze, że w ogóle był. Miał na pagonach zaledwie po dwie belki i, co najważniejsze, był całkowicie trzeźwy

- Mogę panią prosić? - Z rękami na szwach spodni zgiął się w ukłonie prawie w pół.

- Oczywiście. - Z ulgą zostawiłam Izę z Maćkiem. Przetńczyliśmy trzy kawałki pod rząd, zanim wreszcie przemówił.

- Mam na imię Witek. A pani?

- Karla.

- Przepraszam, obowiązki wzywają. - Odprowadził mnie do stolika i odszedł.

Kelnerzy roznosili gorący strogonow, który pachniał zachęcająco. Może i zjadłabym

odrobinę, jednak żał mi było owego przyjemnego ssania w żołądku dającego uczucie lekkości, większych oczu, dłuższej szyi, węższych ramion i wklęsłego brzucha. Wiedziałam, jedna lub dwie łyżki potrawy zalegną mi w żołądku kamieniem. Ociężałość opanuje i ciało, i umysł, i duszę. Tak, jedzenie to zbędna czynność. Od kilku godzin na moim talerzu leżała nietknięta wędlina oraz kilka plasterków konserwowanego ogórka, lecz na szczęście nikogo mój talerz nie obchodził, nikt nic nie dokładał i nie namawiał do jedzenia. Niestety przyjemność poszczenia psuł siedzący obok major, który jadł z ogromnym, niemalże wilczym apetytem. Jego żuchwa pracowicie wprawiała w ruch niepoliczalne kostki, kosteczki i chrząstki głowy oraz szyi. Z otwieranych regularnie ust raz po raz wysuwał się łopatomaty język na spotkanie kolejnej porcji czekającej w pogotowiu tuż przy brodzie. Wargi zgarniały łapczywie zawartość łyżki, szczęki na nowo wznawiały pracę, łyżka kolistym ruchem zanurzała się w talerzu i pełna wracała w okolice ust. Faj, od samego patrzenia dostawałam mdłości.

Do stolika wrócił Maciek. Sam. Przypominał beczkę prochu z płonącym krótko lontem. Nie czekając na toasty, napełnił i wypił jednym haustem dwa kieliszki wódki. Iza w tym czasie w szampańskim nastroju tańczyła z przystojnym lotnikiem. Trudno było o gorsze miejsce niż między wkurzonym Maćkiem a pochłoniętym jedzeniem majorem. Tymczasem zabawa zdążyła wejść w etap szaleńczych wygibasów, niczym na zwykłej, młodzieżowej dyskotecie. Szaleli na parkiecie młodzi i starzy cywile i wojskowi, panny, panie i matrony, młodzicy i stateczni panowie ze szronem we włosach albo już bez włosów, a orkiestra grała w takim tempie, jakby chciała, by tancerze wyzionęli ducha.

Wstałam, żeby samotnie dołączyć do którejś tańczącej luzem grupy gdy ktoś dotknął mojego ramienia.

- Zatańczysz? Był to Witek.

- Oczywiście.

Właśnie wtedy orkiestra zmieniła tempo na eon amore.

- Jesteś krewną pułkownika Solskiego? - spytał niespodziewanie.

- Znajomą.

- Pracujesz?

- Chodzę do szkoły Do liceum.

- Którego?

- Boya-Żeleńskiego. A ty?

- Odbywam zasadniczą służbę wojskową.

Umilkł i milczał już do końca kawałka. Potem znów gdzieś

znikł. Nie pojawił się nawet, żeby mi złożyć życzenia, noworoczne, gdy wybiła północ i strzeliły korki od szampana. Zresztą, dlaczego miałyby to robić? Dwa tańce do niczego nie zobowiązują. Stałam więc samotnie wśród tłumu i czekałam, aż ci i owi, tak z rozpędu, dla zachowania konwenansu i dla zasady że w takim dniu wszyscy wszystkim dobrze życzą, rzucą mi podszyte wesołą obojętnością:

„Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku!”. Ale nie, jestem niesprawiedliwa, państwo Solscy i państwo Kwiatkowie zdobyli się na kilka układnych zdań. Panowie z galanterią cmoknęli mnie w rękę, panie symbolicznie ciumnęły w okolicy ucha, żeby nie rozmazać sobie szminki. Tylko z Izą wyciskałyśmy się serdecznie.

- Widzę, że mimo numeru, jaki wyciął ci ten palant Firli, jesteś zadowolona z zabawy
- stwierdziła.
- Oczywiście - przytaknęłam, chociaż wiara Izzy we własne zdanie nie potrzebuje potwierdzenia.

Jeszcze raz dMalwina

Teraz i ja dołączyłam do osób, które świetnie spędziły sylwestra. Nie musiałam się chwalić, o wiele lepiej wychodziło to Izie, mnie wystarczył fakt, że też tam byłam. Iza potwierdzała swoje słowa kolorowymi zdjęciami, zrobionymi chyba przez jej jakiegoś tajemniczego wielbiciela, bo wszędzie była na pierwszym planie. Ja przypadkowo wpadłam w obiektyw zaledwie dwa razy stąd na jednym zdjęciu stoję hen w głębokim tle, na drugim widać tylko kawałek mojej głowy znad ramienia Witka. Żadna strata, nikt z oglądających nie odczuwał z tego powodu niedosytu. Pogoda znów była pod zdechłym Azorkiem. Wiało, a po puszystym jeszcze wczoraj śniegu pozostała rozpaprana szara breja. Wpadliśmy z Izą do Pstryczka. Ledwie dosiadłyśmy

się do Janka Wolskiego i Bartka Bugajskiego, do kawiarni weszła Wyszka. Moje sumienie na jej widok doznało wstrząsu. Przedświąteczna gorączka i przygotowania do sylwestra wyparły z mojej pamięci Malwinę. Nie znalazłam nawet czasu na jeden zdawkowy telefon. Należało teraz jakoś nadrobić tę niezręczność.

Zamówiliśmy po soku marchewkowym bez cukru i na tę chwilę przy stoliku zapadło milczenie, które natychmiast wykorzystała Iza, nie pozwalając Bartkowi skończyć opowiadania o dyskotecie w Elbicie, który jest na topie. Najlepsi didżeje oraz występy gwiazd muzyki niebotycznie podnoszą prestiż klubu i, niestety, ceny biletów wstępu. A wysokie ceny to doborowe towarzystwo, a doborowe towarzystwo to niepowtarzalna atmosfera. Gdyby nie od czasu do czasu bezpłatny wstęp, nigdy nie przekroczyłabym progu lokalu tej klasy Zresztą, nie tylko ja, dlatego gdy ktoś zaliczy w nim imprezę, ma powód do przechwałek. Jednak Izie trudno jest zaimponować.

- Przyznaję, imprezy w Elbicie są niezłe, lecz wierzcie mi, żadna dyskoteka, żaden bal organizowany w lokalach gastronomicznych, świetlicach, remizach, czy gdziekolwiek, nie umywa się do balów w Klubie Oficerskim. Prawda, Karla?

- Tak myślę - powiedziałam trochę wykrętnie, gdyż wszyscy doskonale wiedzą, że ze mnie żaden znawca rozrywkowego życia miasta.

- Zapewniam was, najwięcej przystojniaków można spotkać właśnie tam. Źle zrobiłam, biorąc ze sobą przydupasa... Karla była mądrzejsza, poszła solo, więc bawiła się, z kim chciała.

- Zerwałaś z Firli? - spytała Wyszka.

- Jasne, Firli okazał się zwykłym palantem - odpowiedziała za mnie Iza, a mnie na plecach ścierpła skóra na myśl, że zaraz opowie, jak to zostałam puszczona w trąbę. Na szczę-

ście kontynuowała swój wątek: - Obiektywnie rzecz biorąc, wśród tych wszystkich przystojniaków bywających w Klubie Oficerskim prym wiodą lotnicy Strasznie seksowni. Wiadomo, do lotnictwa przyjmują wyłącznie stuprocentowych facetów... Wtem podeszła do naszego stolika Marzena Firlej. Była w dziurawych dzinsach włożonych w cholewki kozaczków na szpilkach, kurtce z łątek z różnorodnych

futerek oraz czapce uszance.

- Mam, Karla, z tobą do pogadania. Poświęcisz mi chwilkę?

- Oczywiście.

Wyszliśmy do holu i stanęliśmy przy ladzie szatni. Marzena, zanim zaczęła mówić, zapaliła papierosa, wypuściła kilka kłębow dymu.

- Więc? Co naprawdę jest grane między tobą i Miłoszkiem? - Wlepiała we mnie te swoje przymrużone oczy, jakby chciała się wwiercić do mózgu.

- Muszę odpowiadać?

- Jasne, że nie musisz. Miłoszek mi zwisa obojętnym kalafiorem, ale lepiej nie wystawiaj na próbę swojego delikatnego sumienia. Razem spędziliście sylwestra, tymczasem braciszek po balu w lepszym towarzystwie przepadł jak kamień w wodę. Staruszkowie odchodzą od zmysłowi jeśli pier-dykną w kalendarz, ty pierwsza będziesz mieć przerąbane.

- Nie był ze mną. Zerwałam z nim.

Marzena tę informację przyjęła z niewzruszoną obojętnością.

- Wiedziałam, że tak będzie. Ciota to żaden materiał na chłopaka porządnej dziewczyny Czy wiesz, gdzie dał nogę?

- Nie mam pojęcia.

- Kpisz czy testujesz moją inteligencję?

- Nie rozumiem.

- Wiem, że wiesz, więc skończ te gierki. Słyszałam, jak rozmawiał z tobą przez telefon. Jaką przesyłkę miałas mu przekazać? List od kochasia?

Rozmowy na temat listów były dwie, zastanawiałam się, którą z nich słyszała i co z niej wywnioskowała. Nagle ogarnęła mnie złość. „Dlaczego mam nadal brnąć w kłamstwa z powodu faceta, który postawił mnie w kompromitującej sytuacji?” Wiedziałam, tak samo jak Marzena, że Firli jest gejem, a zaprzeczałam faktom jak jakaś idiotka.

- Wiem tylko, że otrzymał dwa listy od jakiegoś Hermiego z Amsterdamu. Tyle. Naprawdę nic więcej nie wiem i nie chcę wiedzieć. Twój brat to bezpowrotnie skończona historia.

- Dobrze zrobiłaś, że przejrzałaś na oczy Miłoszek był, jest i zawsze pozostanie patentowanym dupkiem. Bywaj, Karla.

Marzena zdusiła w popielniczce papierosa, podniosła kołnierz i wyszła. Wróciłam do stolika.

- A co słyhać u Malwiny? - wciąłem się w opowieść Izy która wciąż kontynuowała swój temat. Ta skarciła mnie wzrokiem, lecz pozwoliła Wyszce odpowiedzieć.

- Kiepsko. Choroba odmieniła ją diametralnie. Kiedyś bez przerwy mówiła, teraz dla odmiany milczy. Ciężko z niej wydobyć jedno słowo.

- I dobrze, bo przynajmniej była w tym gadulstwie monotematyczna. - Iza wzruszyła ramionami. - To chyba ewidentny objaw powrotu do normalności, a jeżeli chodzi o ten sylwester...

- Moglibyście odwiedzić Malwinę, właśnie idę do niej -teraz Wyszka przerwała Izie.

- Jasne, chodźmy - poparł propozycję Janek. Złożyliśmy się na kwiaty i małą bombonierkę. Państwo

Ratajowie mieszkali na podmiejskim Zalesiu. Osiedle jest bardzo ładne, latem pełne zadbanej zieleni, jednak mieszkanie Ratajów świadczyło raczej o skromności.

Ledwie dwa pokoje z kuchnią. Malwina dzieliła mniejszy pokój z młod-

111

szym bratem, który zajmował piętro łóżka, tam miał swoją półkę i swój bałagan.

Malwina zajmowała parter i szafkę przy stawce. Poza licznymi plakatami z

zespołami jazzowymi na ścianach, na cokolwiek więcej brakowało miejsca.

Gdy przyszliśmy Malwina leżała przykryta kraciatym kocem. Na nasz widok uniosła się na łokciu, po czym znów opadła na poduszkę, jakby ten chwilowy wysiłek całkowicie ją wyczerpał.

- Cześć. Wpadliśmy cię odwiedzić. Jak samopoczucie? -zagała w imieniu nas wszystkich Iza.

- Dobrze - odpowiedziała jakoś tak bez entuzjazmu. Bez entuzjazmu też przyjęła czekoladki i kwiaty które odłożyła na szafkę.

Rozmowa szła jak po grudzie. Malwina każde nasze pytanie zbywała monosylabami, albo nawet wzruszeniem ramion. Wkrótce wyczerpałyśmy zestaw konwencjonalnych pytań i po dość przydługim milczeniu po prostu wyszliśmy

- Zachowanie Malwiny było obraźliwe - stwierdziła kwaśno Iza. - Gość może być świnią, jednak swoje prawa ma, a my przecież przyszliśmy z jak najlepszymi intencjami.

- Malwina wciąż jest w szoku, poza tym zażywa silne leki psychotropowe, jej stan trzeba potraktować z wyrozumiałością - stanęła w obronie przyjaciółki Wyszka.

- Może i tak, lecz ja nie czuję się dobrze w roli plastra na zbolale dusze - prychnęła Iza.

Wizyta pani fyrlejowej

Pogoda była paskudna. Północny wiatr gnał po niebie postrzępione chmury Mróz, który nastał po porannej odwilży, oblodził jezdnie i chodniki, a pośniegowe błoto zmienił w twarde grudy Wdepnęłam chyba we wszystkie źle zamarz-

112

nięte kałuże, albo raczej pokryte lodem zbyt kruchym dla mojego cielska. Zanim dotarłam do domu, zapadł już wczesny zimowy zmierzch. Marzyłam, żeby położyć się w swoim pokoju na mojej kochanej wersalce, przykryć mięciutkim kocem, zapalić małą lampkę i poczytać wiersze Emily Dic-Idnson. Miało być jak zawsze, łącznie z Miką rozciągniętą na dywaniku i mruczącym Filipem przy boku.

Tymczasem czekała mnie niespodzianka - pani Firlejowa. Siedziała z mamą przy stole, a prawie pełne szklanki herbaty świadczyły, że wizyta nie trwała długo.

- Dobrze, że jesteś. Usiądź z nami - powiedziała mama. Dopiero teraz zauważyłam, że pani Firlejowa ma zaczerwienione oczy

- Tak, słucham?

- Ach, powiedz, Karla, powiedz, tak z ręką na sercu, powiedz, co się stało? - wybuchła pani Firlejowa, łkając.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi. - Przypuszczałam, że rzecz dotyczy Miłosza, lecz nie rozumiałam, na czym miałyby polegać moje wyjaśnienie.

- Dlaczego go porzuciłaś? No powiedz dlaczego? Miłoszek tak był za tobą... Tak cię kochał... Byłaś dla niego wszystkim.. . Jak mogłaś? On jest taki wrażliwy... Taki

nieodporny na ciosy... Boże, gdzie on teraz jest? Może zrobił sobie coś złego? Może zrozpaczony błąka się gdzieś, jeden Bóg wie gdzie? Oj, Karla, Karla, coś ty narobiła? Patrzyłam oszołomiona. Wersja pani Firlejowej daleko odbiegała od prawdy i wymagała natychmiastowego sprostowania, lecz przecież nie mogłam powiedzieć, że jej syn jest gejem, a nasz romans był zwykłą lipą. Zresztą, wątpiałam, czy uwierzyłaby, poza tym wolałam oszczędzić takich rewelacji mamie, więc szukałam najwłaściwszych słów, żeby nie kłamiąc, uniknąć prawdy

- Zapewniam panią, nie zrobiłam niczego, co miałoby wpływ na decyzję Miłosza - na okrągło, bo na okrągło, podjęłam próbę obrony

- Wiem o twojej rozmowie z Marzeną. Wszystko, wszystko mi powtórzyła. Chyba nie uwierzyłaś w te jej obrzydliwe insynuacje? Powiedz.

- Ależ skąd! - Spojrzałam na mamę z obawą, że zażąda rozwinięcia tematu, lecz mama na szczęście puściła nasze słowa mimo uszu.

- Więc dlaczego, dlaczego go zostawiłaś?

- Tak po prostu wyszło.

- Boże, mój Boże! - Pani Firlej owa zasłoniła twarz dłońmi i kiwając się na boki, wybuchła płaczem, lecz takim okropnym, histerycznym, brzęącym jakoś tak kaskadowo, szcze-kliwie, jakby coś to przytykało, to odtykało jej głośnie. Raz po raz z jękliwym wdechem uzupełniała zapas powietrza w płucach, a towarzyszył temu taki grymas ust, że widziałam na trzonowych zębach zaczepy protezy jej dolnej szczęki. Wszystko to razem było tak niespodziewane i tak wstrząsające, że po przydługiej chwili osłupienia mama pobiegła do apteczki po jakieś uspokajające kropelki, ja po wodę do popicia.

- Będzie dobrze, będzie dobrze. Niech pani zażyje lekarstwo. Płacz niczego nie rozwiąże, powinna pani pomyśleć raczej o jakimś racjonalnym rozwiązaniu. Trzeba zgłosić zaginięcie syna, policja raz-dwa go znajdzie. Pomożemy pani załatwić formalności.

Pani Firlej owa powoli wróciła do siebie.

- Byłam już na policji. Powiedzieli, że jest pełnoletni i dopiero po trzech dniach nieobecności wpisują na listę zaginionych. A jak pokazałam im kartkę, uznali, że o żadnym zaginięciu nie ma mowy.

- Jaką kartkę? - spytałyśmy z mamą równocześnie.

114

- No, tę, co przysłał z Okęcia. Napisał tak: Kochani Rodzice, wyjeżdżam na dłużej. Bądźcie o mnie spokojni. Wkrótce się odezwę. Kocham Was. Miłosz. I tylko na tej podstawie policja zbagatelizowała sprawę. A tłumaczyłam, że chłopak był w szoku, że wielka rozpacz pchnęła go do nierozważnego czynu, bo przecież nie wziął ze sobą żadnych pieniędzy nic, no nic.

- Ani dowodu osobistego? Ani paszportu? - zdziwiła się mama.

- Wziął plecak, lecz co mu z plecaka, gdy ani gdzie spać, ani co zjeść?

Byłam wewnętrznie rozdarta. Z jednej strony wzruszała mnie do łez rozpacz pani Firlej owej, rozumiałam jej ból i niepokój o syna, z drugiej uwierało, że w jej pojęciu ja ponoszę za to winę. Sytuacja przerosła mnie emocjonalnie: ani nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów pocieszenia, ani sensownie się usprawiedliwić. Na szczęście mama zachowała zimną krew

- Teraz młodzi tacy już są, pani Firlejowa. Świat ich nie przeraża i doskonale radzą sobie w każdych okolicznościach. Miłosz jest przecież rozsądnym chłopcem. Być może już dawno postanowił wyjechać, jednakże z obawy przed pani protestem postanowił działać metodą faktów dokonanych.

Przez cały czas przytakiwaniem sygnalizowałam, że podzielam tę opinię.

- Ależ on w tym roku ma zdawać maturę - przypomniała sobie pani Firlejowa.

- Więc z pewnością opamięta się i wróci. Przynajmniej taką trzeba mieć nadzieję.

- Marzena mówiła, że on kogoś ma w Holandii, czy wiesz kogo? - pytanie zostało skierowane do mnie.

- Wspominał o jakichś przyjaciołach - liczba mnoga miała bardziej neutralną wymowę.

- Daj Boże, żeby to byli porządni ludzie. Znasz ich adresy?

- Niestety nie.

Sytuacja zdawała się być opanowana. Pani Firlejowa wytarła łzy chusteczką wyjętą z rękawa swetra, westchnęła głęboko i, ku naszemu zaskoczeniu, zmieniła temat.

- Bo wiecie, nam się bardzo źle powodzi. Bardzo źle.

- Rozumiem - powiedziała ze współczuciem mama.

- Dlatego, Karla, zwróć mi te pieniądze, które pożyczyłam Miłoszkowi na wstęp.

Chyba cała krew uciekła mi w pięty, a w gardle wyrosła gęstwa wielkości arbuza. Nie mogłam wydusić z siebie jednego słowa.

- Przepraszam, o jakich pieniądzach pani mówi? - zainteresowała się mama.

- No, o tych, które Miłoszek zapłacił za bilet wstępu. Całe dwieście złotych, proszę pani, a skoro na balu go nie było, nie jadł, nie pił, nie tańczył, powinien otrzymać zwrot pieniędzy no nie?

- Dobrze rozumiem, że pani syn umówił się z moją córką na sylwestra i nie przyszedł?

- No przecież mówiłam pani wyraźnie: wyjechał przed Nowym Rokiem. Dokładnie trzydziestego pierwszego rano widziałam go po raz ostatni. A czwartego stycznia dostałam tę kartkę.

- Potwierdza pani, że syn dopuścił się wobec Karli takiej podłości? Że postawił ją w tak niezręcznej sytuacji, i jeszcze żąda pani od niej pieniędzy?

Głos mamy był zimny i ostry, jednakże pani Firlejowa była głucha na wszelkie niuanse. Nie pojmowała też, że jeżeli nawet wcześniej wzbudzała współczucie, teraz utraciła je bezpowrotnie, więc nadal spoglądała na mamę łzawo-żałościwym wzrokiem.

- No, bo niby z jakiej racji Miłoszek ma płacić za coś, czego nie skonsumował?
116

- Proszę zatem się udać do organizatora balu.

- A czy to organizator namówił Miłoszka na bal, żebym do niego szła?

- Dziękujemy pani za wizytę. - Mama wstała. Ja też. Pani Firlej owej nie pozostało nic innego, jak pójść w nasze ślady

- Biednemu zawsze wiatr w oczy - rzuciła jeszcze płaczliwie, licząc zapewne na jakiś spóźniony odruch litości, lecz wywołała tym odwrotny skutek, mama zmarszczyła gniewnie brwi.

- Nawet największa bieda nie zwalnia nikogo od przyzwoitości. Przekroczyła pani

wszelkie granice.

- Udławcie się moją krzywdą.

- Boże, co za prostactwo, co za relatywizm moralny - westchnęła mama, zamykając za gościem drzwi. - Będziesz miała nauczkę, iż należy bardziej starannie dobierać sobie przyjaciół.

- Skąd mogłam wiedzieć, że tak wyjdzie? - powstrzymywane dotąd emocje wypłynęły ze mnie obfitymi łzami.

- Trudno, stało się, lecz przynajmniej wyciągnij z tej przykrej lekcji wnioski na przyszłość i zapamiętaj sobie do końca życia: przestając z hołotą, zawsze poniesiesz konsekwencje jej chamstwa. Pamiętaj, zawsze. A tego pewnie wolałabyś uniknąć?

- Oczywiście.

- I jeszcze jedna rada: nie ulegaj żadnej formie szantażu. Żadnej! Szczególnie tego emocjonalnego. Nigdy

Zastanowiło mnie, co miała mama na myśli, mówiąc o szantażu emocjonalnym.

Czyżby jakimś cudem odgadła preferencje seksualne Firlego? Powinnam zapytać, ale ogarnął mnie lęk przed wstydem, jakiego doznam, gdy wyjdą na jaw powody, dla których przystałam na cały ten cyrk. A tak przynajmniej tylko ja znałam prawdziwe rozmiary własnej głupoty, sama musiałam przełknąć gorycz porażki. Związek, który z założenia z jednej strony miał ukryć, że Firli jest ge. jem, z drugiej - wyrwać mnie z grupy klasowych singli, na które nikt nie leci, okazał się kompletną klapą. Należało prawdzie spojrzeć w oczy. Byłam genetycznym inkubatorem kłopotów, czego dotknęłam, wszystko spieprzyłam. Szukałam jakiegoś argumentu, który przyniósłby jednocześnie i ulgę, i rozgrzeszenie. Niestety nie znalazłam.

Zmarnowany wieczór.

Tożegnanie pana teofila

Mama nie wróciła już do tematu ani Firlego, ani pani Fir-lejowej. Pewnie uznała, że sama wyciągnę wnioski z własnych błędów, wszak człowiek mądry uczy się na błędach. Ale ulga była przedwczesna, bo oto z jej strony nadciągnęło nowe zagrożenie: nagle odpuściła sobie część obowiązków i zaczęła ujawniać zainteresowanie kuchnią. Osobiście pichciła trzy posiłki dziennie i pilnowała, abym wszystko zjadała. Nie przechodziło żadne tam „zjem później”, albo „wezmę talerz do swojego pokoju”, albo „tego nie lubię”, albo „mam problemy żołądkowe”... Nic. Dosłownie nic. Było jasne, mama doszła do wniosku, że się głodzę i podjęła, słuszne w jej mniemaniu, środki zaradcze.

Ogarniała mnie czarna rozpacz, wszystko, co osiągnęłam w zakresie odchudzania, szło na marne. Oczyma wyobraźni widziałam mnożące się w postępie geometrycznym komórki tłuszczowe, a że nie były to tylko moje urojenia, potwierdzało z okrutną bezwzględnością lustro, kiedy tylko do niego zerknęłam. Obrastałam sadłem niczym jakiś tucznik.

Siostra trzymała stronę mamy. Pod ich inkwizytorskim okiem odpadało chowanie jedzenia pod talerzem, za dekoltem, w kieszeniach wyłożonych folią, rzucanie zwierzątkom pod stół, a nawet wypluwanie do kubka.

118

_ Odbiło ci, czy co?! - wrzeszczała Liii, gdy do oczu napływały mi łzy na widok wielkiej jak Himalaje góry twarożku albo innego paskudztwa. - Jedz i nie wydziwiaj.

-Tak, jedz. Będziemy siedzieć przy stole, aż wszystko zjesz _ dodawała mama i dotrzymywała słowa.

Byłam załamana. Pojawiła się pilna potrzeba opracowania jakiegoś planu awaryjnego, ale skąd wziąć pomysł?

Pomógł mi przypadek. Piętnastego stycznia przyszła wiadomość o śmierci pana Teofila. Ponieważ, jak wspomniałam, nie miał on żadnej rodziny, mama poczuła się w obowiązku pozałatwiać formalności związane z pogrzebem. Zajęło jej to dwa dni. W najbliższą sobotę kupiliśmy skromny wieniec i pojechaliśmy na cmentarz komunalny towarzyszyć panu Teofilowi w jego ostatniej drodze.

Mimo mrozu dzień był słoneczny. Dębowa trumna ze zwłokami stała cicho na katafalku w cmentarnej kaplicy. Przy trumnie zgromadziła się zaledwie garstka żałobników - oprócz naszej trójki - kierowniczką domu opieki społecznej, jej zastępcą i dwoje staruszków, pewnie w charakterze delegacji reprezentującej resztę pensjonariuszy.

Sama ceremonia przebiegła skromnie i można powiedzieć, pośpiesznie. Nie było mszy, nie było uroczystej mowy nad grobem, nie było nawet jednej łzy. Ojciec, po prostu odszedł stary, samotny człowiek bez rodziny. Jakież więc było nasze zdumienie, gdy kilka dni później od notariusza, pana Jana Tańskiego, otrzymałyśmy pismo z prośbą, żeby zgłosić się do jego kancelarii w sprawie spadku po panu Teofilu. Jeżeli zaskoczeniem był sam testament biednego zmarłego, to wręcz zdumiewał fakt, że należał on do klientów tak drogiego notariusza, gdyż według naszej wiedzy najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał, były zbiory filatelistyczne. Od czasu do czasu przynosił ze sobą klaser, żeby pokazać jakiegoś szczególnie cenny czy piękny znaczek. Nigdy słowem nie napomknął o ich warto-

ści w złotych, lecz teraz było pewne, że przedstawiały jakąś wartość, jeśli już niewielką pieniężną, to z pewnością ogromną emocjonalną.

Pojechaliśmy. Kancelaria pana Tańskiego mieściła się w śródmieściu w pięknej secesyjnej kamienicy na parterze. Gabinet urządony był w sposób, który miał już od progu wzbudzać zaufanie klientów - czyli solidność i tradycja. Solidne, dębowe meble, oryginalne antyki lub doskonałe ich podróbki, gruby dywan w tureckie wzory i artystycznie upięte muslinowe firanki. Na ścianach oprawione w ramki (niektóre już ze szlachetną patyną sepii) dyplomy i zdjęcia notariusza w obecności jakichś, ważnych zapewne, osób.

W gabinecie czekała już czterdziestoletnia tleniona blondynka w futrze z nutrii.

Usiedliśmy w głębokich, skórzanych fotelach, notariusz zajął miejsce za biurkiem i z białej koperty wyjął opieczętowany dokument wraz z dopiętymi spinaczem załącznikami.

- Witam państwa. Widzę, że wszyscy są już obecni, więc zaczynamy. Oto ostatnia wola mojego szacownego klienta, pana Teofila Gruszczyńskiego:

Ja, Teofil Gruszczyński, na wypadek mojej śmierci sporządzam testament, i do spadku po mnie powołuję panią Krystynę Malską, jej dwie córki - Lilianę i Karłę, które w równych częściach dziedziczyć mają parcelę budowlaną o powierzchni 60 arów w miejscowości Radość koło Warszawy oraz kolekcję znaczków pocztowych zebranych w stu dwóch Maserach...

Mimo podekscytowania tym nagłym uśmiechem fortuny moje sumienie doznało

wstrząsu. Boże, jakże samotny musiał być pan Teofil, skoro za okruchy naszej sympatii odpłacił się z królewską hojnością. Nagle stanęła mi przed oczami jego postać, gdy przycina żywopłot. Robi to wolno, z namaszczeniem i bardzo, bardzo dokładnie. Rozmawia przy tym z ogrodnikiem sąsiada, wymieniają się dobrymi radami i częstują piwem. Nie chciał za swoją pracę pieniędzy a jeżeli już niema mocno nalegała, brał drobną sumę. Często jako zapłatę traktował skromny obiad lub kawę z ciastem. Czasem, gdy przyjeżdżał, a nie było nic do zrobienia, posiedział sobie na tarasie lub w ogródku. Dzwoniły mi w uszach słowa, które wypowiedział w wigilijną noc, że starzy ludzie potrzebują tylko odrobiny zdrowia i dobrego słowa. Czyli nawet tego mu brakowało. Byłyśmy dla niego uprzejme, jednak nie przesadzałyśmy z dobrymi słowami. Nigdy go o nic nie pytałyśmy nie interesowało nas, co mógłby mieć do powiedzenia, a przecież w jego długie życie musiało być ciekawsze niż niejeden głupkowaty telewizyjny serial oglądany dla zabicia czasu. Może wtedy patrząc w ogień, wędrował samotnie po ścieżkach pamięci, zaglądał do starych kątów, odwiedzał kumpli z wojska, spotykał dziewczyny lecz tamte sprzed lat, młode, śliczne, bez żyłaków, obolałych pleców i siwych włosów. Teraz wszystko przepadło. Biedny pan Teofil był już dla nas jak nieprzeczytana książka wrzucona w ogień.

Tymczasem notariusz kontynuował, wprawiając nas w osłupienie:

Jedyną córkę moją, Irenę, wydziedziczam i pozbawiam zachowku, ponieważ niegodziwym postępowaniem unie-możhwiła mi przebywanie w domu, który jej ofiarowałem, uporczywie nie dopełniała obowiązków rodzinnych, to jest odmówiła opieki w chorobie, nie interesowała się moim losem i zabraniała kontaktu z wnukami...

- Skandal, jeden wielki skandal, ten testament nie ma żadnej mocy prawnej. - Tleniona blondynka czerwona jak upiór zerwała się ze swojego miejsca. - Ojciec pisał te brednie w stanie kompletnego otępienia.

- Do testamentu mój klient dołączył opinię lekarską, z której wynika, że w chwili sporządzania testamentu był w pełni władz umysłowych.

12

- Bo oni przekupili lekarza. - Wskazała w naszym kierunku. - Oni. To z ich strony zamach na to, co mnie się należy

- Pan Gruszczyński zrobił dodatkowe zastrzeżenie, jeśli" panie Malskie odrzucą spadek, ma on być w całości przeka zany na rzecz opieki nad zwierzętami. W żadnym wypad" darczyńca nie życzył sobie, aby pani po nim dziedziczyła Wypada uszanować przynajmniej ostatnią wolę ojca.

- Nic z tego! Oddam sprawę do sądu. Każdy testamen można obalić. Ostrzegam Jeszcze mi za wszystko zapłacicie Z odsetkami! - Blondynka wybiegła z gabinetu, trzaskając drzwiami. Nie zrobiła tym na notariuszu żadnego wrażenia Spokojnie poinformował nas o formalnościach, jakich powin niśmy dopełnić w celu przejęcia spadku. Wiele z jego praw niczych określił brzmiało jak chińszczyzna, lecz jedno był jasne: najpierw trzeba było ponieść koszty I to spore.

- W ciągu tygodnia dam panu znać, co postanowiłyśmy powiedziała mama ze strapioną miną. Wyliczona przez no tariusza kwota przyprawiała o zawrót głowy Gdy już wychodziłyśmy notariusz wyjął z szuflady i po dał mamie jeszcze jedną

kopertę.

- To dla pani, pani Malska. Pan Teofil prosił, żebym pan przekazał po odczytaniu testamentu.

- Dziękuję.

- Ja również dziękuję. W razie potrzeby polecam swój usługi.

Wszystkie trzy byłyśmy spadkobierczyniami, ale wiado mo, liczyło się wyłącznie zdanie mamy Tylko ona mogła zdo być pieniądze na podatek i inne opłaty, a ponieważ nie miałyśmy żadnych oszczędności, oznaczało to następny kredyt.

Tak, jak po śmierci taty, tak i tym razem, jeszcze tego samego dnia, w naszym domu odbyłyśmy wielką naradę. Mama zaczęła mniej więcej tak:

- Chociaż spadek rozpisany został na trzy części, opłaty są wysokie. Musimy się zastanowić, czy powinniśmy podjąć ryzyko dalszego brnięcia w długi.

- Jaka jest wartość tej działki pod Warszawą? - spytała rzeczowo Liii.

- Orientacyjnie przynajmniej pół miliona złotych.

- I ty masz jakiegokolwiek wątpliwości? Ja głosuję na tak.

- Głosowanie zostawmy na koniec, teraz rozważmy wszystkie argumenty za i przeciw. Po pierwsze, jeżeli córka pana Teofila rozpęta proces sądowy, może jeszcze upłynąć wiele lat, zanim zobaczymy jakiegokolwiek pieniądze ze spadku. O ile w ogóle zobaczymy

- Ależ ona nie pofatygowała się nawet na pogrzeb ojca! -zawołałam oburzona.

- Jednak wnieść pozew do sądu ma prawo, jak każdy inny obywatel.

- To niesprawiedliwe!

- Może i nie, lecz zgodne z prawem. Po drugie - mama wróciła do kontynuacji zasadniczego wątku - nie wiem, czy bank udzieli mi następnej pożyczki, a wy nie macie jeszcze zdolności kredytowej.

Okazało się, że Liii z prawniczych wywodów pana Tańskiego zrozumiała dużo więcej niż ja.

- Pan notariusz mówił, że przy wydziedziczeniu, wydziedziczona w najlepszym razie może uzyskać zachowek, czyli drobną część z całości spadku. W praktyce jest to możliwe tylko wtedy gdyby zmarły spisując ostatnią wolę, popełnił jakieś błędy formalne. Pan Teofil znał dobrze wredny charakter swojej córki i dlatego skorzystał z usług najlepszego notariusza w mieście, więc błędy są mało prawdopodobne. Po to do testamentu dołączone zostało nawet świadectwo zdrowia psychicznego i poczynione dodatkowe zabezpieczenie na wypadek odrzucenia przez nas spadku. Zresztą, przy postępowaniu sądowym istnieje możliwość złożenia w depozycie odpowiedniej kwoty na rzecz roszczeń do czasu zakończenia procesu. I o tym też mówił notariusz. O kurczę.

- Też tak myślę - powiedziałam, a po krótkim namyśle dodałam: - Panu Teofilowi byłoby przykro, gdybyśmy odrzuciły to, co nam dał ze szczerego serca. Jestem gotowa jeszcze bardziej docisnąć pasa, by zmniejszyć nasze wydatki.

- No tak, no tak. Zdaje się, że wynik głosowania jest już przesądzony. Czyli bierzemy ten spadek?

- Bierzemy.

Kiedy już decyzja zapadła, Liii postawiła pytanie, które i mnie dręczyło:

- Dlaczego przez tyle lat pan Teofil nie wspominał o córce? Nie uwierzę, że można wyrzucić z życia swoje jedyne dziecko. Z reguły dzieciom wiele się wybacza.

- Według tego, co słyszałam u notariusza, nie on odrzucił córkę, tylko córka jego - zwróciłam uwagę.

- Pewne aspekty tej sprawy pan Teofil tłumaczy w liście. Nie chciał zostawić nas z uczuciem, że dostaliśmy coś, co z mocy prawa i moralnego obyczaju należne jest najbliższemu. Wyjaśnił rzecz całą bardzo lakonicznie: za życia cały majątek oddał córce, w ten sposób w jej oczach stał się dziadem i został potraktowany jak dziad - wyjaśniła mama.

- Chyba musiało być coś jeszcze. Przecież nie wszystko oddał.

- To, co ofiarował nam, otrzymał trzy lata temu w spadku po starszym bracie, który zmarł bezpotomnie i jego wyznaczył na swojego spadkobiercę. Pan Teofil obiecał sobie, że zmieni testament, jeśli Irena odwiedzi go w domu opieki; potem, gdy przynajmniej zatelefonuje; w końcu, gdy przyśle kartkę na święta. Bardzo pragnął jakiegokolwiek sygnału. Niestety czekał na próżno.

Nastaly dla nas ciężkie dni. Mama znów wzięła dodatkowe zajęcia i jedyną z tego pociechą było to, że odciągnęło ją od pilnowania mnie przy posiłkach. Bywało, że zupełnie bezkarnie mogłam sobie odpuścić nawet śniadania i kolacje, gdyż Liii coraz częściej nudziła rola strażnika. Znów wracałam do normy. Minęło uczucie ociężałości, wyostrzyły się zmysły powróciło przyjemne ssanie w żołądka i jasność umysłu.

<Moje pięć minut

Przygotowywaliśmy się do meczu towarzyskiego ze szkołą sportową imienia Feliksa Stamma, mistrzami okręgu. Szanse na wygraną były żadne, lecz przegrywać też trzeba z honorem. Kacperek wyciskał z nas siódme poty, zaniedbując tych, którzy sport traktowali relaksowo. Iza była zniesmaczona.

- Uważam, że trener powinien wszystkich traktować jednakowo. Czy to takie ważne, ile wam dokopią? A że dokopią, rzecz pewna.

- Przyzwoity kibic powinien wierzyć w swoją drużynę.

- Trele-morele, sralis mazgalis. Zawsze przegrywacie. Nie trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć wynik. Do meczu odpuszczam sobie treningi. Będę chodzić na basen. Podobno pływanie świetnie robi na figurę, lepiej niż te wszystkie tutejsze wygibasy

- Przyznaj się, wpadł ci w oko jakiś ratownik?

- Ależ skąd. Muszę zrzucić zbędne kilogramy których lekkomyślnie nabrałam przez święta.

Też miałam do spalenia sporo sadła i dodatkowo godzina na basenie byłaby jak znalazł, jednak bilety wstępu były drogie, a jakoś tak się składa w mojej rodzinie, że w oczekiwaniu na lepsze czasy popadamy w coraz większy niedostatek.

Reprezentacja szkoły w koszykówce nieustannie zmienia swój skład osobowy. Kryterium jest jedno: kondycja i skuteczność. Do tego meczu zostały wytypowane: Jagoda Rusi-

pek z III a, Kinga Mielnik z III b, Kaśka Wirska z II a, Marty, na Marciniak z III c oraz ja. Jako rezerwowe Agnieszka Więcek, Edyta Pociask i Marta Szczęsna - wszystkie z I b.

Najlepsza jest Martyna. Ma blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, siłę słonia i zwinność kota. Jej dłonie przyciągają piłkę jakąś magnetyczną siłą, niewrażliwą na prędkość, zmiany kierunku i wysiłki przeciwników. Gdy mocno pochylona biegnie parkietem, kożlując, ma się wrażenie, że po drodze wszystko rozbije w puch. Ale największy podziw i zazdrość budzi opanowany przez nią do perfekcji tak zwany ieverse, czyli rzut od tyłu po półobrocie.

Gdyby nie Martyna, wlekłybyśmy się gdzieś w ogonie klasyfikacji, a tak mogliśmy nawet liczyć na wicemistrzostwo okręgu. Schlebiało mi, że Kacperek zakwalifikował mnie do reprezentacji i i naprawdę dawałam z siebie wszystko, żeby j ak najlepiej wypaść.

Mecz rozgrywaliśmy w hali sportowej szkoły sportowej. Przy drużynie przeciwniczek nawet Martyna sprawiała wrażenie niskiej. Pomijając płęć, wyglądałyśmy jak pięciu Dawidów (w tym j eden nieco wyrośnięty) przy pięciu Goliatach. Każda z tamtych liczyła najmniej dwa metry i szykowała się do kariery sportowej.

Był to mój pierwszy tak ważny mecz. Jeszcze przed startowym gwizdkiem serce biło mi młotem i cierpła skóra na myśl, że stracę piłkę, zmarnuję podanie i w ogóle dam plamę. Chociaż niby wiadomo było, że przegramy, to stojąc na parkiecie, pragnęłam sukcesu, jakby od tego zależało moje życie.

Na trybunach gęsto zasiedli kibice z obu szkół. Iza z Wy-szką rozwinęły nawet transparent z napisem Z naszymi szta-ma, dokopiemy tym od Stamma., Tomek przyniósł trąbkę hejnałową, Anita tamburyn przystrojony kolorowymi wstążkami, Irek prywatną kamerę, by utrwalić dla Kacperka materiał do celów szkoleniowych. Nasze przeciwniczki rozgrywkę z nami traktowały jak rozgrzewkę w drodze do sukcesu. Już dawno przywykły do roli lidera, więc ich emocje były dość chłodne, jednak nie zrezygnowały ze wstępnej wojny psychologicznej.

- Ile dokopiemy tym pigmej kom? - zastanawiały się w szatni, tak byśmy słyszały - Mam nadzieję, że pięćdziesiąt do kółka im wystarczy

- Wystarczy, uważajcie tylko, żeby nie rozdeptać którejs. To niehumanitarne - pouczała ich kapitan z wysokości ponad dwóch metrów

Naszym kapitanem była oczywiście Martyna. Ja stałam, a właściwie podskakiwałam na lewym skrzydle, próbując w ten sposób opanować drżenie łydek. Miałam przed sobą ocean możliwości, teoretycznie wszystko mogło się zdarzyć, a co się zdarzy stanowiło wypadkową łutu szczęścia i moich możliwości. Możliwości miałam takie, jakie sobie wypracowałam na treningach, a na fart liczyła każda zawodniczka.

Teoretycznie niby j est to po dziesięć procent, lecz w praktyce wiadomo, że szczęście sprzyja lepszym.

Wszedł sędzia z piłką pod pachą i gwizdkiem w ustach. Zaczął się mecz. Pierwszą piłkę jakimś cudem zdobyła Martyna i oto nastąpił kolejny cud. Razem z innymi wyskoczyłam w górę, a piłka sama wpadła mi w ręce. Powinna przekazać ją dalej, jednak nie miałam komu. Otaczał mnie las ruchliwych rąk. Tradycyjnie liceum Żeleńskiego grało w granatowych strojach, Stamma - w czerwonych, i chociaż obie drużyny liczyły tyle samo zawodniczek, wszędzie widziałam tylko czerwień, jakby tamtych było ze dwadzieścia. Wreszcie po prawej dostrzegłam wysuwającą się do przodu Martynę z podążającą za nią jak cień kapitanem przeciwniczek, po prawej

dobrze obstawioną Jagodę i tuż za nią Kingę, wolna była Kaśka, niestety, obstawiała akurat tyły „No tak, jestem tuż za linią środkową, zaraz spieprzę pierwszą piłkę” - pomyśla-

łam z rozpaczą, lecz moje ciało kierowane jakimś wewnętrznym impulsem określiło się dokoła osi, zrobiło zwód przed naskakującą ostro przeciwniczką, potem dwa kroki w lekkim przysiadzie i wystrzeliło w górę, jakby chciało sięgnąć sufitu. „W punkcie nieważkości!” - usłyszałam gdzieś wewnątrz głowy nakaz. Teraz!!! Rzuciłam i... nie do wiary! Pił. ka pięknym łukiem wpadła do kosza, nawet nie musnąwszy obręczy Zdobyłam trzy punkty! W pierwszej minucie!

Na trybunach wśród naszych rozległ się ogłuszający krzyk. Karła! Karła! - skandowano moje imię, Tomek trąbił, Anita waliła w tamburyn, a Kacperek pokazał mi skierowany ku górze kciuk na znak, że byłam super. Dziewczeta z mojej drużyny rzuciły się gratulować i poklepywać po plecach. Nawet od kibiców tamtej strony dostałam brawa. Och, jaka byłam szczęśliwa. Wstąpiła we mnie nadzieja, że szczęście nam dopisze, lecz nasze przeciwniczki raz, dwa otrząsnęły się z szoku i szybkimi przerzutami piłki zaatakowały nasz kosz. Po niecałej minucie wywalczyły remis. Ich przewaga była ewidentna, górowały nad nami wzrostem i wyszkoleniem, ale na szczęście nie wołały walki.

- Dziewczyny, rozgrywamy parter - półgłosem poleciła Martyna.

Oznaczało to niskie podania, często z odbicia od parkietu - w naszej sytuacji taktyka niezwykle skuteczna, jednak obciążona ogromną wadą - piłkę do kosza można wrzucić wyłącznie górami, jednakże góra niepodzielnie należała do zawodniczek ze Stamma. Mój sukces zaowocował tym, że zostałam szczelniej obstawiona, o piłkę musiałam się bić, a na wypróbowany zwód tamte nie dawały się już nabrać. Szczęśliwie na rzuty Martyny od tyłu po półobrocie nie znalazły skutecznego sposobu, więc zaczęłyśmy dla niej walczyć o warunki do strzału, lecz kicha. Pod koszem byłyśmy bez szans.

W pierwszej połowie zebrałyśmy regularne lanie. Po przerwie Kacperek kazał nam zmienić taktykę, uznawszy, że jedyną nadzieją na punkty są rzuty niemalże z połowy boiska. O dziwo. Celność wyniosła prawie trzydzieści procent, a strzelała każda, która tylko miała - albo uważała, że ma - do strzału okazję. Wtedy to nasza kapitan uznała, że nic nam po obronie, bo i tak Kaśka przegrywa wszystkie górne piłki, więc włączyła ją do ataku. Siła bojowa pięciu nacierających okazała się większa, niżby mogło to wynikać z prostego przeliczenia szans i do tego nowa taktyka udaremniła drugiej stronie swobodne przetasowania.

Walka, chociaż trochę chaotyczna, była zacięta. Martyna, zbyt natarczywie blokowana, faulem taktycznym wyeliminowała najostrzejszą zawodniczkę przeciwnej drużyny traf „chciał” - kapitana. A zrobiła to tak sprytnie, że nikt, nawet sędzia nie zauważył jej ak. Tamte ubytek uzupełniły kimś z ławki rezerwowej, nas ukarano piłką z boku dla przeciwnika. Przy gwizdach i wrzaskach oburzenia naszych kibiców i oklaskach tamtych straciłyśmy następne dwa punkty.

Wyeliminowanie kapitana pomogło. Do przerwy przegrywałyśmy dziesięcioma punktami, po przerwie zremisowałyśmy, i gdyby w ostatnich minutach ta ich ruda nie odegrała się na Martynie, pewnie wygrałybyśmy przynajmniej dwoma punktami. Niestety Agnieszka, która zastąpiła Martynę, mimo świeżych sił i waleczności, była

przynajmniej trzy klasy od niej słabsza. Ale i tak wywalczyliśmy najlepszy wynik w historii.

Kacperek nie krył zadowolenia, powtarzał, że jeśli tak dalej pójdzie, mamy szansę na mistrzostwo. Kiedy już szliśmy do szatni, podszedł do mnie i klepiąc po plecach, powiedział:

- Karla, byłaś dzisiaj wspaniała. Piękny wsad. Takiego pełnego ńdei dunknie. powstydziliby się Michael Jordan. Brawo.

Otaczała nas spora grupa uczniów z naszej szkoły każdy coś tam mówił, coś komentował, ten i ów gratulował, lecz wszyscy słyszeli jego pochwałę, niektórzy nawet zaczęli klaskać, gdy nagle, niewiedomo skąd wyrosła przy Kacperku Iza.

- Och, panie profesorze, niemalże płakałam ze szczęścia

- zapewniała, trzepocząc rzęsami. - A Karla była świetna prawda?

- Rzeczywiście, pokazała klasę.

- O tak, moja najlepsza przyjaciółka bardzo się stara. Zawsze wiedziałam, że ma talent... - mówiąc o mnie, całkiem skutecznie skupiała uwagę na sobie.

Byłam szczęśliwa i chętnie usłyszałabym od trenera jeszcze kilka słów pochwały Współzawodniczki pewnie też, tymczasem Iza zachowywała się tak, jakby to ona była sportową gwiazdą i chyba tylko przez zapomnienie nie zaczęła rozdawać autografów.

Wtem przez tłum przedarł się do nas jakiś młody człowiek z aparatem fotograficznym dyndającym na piersi i dyktafonem w ręku.

- Przepraszam, przepraszam, jestem z „Wiadomości Codziennych” . Jan Nowacki, redaktor - trajkotał. - Proszę o parę słów do rubryki sportowej naszej gazety Czytelnicy chcieliby wiedzieć, jak oceniacie dzisiejszy mecz.

- Jestem bardzo zadowolony Dziewczęta zagrały świetnie

- powiedział trener.

Iza z natury jest otwarta i ekspresywna, jednakże czasami mocno przesadza. Tak było i tym razem.

- Następnym razem wygramy - wtrąciła.

- Dotychczas szkoła sportowa imienia Feliksa Stamma nie miała godnych siebie przeciwników. Uczniowie tej szkoły poważnie zasilają kadrę narodową nie tylko w koszykówce. Czy należy rozumieć, że rośnie im pod bokiem konkurencja? I to w szkole niesportowej ?

130

- W sporcie najpiękniejsze jest, że każdy może zwyciężyć.

- Więc zwyciężymy - znów Iza uzupełniła pana Kacperka.

- Trener waszych przeciwniczek dał do zrozumienia, że remis z wami zdarzył się tylko dlatego, że wystawił drużynę rezerwową.

- Trele-morele - zakpiła, a Kacperek dyplomatycznie dorzucił:

- Niemniej cieszy nas wynik.

Potem pozowaliśmy do zdjęcia: cała nasza drużyna, trener, a obok trenera uśmiechnięta promiennie Iza.

'bpdzinne sukcesy

Gdy po meczu wróciłam do domu, byłam tak podekscytowana, że koniecznie musiałam pochwalić się naszym sukcesem, a przy okazji wspomnieć o swoich

pierwszych trzech zdobytych punktach. W kuchni zastałam Liii w trakcie parzenia herbaty

- Wyobraź sobie, zremisowałyśmy z drużyną koszykówki ze szkoły sportowej.
- Cukierniczka jest pusta, sięgnij do zapasów - Stałam na taborecie, otworzyłam pawlacz, wyjęłam torebkę cukru i kontynuowałam: - Niby remis to nic wielkiego, ale oni od lat są mistrzami okręgu, zaś nasza szkoła zawsze, rozumiesz, zawsze z nimi przegrywała.
- Nie widzę w tym rewelacji. Tak w życiu bywa. Wyszła nowa książka mamy Nie zapomnij o gratulacjach. Będzie jej miło.
- Jasne.

Mama siedziała w swoim gabinecie przy biurku.

- Gratuluję, mamó, nowej książki. - Pocałowałam ją w policzek.
- Ukazała się w samą porę. Dzięki honorarium będziemy mogły pokryć koszty manipulacyjne związane ze spadkiem Oto egzemplarz dla ciebie. Z dedykacją. Teatr elżbietański. Książka była niezbyt gruba, zaledwie dwieście stron, lecz ładnie wydana. Na tytułowej stronie dedykacja: Karli, mojej kochanej córce, Krystyna Malska. Niżej miejscowość i data. Takie wpisy miałam we wszystkich jej książkach. Mama, jakkolwiek temat weźmie na warsztat, każdy opracowuje niezwykle skrupulatnie. Żadnego wodolejstwa żadnego ble, ble, ble dla nabicia objętości, żadnych dętych teorii i encyklopedycznych terminów znanych jedynie specjalistom. Każde napisane przez nią zdanie jest klarownie zbudowane, zawiera maksymalny ładunek informacji, a sposób narracji wciąga niczym powieść sensacyjna. Taka nienaganność stylu pozostaje poza moim zasięgiem. Co innego Liii. Ta pisze na tyle dobrze, że od czasu do czasu zamieszcza swoje artykuły w pismach fachowych. Mama bardzo poważnie traktuje te próby każdy artykuł uważnie czyta i recenzuje, gdyż w przyszłości będą się one liczyć jako publikacje przy doktoracie. Niezależnie od moich przemyśleń, honorarium mamy mocno pchnęło do przodu formalności związane ze spadkiem po panu Teofilu. Jeszcze raz poszliśmy do notariusza, pana Tańskiego, gdzie podpisałyśmy jakieś pełnomocnictwa i dokumenty Zapewniłam, że mam rozeznanie w tym, co podpisuję, choć tak naprawdę rozumiałam piąte przez dziesiąte. Dla mnie najważniejszą rzeczą stanowiła odpowiedź na pytanie, kiedy będą pieniądze. A że będą, było pewne jak w szwajcarskim banku, bo nawet wydziedziczona córka pana Teofila, według słów notariusza, poszła po rozum do głowy i wycofała swój pozew z sądu.

W tej sytuacji remisowy wynik zespołowej gry jaką jest

132

koszykówka, był kiepskim powodem do trąbienia akurat 0 moich zasługach w domu, a i w klasie nikt nie podkreślał specjalnie mojego wkładu w ten remis. Wręcz przeciwnie, zgodnie z zasadą, że sukces ma wielu ojców, mówiono: „wygraliśmy”, „następnym razem im dokopujemy”, „stać nas na mistrzostwo”, „była już najwyższa pora, aby tym od Stamma przytrzeć nosa”... Iza swoim zwyczajem opowiadała, ile nerwów kosztował ją ten mecz, pokazywała nawet ogryziony do samej opuszki paznokieć kciuka lewej ręki, i demonstrowała chrypkę, jakieś ponoć się nabawiła w czasie kibicowania, no i rzecz jasna podkreślała swoje zasługi w czasie rozmowy z dziennikarzem, który próbował umniejszyć sukces naszej szkoły Prawdę mówiąc,

„Wiadomości Codzienne” w rubryce Sport w szkole zamieściły jedno, niezbyt wyraźne zdjęcie i króciutką wzmiankę o meczu, oraz zacytowały wypowiedź Kacperka, że cieszy go wygrana, jednak Iza uparcie przekonywała wszystkich, że dzięki niej kilka głupot nie zostało opublikowanych. Tylko Emil powiedział do mnie:

- Twój pierwszy kosz był rewelacyjny. Wyćwiczyłaś go czy wyszedł ci przypadkowo.
- Wyćwiczyłam - nieco skłamałam.
- Miałaś szansę powtórzyć go w czwartej minucie drugiej połowy
- Wiem, za późno się spostrzegłam - skłamałam jeszcze raz, ale już na całego.
- W ferworze walki najpierw zawodzi refleks.
- Racja. Nad refleksem też trzeba pracować.

Jedynie Kacperek mówił o meczu w sposób satysfakcjonujący wszystkich. Chwalił dobre zagrywki, krytykował kiksy i wpadki. Najpierw pogratulował Martynie doskonałego dowodzenia grupą i najwyższej liczby zdobytych punktów, na drugim miejscu mnie za doskonały początek oraz dodatkowo skuteczne asysty czyli podania do zawodniczek, po któ-

133

rych zdobyły one punkty Całą godzinę poświęcił na analizowanie nagrania na wideo. Kiedy w zwolnionym tempie po raz pierwszy pokazywał mój pierwszy rzut, aż się spociłam z wrażenia.

- Popatrzcie, jak Karla pięknie się wybija, idzie do góry zwróćcie uwagę na prowadzenie rąk z piłką, takie ułożenie nadaje skrętowi dynamikę i dezorientuje otaczające ją przeciwniczki. Nie przewidują z tej pozycji rzutu i zwalniają blokadę..
- zachwytom nie było końca.

Przemilczałam, rzecz jasna, że te wszystkie mądre czynności wyszły same, bez jakiegokolwiek intelektualnego wkładu z mojej strony lecz i tak pękałam z dumy i żałowałam, że pochwał nie słyszy ani mama, ani Liii, lub chociażby Iza. Ale w końcu uznanie trenera jest najważniejsze.

Na fali samozadowolenia obiecałam sobie zrzucić kilka lalo sadła i jeszcze solidniej trenować. Tymczasem w mamie znów się odezwała kulinarna terrorystka. Po dość kiepskich próbach chowania jedzenia pod talerzem, pod obrusem, za dekoltem, w rękawie, w zsuniętych z nogi kapciach i innych miejscach, poszłam po rozum do głowy i zmodyfikowałam sposób, który z takim powodzeniem stosowałam przy płynach podczas wigilijnej wieszery Siadałam przy stole i po prostu jadłam. Jedzenie często gęsto popijałam z dużego, porcelanowego kubka, a tak naprawdę, za każdym razem podnosząc kubek do ust, wypluwałam przezute jedzenie. Potem wystarczyło pod byle pretekstem wyjść z kubkiem do kuchni i wylać jego zawartość do zlewu.

System działał doskonale. Wszyscy byli zadowoleni, a najbardziej ja. Zgodnie z postanowieniem zintensyfikowałam treningi, mając na celu nie tylko spalanie kalorii, lecz opanowanie do perfekcji pełnego nder dunk. Waga, która dotychczas wahała się wokół pięćdziesięciu sześciu i pół kilograma, wolno, bo wolno, ruszyła w dół. Po niecałym miesiącu na

koncie sukcesów zapisałam równe pięćdziesiąt pięć kilogramów. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, a obrzydliwe zwały słoniny będą tylko złym wspomnieniem.

Zaręczyny Łili

Na początku lutego Liii przyszła do domu rozpromieniona. Siedziałyśmy akurat z mamą w kuchni przy stole i przebierałyśmy fasolę.

- Zareczyłam się! - zawołała, stanawszy w drzwiach, i uniosła prawą dłoń. Na jej palcu serdecznym błyszczał złoty pierścion z brylantowym oczkiem.

- Zanim rzucimy się do gratulacji, najpierw zdradź nam nazwisko tego wybrańca - powiedziała mama.

- Znasz go, bywał w naszym domu. To Rafał Korda... Poczułam, że umieram. Moje serce, jak smagnięte batem,

ruszyło opętańczym galopem. Choć wcześniej istniało duże prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy, liczyłam na cud. Wierzyłam, że kiedyś potrafię przemienić się na tyle, by olśnić Rafała, a moja piękna siostrzyczka wybierze kogoś innego.

Oczekiwanie rodzi otuchę nawet w beznadziejnej sprawie. Teraz nie miałam już na co czekać. Umarła moja nadzieja, umarło moje słońce, narodził się narzeczony siostry, przyszły szwagier.

- Jesteś pewna swojego wyboru?

- Mamuś, jestem pewna na sto procent. Chciałam, to znaczy chcieliśmy, aby jego rodzice złożyli ci oficjalną wizytę...

Jezu! Każde jej słowo było spadającym na moją głowę granitowym głazem. Po kwadransie leżałam przygnieciona kamienną lawiną, gotowa umrzeć, byle szybko uwolnić się od tego nieznośnego bólu duszy. Ale czy na pewno po śmierci dusza przestanie cierpieć?

Mama uściskała Liii, obie były przy tym tak zaaferowane że umknął ich uwadze mój brak entuzjazmu. Nawet nie wy. dusiłam z siebie najbanalniejszych gratulacji. Nic.

Wtej chwili nienawidziłam siostry tego jej szczęśliwego uśmiechu, tego rozszczebiotania... Na świecie jest około czterech miliardów mężczyzn, z tego przynajmniej miliard kawalerów do wzięcia, a ona musiała zgarnąć akurat Rafała.

- Trzeba szybko finalizować sprawę spadku - przeszła do konkretów mama.

- Myśleliśmy o skromnym weselu.

- Nawet najskromniejsze wesele wymaga wydatków.

Nagle ogarnęła mnie wściekłość. „No tak, spadek Liii zostanie spożytkowany na jej wesele, a mój na długi. Wspólne! Dalej będę nosić przerabiane ciuchy, tanie buty i nie będę chodzić na dyskoteki do Elbitu”. Tak we mnie wrzało, że z trudem

powstrzymałam wewnętrzny dygot. Jedna część mnie chciała wybuchnąć, wykrzyczeć swoje żale, zawalczyć o swoje, lecz druga, ta chłodna i racjonalna, włączała hamulec, szepcząc: „Siedź cicho, bo wyjdiesz na idiotkę, - obiektywnie oceniając, masz do powiedzenia same bzdety”.

Już dawno nie widziałam mamy tak rozemocjonowanej, jednak żadne emocje nie są w stanie odebrać jej zdrowego rozsądku i zapomnieć o logistyce. Tak więc najpierw omówiła z Liii menu na przyjęcie państwa Kordów, potem w czym wystąpimy, to znaczy w czym wystąpi Liii i mama. Moim ubiorem w ogóle nie zaprzętały sobie głowy cóż, w końcu byłam tylko młodszą siostrą szczęśliwej narzeczonej.

Wszystko miało być elegancko i na poziomie. Mama po krótkiej euforii zaczęła się martwić, gdyż jakkolwiek by nie liczyła, brakowało nam pieniędzy nie tylko na nowe stroje, ale nawet na porządny obiad. Na szczęście zanim sfinalizowałyśmy zakupy, państwo Kordowie zapowiedzieli się na późne popołudnie. Za oszczędzone na

obiedzie pieniądze mama

kupiła Liii piękną bluzkę. Kilka dni później, nie wiem, jakim cudem - beżowy, długi płaszcz z wielbłądziej wełny, a do tego pod kolor czapkę i szalik.

- Bez liczenia widać, że te wydatki wielokrotnie przekraczają wysokość zaoszczędzonych pieniędzy - miał to być żart z mojej strony a wyszło okropnie sarkastycznie.

- Przy twoich zaręczynach będzie podobnie. Każda dziewczyna swój ej nowej rodzinie musi się zaprezentować z j ak naj -lepszey strony - wyjaśniła z żelazną logiką mama.

Jasne. Na razie otrzymałam zadanie dokładnego umycia porcelany i wypucowania do połysku srebrnej zastawy Pełen ożywienia dom szykujący się na przyjęcie państwa Kordów, miał dla mnie atmosferę rodzinnego grobowca.

Wreszcie zemknęłam do swojego pokoju. Wciąż rósł i rósł mój żal, trawiła od środka niespełniona miłość i gorycz zawodu gorsze niż kwas solny albo jakiś domestos.

Postanowiłam odreagować stres poezją. Z półki zdj ęłam pierwszą z brzegu książkę, otworzyłam na chybił trafił i od razu wpadł mi w oczy wiersz, który mogłabym sama napisać, gdybym potrafiła.

Zamknąłeś za sobą

drzwi

bezpowrotnie

nie wiem nawet

kim jesteś

światłem dla oczu

czy ogniem

który mnie zżera

strumieniem gaszącym

pragnienie

czy powodzią

ciepłym wiatrem

czy huraganem

który wszystko

spustoszył

we mnie...*

„Szkoda, że to, co pięknie brzmi w wierszu, jest tak paskudne, gdy zdarzy się w życiu” - pomyślałam.

Tymczasem w domu wciąż wrzało. Mama nagle jakimś cudem znalazła mnóstwo wolnego czasu i oto ni z gruszki ni z pietruszki przestały być ważne wzniosłe tematy typu pierwiastki kultury antycznej w literaturze angielskiej, metafizyczne medytacje w twórczości Williama Szekspira, czy też intelektualne dylematy pisarzy emigracyjnych. Ich miejsce zajęły rozważania, czy gościom podać sernik wiedeński, czy tort serowy z czekoladową polewą, czy lepsza będzie zwykła kawa ze śmietanką, czy może wysadzić się na kawę z likierem, bitą śmietaną i lodami bakaliowymi, czy podać wino półsłodkie francuskie czy słodkie hiszpańskie, czy może obydwie naraz, czy lepsze będzie szkło kryształowe, ze złotym szlaczkiem, czy może bez żadnych ozdób, za to szlachetnego kształtu, czy stół przykryć pięknym, koronkowym

obrusem, który jeszcze babcia dostała w prezencie ślubnym, czy też współczesnym z satyny równie pięknym z jeszcze piękniejszymi frędzlami... Każdy następny krok rodził następny problem, ten z kolei pączkował kolejnymi problemami.

Nieuchronnie nadciągała godzina zero. I wtedy gdy już byłam przekonana, że zła passa trwać będzie wiecznie, szczęście uśmiechnęło się do mnie. Nie był to wielki uśmiech fortuny lecz dla mnie ważny Mama poleciła mi iść na miejski bazar po świeże jajka, pewne, bo kupowane zawsze u tej samej przekupki.

Place targowe mają swoją szczególną atmosferę, jakiej trudno doświadczyć w super- czy hipermarkecie albo innym sklepie, gdzie obfitość towarów, barwne opakowania, i bez-

8 Wiersz autorstwa Janiny Ataman.

osobowy personel, a nawet reklamy trącą jakąś bezduszną sztampą. Targowisko to coś innego. Prawdziwi ludzie zabiegający o klienta, niebanalna promocja towaru skierowana nie do tłumu a konkretnego kupującego, umowne ceny i pewność, że zawsze można coś utargować.

Szłam sobie wolno i zupełnie bez powodu przystanąłam przy straganie z...

powiedzmy towarem w większości drogie-ryjnym. Szampony, podróbki kosmetyków znanych marek „jak oryginalne”, rajstopy skarpetki, bielizna i wiele innych różności.

- Co dla panienki? - natychmiast zagadnął mnie właściciel stoiska.

- Nic, tak sobie oglądam.

- E, dla takiej szykownej dziewczyny z pewnością coś się znajdzie.

- Dziękuję. - Byłam cienko z forszą.

- A może jakiś medykamencik? Świeża dostawa. Mnóstwo pięknych kobiet u mnie kupuje. Za pół ceny Mam, na przykład, skuteczne środki zmniejszające łaknienie.

Figurkę ma pani spoko, jednakże rzecz polega na tym, by ją zachować przez długie lata.

-Żartujepan? Mama już teraz wpada w panikę, że za mało jem.

-I na to jest rada.

Chociaż mama od zawsze przestrzegała nas przed nabywaniem czegokolwiek z nieznanego źródła, a już szczególnie lekarstw i kosmetyków, stałam, słuchając, co też ten człowiek ma do zaoferowania. Nagle doznałam olśnienia. Zamiast kombinować, jak się pozbyć jedzenia między talerzem a ustami, mogłam problem załatwić środkami przeczyszczającymi. Sprawdziłam - lekarstwa były oryginalnie zapakowane oraz miały ważną datę ważności, a do tego bez recepty i na moją kieszeń. Kupiłam jedno opakowanie, na razie na próbę.

139

Godzina zero

Został uzgodniony termin wizyty państwa Kordów. Była to sobota, na zewnątrz mróz mocno zelżał i chwilami w powietrzu czuło się przedwiośnie. Mimo wysiłków nie zdusiłam w sobie beznadziejnej miłości do Rafała.

Tego dnia mama założyła wiśniową garsonkę i srebrną klamrą elegancko upięła włosy w nieco fantazyjny kok, Liii -nową bluzkę, seledynową z koronkową wstawką i ciemnozielone spodnie, które wyjątkowo dobrze leżały i jeszcze bardziej podkreślały to, czego natura mi poskąpiła. Ja najpierw chciałam zamaniifestować swój podły stan ducha i wystąpić w starym, powypychanym dresie, potem dla

odmiany przez krótką chwilę nasza mnie ochota pożyczyć od Izy jakiś wystrzałowy ciuch i spróbować podbić serce Rafała, lecz pomysł był głupi; aż dziw, że w ogóle przyszedł mi do głowy. W końcu stanęło na tym, co idealnie wtopia w szarość tłumu, czyli nijakich džinsach i jeszcze bardziej nijakiej białej, trykotowej bluzce. Niestety nie sprowadziło to na mnie spokoju. Oczekiwanie przebiegało w gorączkowym podnieceniu i z drżeniem serca.

Kordowie przyszedli punktualnie o szesnastej i w komplecie. Drzwi otworzyła im Liii. Pani Korda okazała się postawną szatynką o jasnej cerze i pięknych piwnych oczach Rafała. Elegancka, choć skromna fryzura zdradzała rękę mistrza grzebienia, a granatowy kostium z jasnoróżowymi lamówkami, buty i torebka z dwiema stylizowanymi literami „C” -markę Coco Chanel. Pan Korda, tak jak Rafał blondyn, o głowę przewyższał dość wysoką żonę. Mimo smukłej sylwetki nad paskiem z krokodylej skóry uwydatniał się brzuch, którego nie maskowała marynarka nienagannie skrojonego ciemnopopielatego garnituru, ani jedwabna niebieska koszula, ani jedwabny granatowo-beżowy krawat. Rafał też był w popielatym garniturze i niebieskiej koszuli, lecz bez oficjalnego krawata. Na ich tle wypadaliśmy wyjątkowo skromnie, jednakże i mama, i Liii zdawały się ten fakt całkowicie lekceważyć.

Po wstępnych prezentacjach goście zasiedli za stołem, podałyśmy to wszystko, co przygotowałyśmy, i nastąpiły nieco przydługie wstępne konwersacje, podczas których dowiedziałam się, że państwo Kordowie większą część roku mieszkają w Paryżu, gdzie pani Korda pracuje w ambasadzie polskiej jako tłumacz, pan Korda jest przedstawicielem handlowym w firmie polsko-francuskiej Corporation... coś tam, i z racji swojego stanowiska podróżuje po całym świecie. Mają dom w Krakowie, do którego wracają z przyjemnością przy każdej sposobności, gdyż Paryż, owszem, jest piękny, lecz tak naprawdę najlepiej czują się w mieście swojego dzieciństwa i młodości.

Następnie przyszła kolej na prezentację planów narzeczonych. Liii - bez rewelacji - bezwarunkowo skończy studia i poświęci się pracy naukowej. Rafał dostał możliwość pracy jako drugi asystent Denisa Renoira przy realizacji dużego filmu o podboju przez Francuzów Algierii i postanowił wykorzystać tę szansę, a szansa była wielka, bo już dał się poznać jako utalentowany młody człowiek. Moją osobę mama załatwiła jednym zdaniem:

- Karla za rok zda maturę i, mam nadzieję, pójdzie na studia.

To „mam nadzieję” było nie fair, gdyż tak naprawdę zdradzało, że w mojej sytuacji niczego nie można być pewnym.

Siedziałam na wyciągnięcie ręki od swojego szczęścia i byłam niewyobrażalnie nieszczęśliwa. Tak bardzo nieszczęśliwa, że nie miałam odwagi spojrzeć na Rafała w obawie, że mój wzrok zdradzi to, co tak skrętnie ukrywałam, a poza tym chciałam sobie oszczędzić widoku jego pełnego uwiel-

141

ienia spojrzeń kierowanych do Liii. A zresztą, jak napisał Szekspir, miłość nie patrzy oczyma ciała, lecz oczyma duszy. Oczy mojej duszy widziały mojego wyśnionego w całej wspaniałości, a nawet jeszcze więcej, niżbym chciała - jego długie i szczęśliwe życie przy boku pięknej Liii; życie pełne romantycznych uniesień,

gorącej namiętności i wzajemnej akceptacji aż po grób. „Taka szczodrość fortuny tylko za urodę i jakiś nieuchwytny czar! To niesprawiedliwe! Głęboko niesprawiedliwe. ..” - płakałam do środka.

Tymczasem przy stole atmosfera stawała się coraz swobodniejsza, a rozmowa płynęła wartko. Liii, jak to Liii, bez najmniejszego wysiłku zawładnęła sercem przyszłych teściów.

- Ach, jakże jesteśmy szczęśliwi, że nasz syna pokochał tak uroczą, mądrą i wspaniałą dziewczynę - piali z zachwytu Kordowie.

- Ach, państwa syn jest wymarzonym dla mojej córki mężem - rewanżowała się wdzięcznie i ochoczo mama, cała w skowronkach z racji posiadania tak udanej córki. Teraz nastąpiła faza peanów na cześć narzeczonych. Ochom i achom nie było końca, nieprzerwanym strumieniem spływała elegancka, niemalże wedlowska słodycz, aż mdliło.

Było to ponad moje siły - wyszłam. Najpierw wyrzygałam ten wspaniały wiedeński sernik, którym musiałam się raczyć z resztą towarzystwa, potem wypłukałam usta, wymyłam zęby i przez pół godziny siedziałam na brzegu wanny

Nikogo nie obeszała moja absencja przy stole. Gdy wreszcie wróciłam, trwały w najlepsze negocjacje na temat wesela. Obie strony podeszły do tego w sposób rzeczowy; ustalano wstępnie listę gości, termin i szacunkowe koszty oraz wszelkie inne sprawy załatwiane za kulisami głównej celebry.

Moja przyszłość poprzez pryzmat białej sukni Liii jawiła się czarno. „Wszystko skończone, wszystko, jednak prawdzi-

142

■ wy koszmar nadejdzie dopiero po wyjściu gości - myślałam. _ Rodzinne życie bez reszty zdominuje temat kreacji, butów, welonu, fryzury kwiatów... Ponieważ było niemożliwością, żeby do ślubu Liii poszła w nicowanej sukience, zacznie się chodzenie po sklepach, modystkach, narady przymiarki... I tak do sierpnia”.

Sialwina i scjentologia

Pewnego dnia na przerwie podeszła do mnie Wyszka.

- Chciałam z tobą porozmawiać bez Izy dobrze?

- Oczywiście, nie ma sprawy

Wyszłyśmy na korytarz i znalazłyśmy spokojny kąt przy oknie.

- Chodzi o Malwinę. Z nią coraz gorzej. Znalazła sobie jakieś szemrane towarzystwo. Jeśli jej nie pomożemy, dziewczyna się stoczy na dno. Musi koniecznie wrócić do szkoły.

- Widok Irka może wpędzić ją w ponowną depresję.

- Wątpię, po tym wypadku w ogóle go nie wspomina.

- A dlaczego z tej pomocy wyłączasz Izę?

- Wiesz, Iza jest fajna, lecz jej sposób bycia bardziej dołuje, niż podnosi na duchu.

Kiepska z niej pocieszycielka, a Mal-winie potrzebna jest właśnie pociecha. Co? Pójdiesz ze mną?

- Pójdę. - Źle by było, gdyby niepowodzenia na jednym polu wpędziły mnie w asekuranctwo na innym. Poza tym była to świetna okazja, aby uciec od spraw domowych, a właściwie od rozpamiętywania żalu, że tracę Rafała na zawsze.

Z wizytą poszłyśmy jeszcze tego samego dnia po lekcjach. Ledwie weszłyśmy do

mieszkania Ratajów, już od progu zauważyłyśmy zmianę. Malwina miała na sobie wzorzystą sukienkę chińskiego kroju, korale z jakichś dziwacznych kamieni, a na głowie chustę omotaną na kształt turbanu.

Powietrze przesycił zapach wonnych kadzidełek spalających się wolno w szklance ustawionej na parapecie okna.

- O, cześć, fajnie, że wpadłyście. Mam wam coś bardzo pilnego do powiedzenia.

Napijecie się zielonej herbaty?

- Chętnie - powiedziałyśmy z Wyszka jednocześnie. Poza Malwiną nie było nikogo z domowników, co w małym mieszkaniu bardzo ułatwiało rozmowę. Malwina również wyglądała na wesołą i odprężoną. Z czasem owa wesołość zaczęła sprawiać wrażenie nieco sztucznej, a ponieważ nie potrafiłam sprecyzować dlaczego, nabrałam optymizmu, że mimo moich odczuć wyszła z marazmu, w którym była pogrążona podczas naszych niedawnych odwiedzin.

Z filiżankami herbaty na kolanach usiadłyśmy na poduszkach rozłożonych na podłodze. Zazwyczaj w podobnych sytuacjach rozmowę zaczyna się od wieści ze szkoły, lecz z obawy że wywołamy u Malwiny nawrót depresji, czekałyśmy, co ona powie, by zgodnie podążać za tym wątkiem.

- Och, dziewczyny kupiłam coś rewelacyjnie fantastycznego. Bomba. Żałuję, że dopiero teraz... - Wciąż mówiąc, wyjęła z szafki małe, prostokątne urządzenie przypominające amperomierz. Wychodzące z urządzenia dwa kabelki zakończone były metalowymi szczypczykami. - To jest miernik stresów. Taki sam przyrząd, jak na przykład ultrasonograf. Przytykacie do skóry i po sekundzie odczytujecie stan waszych nerwów. Dzięki temu prostemu aparacikowi będziecie mogły z łatwością unikać dołów psychicznych, zachować równowagę ducha i takie różne... wiecie. Zaraz wam zademonstruję. Którą pierwszą przebadać? Może ty Karla.

- Jasne.

Jeden ze szczypczyków założyła na moim małym palcu lewej ręki, drugi na kciuku prawej i włączyła obwód. Wskazówka wychyliła się daleko poza czerwoną kreskę na skali.

- Dziewczyno, źle z tobą. Nazbierało ci się w mózgu tyle engramów, że jeszcze trochę, a skończysz w wariatkowie. Przecież ty jesteś kłębkim nerwów.

- Sporo mi do happy, jednak z tym wariatkowem mocno przesadziłaś.

Chciałam spytać jeszcze o te „engramy”, lecz dostrzegłszy błysk powątpiewania w oczach Wyszki, dałam sobie spokój. Tymczasem Malwina kontynuowała wykład.

- Ja też kiedyś uważałam, że miewam tylko złe humory, że chandra to normalka, że nie potrzebuję niczego w psychice poprawiać, gdyż po szpitalu lekarz przepisał mi pół apteki leków. Dopiero po auditingu znalazłam punkt odniesienia, zrozumiałam, w jakim żyłam dołku i niekompetencji. Wyciszyłam się i bez farmaceutycznego wspomagania osiągnęłam równowagę duchową.

Następne słowo-zagadka - auditing. Miałam nadzieję, że w dalszej rozmowie zrozumie jego znaczenie.

-1 to wszystko za sprawą tego ustrojstwa? - Wyszka nawet nie próbowała ukryć sceptyzmu.

- Niezupełnie. Przystąpiłam do kościoła scjentologiczne-go i przestudiowałam

Diametykę.

- Dia.. .co? - spytałyśmy równocześnie.

- Zbiór zasad, to coś w rodzaju biblii scjentologów

- Czy ten Kościół scjentologiczny nie jest przypadkiem sektą religijną?

- Ależ skąd! Do Kościoła tego należą gwiazdy Hollywoodu, profesorowie, politycy i... iw ogóle jest on trendy na całym świecie. Zapisalam się kurs dla nowicjuszy, dzięki niemu poznam prawdę i do końca uporządkuję życie, bo postępując według zasad scjentologii, można zapanować nad czasem i przestrzenią. Rozumiecie? To tak, jakby uzyskać na życie prawo jazdy kategorii „S”.

Słuchałam z niedowierzaniem.

- Ciekawe rzeczy opowiadasz - powiedziałam, byle coś powiedzieć.

145

- Też możesz sobie kupić taki miernik stresu. Tylko pięć. dziesiąt dolarów.

Chociaż faktem było, iż to dziwne urządzenie prawidłowo odzwierciedlało stan moich emocji i mogłoby go kontrolować w każdej chwili, cena absolutnie przekraczała moje możliwości. Tyle forsy to ja jeszcze długo nie zobaczę.

- Rozważę propozycję i dam ci znać.

- Teraz ty Wyszka, dawaj palce.

Wyszka bez sprzeciwu poddała się badaniu. Jej wynik był lepszy od mojego, chociaż daleki od ideału.

- Niewiele ci brakuje do stanu alarmowego. Powinnaś już podjąć działania zapobiegawcze. Mówię ci, ze stresami nie ma żartów, zanim się obejrzysz, będzie za późno. Kupujesz aparat? Mogę załatwić po znajomości, od ręki.

- Też muszę się zastanowić. Pięćdziesiąt dolców to nie w kij dmuchał.

- Spoko, poczekam, aż uzbieracie. Tymczasem daję wam Drogę do szczęścia.

Przeczytajcie, a wszystko zrozumiecie. Aha, trwają właśnie nowe zapisy na kurs scjentologii, pierwszy stopień wtajemniczenia, który daje podstawy do poznania fundamentalnych założeń nauki Mistrza. Po takim kursie mogłybyście już wyjechać na Igrzyska Dobrej Woli. To dopiero jest coś.

Mówiąc, wręczyła nam po broszurce. Na jej okładkach widniał naturalistyczny rysunek uśmiechniętego mężczyzny z wyciągniętymi dłońmi, z których wychodziły niebieskie promienie.

- Poczytamy z pewnością poczytamy z zainteresowaniem - zapewniła Wyszka i zmieniła temat. - Kiedy wracasz do szkoły?

- Na razie nie wracam.

- Narobisz sobie zaległości.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion, oczywisty znak, że

146

nie chce kontynuować tego tematu. Wtem zadźwięczał dzwonek. Malwina poszła otworzyć drzwi.

- Ile razy mam ci powtarzać, gnojku, żebyś nosił swój klucz? Następnym razem będziesz siedział na schodach, aż wrócą starzy Rozumiesz?

Wszedł brat Malwiny Burknął coś na powitanie, wrzucił swój plecak na górne łóżko i wyszedł, chyba do kuchni, bo słyszałyśmy trzaskanie lodówki, odgłos zapalanej kuchenki gazowej i szcęk talerzy Nadeszła pora kończyć wizytę.

Pożegnałyśmy się. Przykro odczułam fakt, że Malwina ani nie podziękowała nam za odwiedzin, ani nie zaproponowała, abyśmy jeszcze wpadły. Po prostu zamknęła za nami drzwi i pozamiatane. Zeszliśmy ze schodów w milczeniu, dopiero na ulicy Wyszka spytała, co myślę o jej stanie psychicznym.

- Chyba jest z nią kiepsko, skoro szuka rozwiązania swoich problemów w jakiejś dziwnej doktrynie.

- I pewnie sekcie. Ostatnimi czasy rosną jak grzyby po deszczu. Jestem na tym polu ostrożna. Mam własne przekonania i unikam ludzi, którzy chcą mi wciskać jakieś nowo-kultowe dyrdymały

- Ja też - przytaknęłam, chociaż tak naprawdę nigdy nie zastanawiałam się nad własnym światopoglądem. Byłam ochrzczona, byłam u pierwszej komunii, byłam bierzmowana, chodziłam, jak każdy, na lekcje religii, lecz z praktykowaniem nie przesadzałam. Niemniej wierzyłam w Boga. Takich nazywa się chyba agnastykami. „Muszę sprawdzić” - obiecałam sobie.

- Cała ta gadanina Malwiny o jej nowym wyznaniu jest mocno podejrzana, chociażby przez te wtręty o panowaniu nad czasem i przestrzenią. Czyli co? Chcą żyć wiecznie?

- No jasne, to zupełnie bez sensu. Logicznie rzecz biorąc, wiecznego życia można być pewnym dopiero po śmierci.

- O ile wieczne odpoczywanie stanowi jakąś formę życia.

Wymieniałyśmy uwagi świadczące, że ta cała scjentologia jest jakimś źle urobionym kitem, jednak nadal intrygował mnie miernik stresów. Przecież bezbłędnie wskazał stan mojego ducha. Może w tym rzeczywiście coś jest? Postanowiłam koniecznie przeczytać broszurkę.

- Jak myślisz, Karla, jak powinniśmy dalej postępować z Malwiną? Bo przecież nie możemy jej zostawić bez pomocy

Szkoda, że w szkole nie uczą sposobów radzenia sobie z emocjami, że nie podają jakichś przepisów na szczęście, nie radzą, czego unikać, a co w sobie rozwijać, żeby być lubianym, albo chociażby, jak skutecznie pomagać innym, gdy wpadną w tarapaty. Teraz ta ostatnia umiejętność byłaby, jak znalazł, a tak, kicha. Mimo to przytaknęłam Wyszce:

- Jasne. Sądzę, że ze scjentologii wyleczy się podobnie jak z miłości do Irka. A do normalności wróci, gdy będzie miała przy sobie przyjazne dusze.

- Masz rację. Będziemy ją po prostu odwiedzać, czy tego chce, czy nie.

* * *

Siedząc w rozpaczach nad filiżanką gorzkiej herbaty, zajrzałam do Drogi do szczęścia, lecz próżno szukałam przepisu na szczęście. Cenię sobie dobre porady, jednakże niektóre grzeszą tak karygodną naiwnością lub niewiedzą, aż dziw bierze, że ktoś, pewnie jakiś patentowany głupek, ogłasza je drukiem. Braku miłości nie zastąpi żadna medytacja, głębokie oddechy ani siedzenie w pozycji lotosu. Z odwoływania się do jakichś sił kosmicznych nie ubędzie mi nadwagi, włosy nie nabiorą blasku, nie stanę się duszą towarzystwa, a chłopcy nie oszaleją na moim punkcie. Wniosek? Żeby uwierzyć w rady broszurki, musiałabym wyrzec zdrowego rozsądku.

Malwina pewnie nadal będzie przekonywać nas do skuteczności rewelacyjnych rad scjentologów, ale mnie z pew-

nością nie przekona. Moja recepta na szczęście jest prostsza i skuteczniejsza:

wystarczy robić tylko to, co szczęście przybliży, lub inaczej mówiąc, eliminować wszystko, co je oddala. W moim przypadku po pierwsze - chudnąć, aż uzyskam zgrabną sylwetkę, po drugie - poprawić urodę, najlepiej za pomocą operacji plastycznej, lecz na to przyjdzie czas wraz z kasą.

Cieszę się nadchodzącą wiosną, a z nią niskokalorycznych warzyw. Najlepsze będą, sprawdziłam, kalafiory. Mają dużo mikroelementów i sporą objętość przy minimum kaloryczności. Oczywiście przy kalafiorach żadnego masełka, żadnej bułeczki... Poradzę sobie.

Witek

Czas był paskudny a pogoda jeszcze gorsza. Siedziałam nad lekcjami i próbowałam się uczyć. Bez entuzjazmu. Od zawsze słyszałam od mamy, że zdobywam wiedzę sama dla siebie, dla lepszego jutra. Nic dodać nic ująć, jednakże oprócz wizji świetlanej przyszłości, chciałam mieć wreszcie jakąś satysfakcję. Tymczasem trudno było uznać za świetlaną przyszłość ślub Liii w niedalekiej perspektywie.

Tak jak przewidziałam, mama przechodziła samą siebie, żeby z jednej strony dobrze wypełniać zawodowe obowiązki, z drugiej korzystnie spieniężyć parcelę, lecz to ostatnie okazało się wyjątkowo skomplikowane. Wreszcie zleciła sprzedaż jakiejś warszawskiej agencji nieruchomości i z tym większym zapałem zaangażowała się w weselne tematy. Każda możliwa pliska ślubnej sukni, każda perełka w welonie, każdy kwiatek w bukiecie był tematem drobiazgowych rozważań, jakby od tego zależały losy ludzkości. Rzecz jasna dokładałam starań, by być od tych nudziarstw jak najdalej. Wykręcałam się nawąłem nauki, opóźniałam, jak mogłam, powroty ze szkoły czasem z Izą i z kimś jeszcze szłam do Pstryczka, czasem z Wyszką do Malwiny a czasem wracałam na piechotę zamiast jechać autobusem.

Pierwszy dzień lutego nie zapowiadał się szczególnie. Wyszłam ze szkoły razem z Izą, Wyszką, i Dorotą, gdy niespodziewanie podszedł do mnie nieznajomy młody mężczyzna w granatowej kurtce i czapce nasuniętej głęboko na oczy

- Cześć, Karla, mogę zamienić z tobą kilka słów? W nieznajomym rozpoznałam Witka.

- Jasne. - Powiedziałam dziewczynom, że zaraz je dogonię i przystanąłam.

- Szukałem cię. - Zamurowało mnie, jemu chyba też zabrakło pomysłu na dalszą konwersację, bo zapanowało między nami kłopotliwe milczenie. Dopiero po długiej jak wieczność chwili wyrzucił z siebie pytanie. - Umówisz się ze mną?

Moja miłość do Rafała była miłością ślepa, beznadziejną i pozbawioną logiki, ale trwała, trwała i trwała... Z fizyki wiadomo, że klina najlepiej wybijać klinem, postanowiłam zatem spróbować nową miłością wyleczyć starą miłość, a kandydat spadł mi niemalże z nieba.

- Mogę.

- Kiedy masz czas?

- W sobotę. W sobotę o czternastej.

- Gdzie na ciebie czekać?

- Koło kina Helios - ubezpieczyłam się. Gdyby nie przyszedł, a spotkałabym tam kogoś znajomego, mogłam udawać, że przeglądam repertuar.

- Dobrze, będę czekał. Tylko przyjdź.

Chwilę patrzyłam, jak odchodzi, potem dołączyłam do koleżanek.

- Kto to był? - spytała Iza.

- Znajomy - To zdawkowe wyrażenie uznała za wystarczające i wróciła do przerwanej sprawy innych.

150

Do spotkania przygotowałam się starannie. Najpierw zastrzyłam dietę, gdyż mój organizm uodpornił się na dotychczas stosowane środki przeczyszczające, na nowe nie miałam rady a tymczasem od tygodnia waga uparcie wskazywała pięćdziesiąt trzy i pół kilograma z tendencją do wzrostu, bo czasem było dziesięć, a nawet piętnaście kilo więcej. Do posiłków zaczęłam ubierać się w wypróbowaną spódnicę z foliową wkładką w kieszeniach. Metoda znów działała bez zarzutu, bo nawet przy stole temat „ślub” był o niebo ważniejszy niż to, co ja przepuszczam przez przewód pokarmowy

Muszę obiektywnie przyznać, że zaręczyny bardzo korzystnie wpłynęły na charakter Lii, stała się łagodniejsza i bardziej skora do czynienia dobrych uczynków. Zaryzykowałam i poprosiłam ją, żeby pożyczyła mi swój nowy, piękny płaszcz z wielbłądziej wełny.

- Wybierasz się na randkę? - Przytaknęłam. - Jaki on jest?

- Zobaczę.

- Słusznie. Pozory najczęściej mylą. Wybierz sobie z mojej szafy, co tylko zechcesz.

- Czapkę i szalik też?

- Powiedziałam: co tylko chcesz. Super.

W stosunku do Witka założyłam sobie następujący plan: pierwsze spotkanie potrwa pół do jednej godziny, - będę omijać Pstryczka tak długo, aż się przekonam, że warto go pokazać Izie i innym koleżankom; żadnych szemranych układów i kłamstw. Po Firlim wolałam dmuchać na zimne.

Przed wyjściem z domu zrobiłam jeszcze staranny makijaż kosmetykami mamy i wystrojona w eleganckie ciuchy siostry ruszyłam na spotkanie.

Witek czekał przed wejściem do kina. Zanim mnie dostrzegł, zdążyłam zlustrować go oczami Izy. Był wysoki, barczysty przyzwoicie ubrany, czyli tę stronę jego osoby mogłam spokojnie zapisać wśród pozytywów.

I

151

- Jestem. - Podeszłam do niego niezauważona.

- Fajnie, już myślałem, że zrobiłaś mnie w konia. - Podał mi rękę i spróbował pocałować w policzek. Było to zbyt wyrywne jak na mój gust.

- Z zasady dotrzymuję słowa. - Cofnęłam się lekko, ale wystarczająco, żeby uniknąć pocałunku.

- Więc co robimy?

- Jest ładnie, może pójdziemy na spacer?

- No, możemy iść. Do parku? Skinęłam głową.

Park rozciągający się za kinem Helios należy do największych parków w mieście, ciągnie się wzdłuż rzeki od zapory do wzniesienia zwanego Lisią Górą. Teren parku poprzecinany jest siatką utwardzonych alejek. Mimo licznych łąt śniegu w zacienionych miejscach zimozielone drzewa i krzewy w jasnym tego dnia słońcu dawały namiastkę prawdziwej wiosny. Park zawsze tętnił życiem. Pełno tu było

zwykłych spacerowiczów oraz przechodniów skracających sobie drogę do zakładów lotniczych.

Szliśmy wolno noga za nogą. Szukałam w myślach jakiegoś tematu do rozmowy, lecz jakoś bezskutecznie. Wreszcie spytałam, czy ciągle odbywa służbę wojskową.

- Tak. A ty?

- Dalej chodzę do szkoły

- Tyle to pamiętam. Robisz coś jeszcze?

- Uprawiam sport. Konkretnie koszykówkę.

- Koszykówka jest denna. Wolę boks i piłkę nożną.

Mnie z kolei nie interesowało ani jedno, ani drugie. Gorzej, mordobicie uważałam za barbarzyństwo również poza ringiem, z tego powodu starannie omijam filmy akcji, gdzie fabuła polega na wzajemnym dowalaniu sobie z buta, z pięści lub z byka.

Podejrzewam nawet, że gdyby matka natura dała homo sapiens rogi i ogony, akcję urozmaicałaby ponadto sztuka trykania się rogami i chlastania ogonami.

Nie ujawniłam swoich sportowych upodobań, co Witek potraktował jako zachętę do rozwinięcia tematu. Powiedział, że kiedyś trenował boks, a piłkę nożną po prostu lubi. Bez większego zainteresowania spytałam, w jakiej kategorii boksował, odpowiedział, że w średniej. Na tym wyczerpałam swój zapas pytań, bo ani o boksie, ani o piłce nożnej nie wiedziałam nic więcej. Chodziliśmy sobie tak w milczeniu jeszcze z pół godziny, zaczął zapadać zmierzch, więc postanowiłam wrócić do domu.

- Gdzieś tu widziałem postój taksówek - próbował sobie przypomnieć, z której strony parku.

- Pojadę autobusem. Odprowadź mnie na przystanek.

- Uważasz, że jestem jakimś chamem? - spytał dość obcesowo. - Dziewczynę odstawia się pod dom.

- No dobrze - spodobała mi się jego szarmancka postawa.. Wsiadliśmy do siedemnastki, a tu jego szarmanckość

przybrała niemalże absurdalny wyraz. Zapłacił za mnie za przejazd, chociaż uprzedziłam go, że mam bilet miesięczny.

- Drobiażdżek - skwitował i znów między nami zapadła cisza.

Autobus był prawie pusty Usiedliśmy i wtedy on, niby przypadkiem, położył swoją dłoń na mojej. Ten nowy przyływ poufałości zaskoczył mnie. Nie cofnęłam ręki, lecz brakło mi śmiałości, żeby na niego spojrzeć. A powinnam i spojrzeć, i coś powiedzieć, a ponieważ jestem głupią gęsią, siedzieliśmy sobie jak dwa kołki w płocie, aż dojechaliśmy do celu.

- Mieszkam jeszcze kawałek stąd - poinformowałam.

- No to idziemy.

„Rany facet uzna mnie za skończoną nudziarę” - pomyślałam na widok zbliżającego się domu. Szukałam gorączkowo w myślach jakichś odpowiednich słów dla ratowania resztek swojego wizerunku, zanim następny absztyfikant zniknie
153

z mojego życia jak kamfora, ale nic z tego. Dopadło mnie totalne tumaństwo. Wreszcie stanęliśmy przed bramką.

- Tutaj mieszkam.

- Kiedy następnym razem będziesz miała czas? Nie do wiary On gotów był na

powtórkę.

- Myślę, że za tydzień o tej samej porze.

- Będę czekał w tym samym miejscu.

Pocałował mnie w policzek, lecz tym razem nie zrobiłam uniku.

Kilka dni później Liii wyjęła ze skrzynki pocztowej jedenaście listów. Byłam przekonana, że wszystkie są adresowane do niej, tymczasem jeden był do mamy i jeden do mnie. Pobiegłam do swojego pokoju i drżącymi ze zdenerwowania rękami rozerwałam kopertę. Ze środka wypadła kartka. W lewym górnym rogu widniało serce z czerwonych różyczek, niżej: Mojej dziewczynie Karli wszystkiego najlepszego w dniu świętego Walentego - Witold.

Pismo zdradzało niewprawną w pisaniu rękę, jednak byłam szczęśliwa. Witek wydał mi się niezwykle sympatyczny i wartościowy. Czulałam nawet, że z czasem będzie doskonałym antidotum na moje fatalne zauroczenie Rafałem.

Mj)wa miłość <jzy

Stało to się tuż przed Wielkanocą. Najpierw na długiej przerwie Janek Wolski napisał na tablicy głupi wierszyk, a brzmiał on tak:

-Kto ty jesteś?

- Jajeczko.

- Jaki znak twój ?

- Żółteczko.

- Gdzie ty mieszkasz?

- W skorupce. -W jakim kraju?

- W kurzej dupce.

Obok narysował wielką pisanekę i podpierającego ją zajaczkę z witką bazi w zębach. Mało kto zwrócił na to uwagę, bo Janek ostatnio mocno przesadzał ze swoją radosną twórczością poetycką, i może dlatego tablica nie została starta w porę. Tuż po dzwonku weszła do klasy pani katecheta. Weszła i zaraz wyszła, więc wszyscy uznali, że zafundowała nam dłuższą przerwę, i dalej zajmowali się wszystkim, tylko nie tablicą. A szkoda, gdyż między klasą a panią katechetką od początku roku trwało coś w rodzaju wojny psychologicznej wywołanej przez Emila Dębskiego, który w zadawaniu kłopotliwych pytań nie miał za grosz umiaru.

Wcześniej religii uczył nas młody ksiądz, Adam Bielicki. Uwielbialiśmy go za pogodę ducha i umiejętnością rozmowy na każdy temat. Któregoś dnia, gdy wykładał o ukrzyżowaniu Chrystusa, Emil niespodziewanie spytał, dlaczego okrutne morderstwo niewinnego człowieka, i to z woli jego ojca, jest uważane za dowód miłości. Na koniec dodał:

- Mord dokonany jedynie dla zaspokojenia własnego poczucia sprawiedliwości uważam za czyn prymitywny i etyczną bzdurę.

Zbaranieliśmy, tylko Aniela jęknęła:

- Jezu, ale cham.

Spodziewaliśmy się, że to bluźniercze pytanie wyprowadzi księdza z równowagi, lecz nie.

- Tylko taka ofiara równoważyła grzechy ludzkości - wyjaśnił.

- Czyli Boska sprawiedliwość jest dość pokrętna, bo zwalczanie niesprawiedliwości niesprawiedliwością jedynie powiększa rozmiar niesprawiedliwości. Nic więcej.

- Bóg w swojej nieskończonej wielkości udowadnia jedy-
154

ж

nie, że przestrzega zasad danego ludziom prawa, składając ofiarę z syna, dowiódł swej absolutnej sprawiedliwości.

- Mam co do tego wątpliwości. Po pierwsze, wyrok na Adama i Ewę był niewspółmierny do przewinienia, po drugie, Bóg zastosował odpowiedzialność zbiorową i jeżeli cokolwiek przy tym dowiódł, to tylko tyle, że silniejszy może więcej - kontynuował Emil, jakby odebrało mu rozum.

- Zatkaj się wreszcie! - Anieli na dobre puściły nerwy lecz ksiądz uspokoił ją gestem ręki.

- Duszpasterstwo nie polega na przekonywaniu przekonanych. Żeby wyjaśnić sobie tego typu wątpliwości, należy najpierw zrozumieć wyjątkowość relacji człowieka z jego Twórcą, zaś obrazu Boga szukać w osobie Chrystusa... - tłumaczył spokojnie, a kiedy skończył, zaczęła się tak ożywiona dyskusja, że trwała jeszcze dwie godziny po ostatniej lekcji, a szczęśliwie była nią właśnie religia.

Bywało, że chodziliśmy do księdza na plebanię, aby tam nadprogramowo roztrząsać najdziwaczniejsze dylematy na które w szkole brakowało czasu. Pamiętam, jak argument księdza Adama, że Bóg dał człowiekowi możliwość czynienia zła, aby nie ograniczać jego wolnej woli, w sekundzie zre-setował wszystkie moje wcześniejsze przemyślenia na ten temat. Takich refleksji było dużo więcej, bo ksiądz Adam, oprócz znajomości katechizmu, posiadał wszechstronną wiedzę. Nie unikał tematów nawet najbardziej kontrowersyjnych i lubił polemiki. Potrafił biblijne postaci i zdarzenia po mistrzowsku przedstawiać w kontekście ówczesnej sytuacji i politycznej, obowiązujących praw, zwyczajów oraz uznawanych prądów filozoficznych. Religia w jego wydaniu była nauką żywą i arcyciekawą.

Niestety, w tym roku księdza Adama zastąpiła katechetka, pani Jadwiga Łoza. Lat czterdzieści, panna, zasadnicza, z zerowym poczuciem humoru. Nic nie zapowiadało wza-

jemnej niechęci, aż do czasu, gdy podczas omawiania doniosłości proroctw Starego Testamentu, Emil spytał, jak należy tłumaczyć nieścisłości zawarte w Piśmie Świętym, szczególnie te, które są sprzeczne z obecnymi odkryciami naukowymi.

- Pismo Święte jest księgą natchnioną przez Boga, jest źródłem prawdy i wiedzy
Zapisz to sobie w zeszycie i wykuj na pamięć.

- Ale na przykład w Księdze Rodzaju proces tworzenia świata odbiega od ustaleń współczesnych uczonych, na przykład...

- Dębski, chyba powiedziałam dostatecznie wyraźnie, jakie są fakty

- Czyli mam rozumieć, że Biblią mogę zastąpić podręczniki fizyki, chemii, biologii i astronomii?

Emil, fan żelaznej logiki i precyzji wyrażania myśli, lubił popisywać się wyłapywaniem ułomności hipotez, teorii czy zwykłych wypowiedzi. Nie przepuścił nikomu. Gdyby katechetka odpowiedziała na pytanie Emila sensownie, zbyła żartem, albo nawet zbagatelizowała je, wygłup poszedłby raz-dwa w zapomnienie, jak tysiące innych wygłupów. Ale nie.

- Dębski, nie wymądrzaj się! - krzyknęła. - Jeżeli nie potrafisz zadać mądrego

pytania, lepiej siedź cicho.

- Po Koperniku, Newtonie i Darwinie dziurawej wiedzy nie należy łątać Bogiem - skomentował niby cicho, lecz słyszała połowa klasy Katechetka też.

Emil po tym falstarcie zamiast dać sobie spokój, z uporem maniaka brnął dalej. Na następnej lekcji z miną niewiniątka spytał, czy wszystkich proroków należy czcić jako świętych.

- Oczywiście, prorocy to święci mężowie natchnieni przez Boga - odpowiedziała niepokornie pani Łoza.

- Czy tego biblijnego osła, który przemówił ludzkim głosem do niejakiego Dalabama, też? Pomijając fakt, że już sam

157

gadający osioł jest prawdziwym cudem, prorocstwo w jego pysku należy uznać za cud do kwadratu.

Katechetka przez chwilę stała nieruchomo, niemalże jak zamieniona w słup soli żona Lota, wreszcie po chwili długiej jak wieczność wrzasnęła:

- Dębski, za drzwi! Na-tych-miast!

Później było wyłącznie gorzej. Zadawanie niemądrych pytań stało się na topie.

Wzorem Emila każdy chcący błysnąć dowcipem, wyszukiwał w Nowym lub Starym Testamencie kontrowersyjne wersety i przekuwał je w głupie pytania bez szans na odpowiedź, gdyż pani Łoza konsekwentnie odpowiadała tylko na pytania mądre.

Jednak iskrę na beczkę prochu rzucił dopiero Bartek Bugajski. Gdy pani katechetka poprosiła go, aby wymienił jakiś przykład współczesnego cudu na miarę biblijnego, powiedział:

- Sam Chrystus wyżywił pięć tysięcy wiernych, natomiast pięć tysięcy wiernych nie może wyżywić jednego proboszcza.

Sprawa oparła się o dyrektora, do szkoły został wezwany ojciec Bartka. Wielka awantura w końcu została wyciszona, lecz napięcie na linii klasa - katechetka osiągnęło apogeum.

Ale wracam do sedna sprawy Pani Łoza wróciła z Babcią. Ucichliśmy w swoich ławkach.

- Rozumiem i lubię, gdy młodzi ludzie mają poczucie humoru. Jednak są granice dobrego smaku, którego nigdy, powtarzam, nigdy nie należy przekraczać.

Szczególnie w szkole o tak szlachetnych tradycjach. A tymczasem, proszę! Wchodzę do klasy i oto, co widzę? No? Niech pani popatrzy, pani Babińska. - Szerokim gestem wskazała na tablicę.

Babcia pewnie zdążyła już piętnaście razy przeczytać tekst, jednakże stosownie do oczekiwań katechetki poświęciła tablicy stosowną chwilę uwagi.

- Tak? - czekała na dalszy ciąg.

- Ta głupia parodia Katechizmu polskiego dziecka Wła-

158

dysława Bełzy obraża dwie wartości wymagające najwyższego szacunku. Po pierwsze, patriotyzm, po drugie, jest kpiną z największego chrześcijańskiego święta. Uważam, że umyślnie została napisana przed moją lekcją.

- Zostaniecie dzisiaj po ostatniej godzinie w klasie, porozmawiamy - Była to absolutna złośliwość ze strony Babci, ponieważ następnego dnia mieliśmy lekcję

wychowawczą, odpowiednią akurat do załatwiania takich spraw

- Bezwzględnie żądam, żeby sprawca lub sprawcy zostali przykładowo ukarani.
- Oczywiście. Wymierzę karę stosowną do ciężaru gatunkowego sprawy - Babcia wyszła.

Wszyscy byli wściekli na Janka, lecz przepadło. Musieliśmy nadprogramowo wysłuchać pouczającego wykładu wychowawczynie.

- Poczucie humoru jest jak przyprawa, którą należy używać z umiarem. Tym większym, im przyprawa ostrzejsza. Zgadzasz się z tym, Wolski?

- Tak, pani profesor.

- Reszta klasy też się z tym zgadza?

- Tak, pani profesor - odpowiedzieliśmy monotonnym chórem.

- Wsypujesz do zupy kilogram pieprzu?

- Nie, pani profesor.

- Kto z klasy wsypuje? - Pytanie przemilczeliśmy - Rozumiem, że nie ma amatorów aż takiego pieprzenia. Wolski, dodasz do budyniu paprykę?

- Nie, pani profesor.

- Czy w klasie jest może ktoś, kto dodaje? - Nie było. - Wydaje się, Wolski, że jesteś rozsądnym, młodym człowiekiem w rozsądnej klasie, więc dlaczego wypisujesz po tablicy takie bzdury i to w najmniej właściwym czasie? Za karę napiszesz referat na temat greckiej komedii staroattyckiej.

159

W razie następnego, podobnego wybryku, pisać będą wszyscy Dziękuję, do zobaczenia.

Nie dociekaliśmy, skąd Babcia wiedziała, kto był autorem wiersza. Zakończenie uważaliśmy za dobre i sprawiedliwe lecz najprawdopodobniej zadziałało prawo serii, gdyż nazajutrz, też na długiej przerwie, gdy Marek Szalach i Kamil Kostka puszczała sobie dymka w załomie muru między budynkiem szkoły a salą sportową, zaniósł tam samego dyrektora. Konsekwencje wypadki były dla nich dotkliwe. Zostali wezwani do gabinetu na ostrą reprimendę, w dalszej kolejności obniżono im oceny ze sprawowania i wezwano do szkoły rodziców, lecz zanim chryja rozwinęła się na dobre, ledwie wrócili do klasy rzucili w stronę Tomka:

- Pieprzony kabel.

- Co powiedzieliście?

- Kabel! Dyrektorska wtyczka! Szpicel! Tomek skoczył jak oparzony

- Macie na to dowody dupki? Macie? Jeśli nie, natychmiast odszczekajcie te bzdety

Pyskówkę przerwała Babcia, bo akurat wypadła lekcja a wychowawcza. Sprawdziła obecność, zamknęła dziennik, wstała, wzięła kredę i zamasyście napisała na tablicy: UCZEŃ MA NIE TYLKO PRAWA, ALE IBOWIAZKI. Oho, zaniósł się na ostre przytruwanie.

- Zdanie, które napisałam, jest czystym truizmem. Nie dla wszystkich jednak.

Niektórzy uważają szkołę za jakąś spelunkę dla zdemoralizowanych młodzieńców, zapominając, że społeczeństwo, czyli wasi rodzice, krewni, sąsiedzi, bliźsi i dalsi znajomi płacą z własnej kieszeni niemałe podatki, żeby was nieodpłatnie kształcić. Słyszycie, Szalach i Kostka? Do szkoły przychodzicie, aby się uczyć, nie palić papierosy, wachać jakieś świństwa, czy robić inne bezeceństwa. Społeczeństwu w

dzisiejszych czasach jest zbyt ciężko, by zmuszać je

160

dodatkowo do finansowania waszych nałogów Zrozumielście? Ale to nie wszystko. Pałac, pijąc, ćpając, zniszczycie swoje zdrowie i znów społeczeństwo będzie musiało was leczyć, może nawet utrzymywać jako rencistów niezdolnych do pracy Macie tego świadomość Szalach i Kostka? Powiedzcie, dlaczego palicie? Najpierw ty, Szalach. Marek wstał, lecz milczał jak kamień.

- Nie wiesz? Nie potrafisz nawet uzasadnić swojego postępowania? Chyba nie odruch warunkowy Pawłowa każe ci sięgać po papierosa, więc powinienesz wiedzieć, dlaczego palisz. A ty Kostka?

Kamil również nabrał wody w usta.

- Też masz kłopot z odpowiedzią? A możesz przynajmniej uzasadnić swoją niewiedzę? Też nie? Na demencję starczą za wcześnie, czyli rozumiem, że nikotyna poczyniła już takie spustoszenia w waszych szarych komórkach, iż sprawia wam trudność odpowiedź na najprostsze pytanie. Usiądźcie.

O tak, Babcie, na ogół nieszkodliwą głędołę, irytacja przeobraża w rzadką jędrę, która bez słów powszechnie uważanych za obraźliwe potrafi dopiec do żywego.

Marek i Kamil mieli się za fest twardzieli, więc pewnie woleliby dostać z buta w łeb, niż usłyszeć, że są głupkami. Zawsze butni i pewni siebie, teraz w bezsilnej wściekłości tylko zaciskali zęby.

Równo z dzwonkiem, gdy Babcia wzięła pod pachę dziennik i wyszła z klasy, Marek jak z procy wyskoczył z ławki, doskoczył do Tomka, pakującego akurat książki, i z całej siły walnął go pięścią w głowę. Zaatakowany zniecka upadł, przewracając krzesło. Napastnik przekonany że wyrównał rachunki, odwrócił się, by odejść, lecz w tej samej sekundzie Tomek zerwał się na równe nogi i kopnął Marka w tyłek. Teraz ten, nie mniej zaskoczony bezwładnie poleciał do przodu i wpadł na przechodzącą akurat Anielę. Razem runęli na podłogę, lecz Aniela nieszczęśliwie zawadziła głową o kant blatu

i rozcięła sobie łuk brwiowy. Marek z miękkiego lądowania wyszedł bez szwanku, wstał i nawet nie spojrzawszy na rrii-mowolną ofiarę starcia, znów skoczył do Tomka, jednak tym razem czekały go gotowe do użytku pięści. Zanim zdążył się zamachnąć, oberwał prawdziwie boksinerski lewy sierpowy w szczękę, prawy hak w podbródek i jeszcze lewy prosty w nos. Marek zasłonił twarz i padł na wznak jak długi.

Tymczasem Iza z Matyldą podniosły bladą, wiotką niczym wędnąca mimoza Anielę i posadziły na krześle. Z rany na czole obfitą strugą spływała krew, więc Matylda próbowała zatamować ją chusteczką higieniczną.

Kamil, który wcześniej pewien zwycięstwa kumpla, z ironicznym uśmiechem obserwował jego atak, zbaraniał i z rozdziawioną gębą wlepił gały w powalonego Marka, rozważając, czy go ratować, czy natychmiast pomścić. Wybrał drugą opcję. Musiał. Był na cenzurowanym. Klasa patrzyła, jego wizerunek twardziela był zagrożony. A Tomek czekał w gotowej do boju postawie. Cuda się zdarzają, lecz nie słyszałam, aby chodziły parami. Już cudem było, że przeciętniak pod względem krzepy, dokopał napakowanemu osiłkowi, więc szansa, że dokopie dwóm osiłkom, graniczyła z nieprawdopodobieństwem, mimo to Tomek zachowywał się, jakby

stracił rozum.

- No, podejdz tu, pieprzony dupku. Co, strach cię obleciał? - chojrakował.

Ze strony Kamila posypały się bluzgi, których nie sposób przytoczyć, po czym jak dwa bojowe koguty z furją zaatakowali się nawzajem i... zadźwięczał dzwonek.

Tomek z Kamilem z niemałym trudem odstępili od siebie, lecz ze wzajemnych pogroźek wynikało, że ciąg dalszy nastąpi.

Do klasy wszedł Barszczyk.

- Panie profesorze, panie profesorze, czy możemy odprowadzić Anielę Świątek do higienistki? - pośpiesznie wyrazi-

ła samarytańską uczynność Iza, która wespół z Matyldą troskliwie podtrzymywała bladą jak kreda poszkodowaną. - Aniela upadła i jest poważnie ranna.

- A konkretnie, co się stało?

Klasa milczała. Nikt nie chciał sobie zarobić ksywy „kabel”, bo kabel to gorzej niż świnią, bałwan, kretyn, a nawet dupek.

Barszczyk podszedł do Anieli, żeby obejrzyć ranę.

- Uderzyła się w pulpit ławki - wyjaśniła usłużnie Iza, bo z miny nauczyciela wynikało, że wietrzy jakieś krętactwo, a prawdę mówiąc, miał ku temu podstawę, gdyż wcześniej zapowiedział pisemny sprawdzian. - Mogła doznać wstrząśnienia mózgu. Lepiej niech ranę obejrzy ktoś fachowym okiem.

- Słusznie, z Matyldą Bosek pójdzie Karla Malska. Reszta pochowa wszystkie książki i zeszyty, a wyciągnie kartki.

- Ja oczywiście też mam z nimi iść? - Iza próbowała jeszcze coś dla siebie ugrać.

- Ty zostajesz w klasie. Dwie ubezpieczające w zupełności wystarczą..

Barszczyk, który bez trudu przejrzał wybieg Izy złośliwie sobie z niej zadrwił. Nie tylko udaremnił jej urwanie się z klasówki, ale dodatkowo pozbawił swojego wsparcia. Było jasne jak słońce: wiedział, że pomagam Izie, nie wiedział tylko jak. Punkt dla niego.

■

ćAniela

Ledwie zamknęłyśmy za sobą drzwi, Aniela zrobiła okrągłe oczy i zasłoniła dłonią usta.

- Co ci jest? - spytałyśmy jednocześnie.

- Jezu, zaraz puszcę pawia - wyjęczała spod pobielających z nacisku palców.

Pobiegłam do sanitariatów po papierowe ręczniki, lecz kiedy wróciłam, Matylda miała już zarzygane buty Anieli chyba to nie pomogło, bo zdawała się omdlewać, a jej skóra przybrała sinawy kolor.

- Róbnmy krzeselko, będzie prędzej - zaproponowałam. Splotłyśmy z Matyldą ręce, posadziłyśmy słaniającą się koleżankę i ile sił w nogach, pognałyśmy do gabinetu lekarskiego.

Reakcja pani higienistki była natychmiastowa. Najpierw opatrzyła ranę, potem kazała nam położyć Anielę na kozetce, na brzuchu z twarzą zwróconą w bok, sama w tym czasie wezwała pogotowie ratunkowe i poinformowała o wypadku Babcie. Z jej słów wynikało, że podejrzewa wstrząśnienie mózgu, a może nawet coś poważniejszego.

Babcia wpadła do gabinetu minutę później. Na widok leżącej Anielki załamała ręce.

- Mój Boże, co się stało?

Wymieniłyśmy z Matyldą porozumiewawcze spojrzenia. Obowiązywała zasada, że nauczycieli bez potrzeby nie wtajemnicza się w klasowe sprawy. Ponadto nie byłam pewna, komu prawda bardziej zaszkodzi, Markowi, który zaczął bójkę, czy Tomkowi, który pchnął Marka? Logika dorosłych bywa często dość pokrętna. No i istniała jeszcze ta groźba ksywy kabel. Matylda pewnie też miała podobne wątpliwości, bo bez wchodzenia w szczegóły wyjaśniła wymijająco:

- Upadła i uderzyła głową w kant ławki.

W tym momencie do gabinetu weszła ekipa ratunkowa. Młody lekarz, słuchając wyjaśnień higienistki, natychmiast przystąpił do badania Anielki. Zmierzył ciśnienie, puls, uniósł powieki i przez stetoskop posłuchał akcji serca.

- Czujesz zawroty głowy? - Tak.

- Konieczna jest hospitalizacja - mówiąc, spoglądał to na higienistkę, to na Babcie, jakby nie wiedział, z którą ma rozmawiać.

- Jestem wychowawczynią uczennicy co mam powiedzieć rodzicom? Czy to coś poważnego?

- Uraz czaszkowo-mózgowy. O jego rozległości będzie można coś orzec dopiero po szczegółowych badaniach.

Sanitariusze, którzy już czekali w pogotowiu, sprawnie rozłożyli nosze. W gabinecie zrobiło się ciasno, więc Babcia kazała nam wracać na lekcje. Wyszłyśmy, lecz zamiast wrócić do klasy stałyśmy na schodach i znad poręczy obserwowałyśmy korytarz. Uraz czaszkowo-mózgowy brzmiało poważniej niż wstrząśnienie mózgu, a poza tym i reakcja pani higienistki, i lekarza, nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Wypadek był poważny.

Chwilę później wyszli sanitariusze z Anielą na noszach, za nimi podążał lekarz i Babcia. Niewiadomo skąd pojawił się nagle woźny, aby przejąć rolę przewodnika.

- Proszę, proszę, panowie, tędy... - Wskazywał, chociaż korytarz był pusty wejście widoczne na wprost, a droga już raz pokonana.

Usłyszałyśmy jeszcze głuchy odgłos zatraskiwanych drzwi karetki i jękliwy głos syreny, który złał się z ostrym dzwonkiem obwieszczającym akurat przerwę.

Wiadomość o ciężkim stanie Anieli dołała oliwy do ognia. Zdecydowana większość klasy uważała, że dymki za szkołą i tak dość długo uchodziły Markowi i Kamilowi płazem, zatem było tylko kwestią czasu, kiedy wpadną. Jednym słowem: nikt ich nie zakapował, mieli zwykłego pecha, toteż pretensje do kogokolwiek są po prostu chamstwem. Marek odszczekiwał się, że to guzik prawda, bo dyro wypadł z budy i jak po sznurku pobiegł prosto do ich kryjówek.

- Nikt inny, tylko ten gnojek doniósł. - Kamil wskazał na Tomka.

- Tylko nie gnojek, tylko nie gnojek.

Słowne przepychani nabierały na sile, lecz żadna ze stron przynajmniej na razie, nie chciała wziąć na siebie winy za uszkodzenie Anieli. To rozgrywało się na forum ogólnym tymczasem w mojej ławce czekał mnie bardziej osobista awantura.

- Jak ci poszło z chemii? - spytałam Iżę, chociaż jej mina zdradzała, że nietęgo.

- Nie spodziewałam się po tobie takiego świństwa! - krzyknęła, schowała głowę w zgiętym łokciu i wybuchła płaczem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi?

- Nie rozumiesz? Niebywałe! Wrobiłaś mnie z premedytacją!

-Co?

- Specjalnie poszłaś z Anielą do higienistki. Wiedziałaś, że będzie kartkówka i to z prawa Boyle'a-Mariotte'a, którego w ząb nie kumam.

- Przecież Barszczyk sam mi kazał. Nie zgłosiłam się na ochotnika.

- Jasne, mam uszy i słyszałam, ale mogłaś powiedzieć, że mdlejesz na widok krwi lub coś w tym rodzaju.

Jasne, mogłam, gdybym miała refleks.

- Przepraszam, prawo Boyle-Mariotte'a jest wyjątkowo proste. Przerobimy go razem, zgłosisz się na następnej lekcji, poprawisz pałę i będzie po problemie.

- Ty jak już coś wymyślisz, to nie wiadomo czy śmiać się, czy płakać! - podniosła

głos. - W życiu nie zatrybię, o co w tym wszystkim chodzi: gaz jest gazem bez

Kełvina i Celsjusza, bez tych głupich zer względnych, średnich i bezwzględnych,

bez żadnych proporcji i durnowatych ułamków. Tysiąc lat temu, milion lat temu, sto

milionów lat temu nikt słyszał o zerze bezwzględnym i co, udusił się z tego powodu?

Ogólne sralis mazgalis. - Ze złością rzuciła Chemią o podłogę.

Znow obraziłam Izę, a tym samym postanowienie żeby przedstawić jej Witka, spełzło

na niczym. U Izy zfy nastrój wzmaga krytycyzm. Nie był to jeszcze koniec moich

kłopotów Na następnej przerwie Babcia wzięła mnie na spytki. Rozumiem/był

poważny wypadek, formalności wymagają wyjaśnienia sprawy ale dlaczego wybrała

akurat mnie?

Tak ogólnie jestem gotowa na wielkie wyzwania, jednak gdy przyjdzie co do czego,

tchórzę, kluczę i przeżywam psychiczne katusze, że trafiło akurat na mnie. Jakby

tego było mało, po pierwsze, wciąż nie rozstrzygnęłam dylematu, komu pomoże, a

komu zaszkodzi prawda; po drugie, nie miałam zielonego pojęcia, jak udzielić Babci

sensownych odpowiedzi bez łamania zasady, że klasowe problemy rozwiązuje się we

własnym gronie. Klasa każdą interwencję z zewnątrz odbierała w kategorii, jeśli już

nie porażki, to taktycznego błędu. Byliśmy z nauczycielami po dwóch stronach

barykady, która istniała tylko w naszych głowach, jednak istniała.

Poszłam w asekuranctwo. Potwierdziłam, że bójkę zaczął Marek, lecz nie

odpowiedziałam jasno na pytanie, czy Anieli się potknęła, czy ktoś ją specjalnie

pchnął, czy niechcący potrącił, czy może zemdląła lub coś innego. W następnej kolej

ności zeznawała Matyllda, potem Wyszka i tak po kolei cała klasa. Efekty śledztwa

Babci wypadły odwrotnie proporcjonalnie do liczby świadków.

* * *

Tymczasem klasowe życie biegło swoim torem. Następnego dnia Matyllda zarządziła

zbiórkę na kwiaty dla Anieli. Dobrowolną, jednakże każdy poczuł się zobowiązany

dać złotówkę. Niestety, nikt, poza Tomkiem, nie kwapił się do wizyty w szpitalu. W

tej sytuacji do towarzystwa Tomkowi Matyllda wyznaczyła Wyszkę, Izę i mnie.

Nie mieliśmy szczęścia. Anieli akurat spała po zażyciu sporej dawki środków

przeciwbólowych. Zostawiliśmy jej na szafce przy łóżku kwiaty i postanowiliśmy

odwiedzić jeszcze w innym terminie. Dwa dni później poszła Matyllda, Bartek i

oczywiście Tomek.

%ajd z burakiem

Obciach i ženada, a nic nie wróżyło nieszczęścia. Wiosna przyszła wcześniej, w

marcu drzewa zaczęły puszczać pąki, w kwietniu było już zielono, kwitły sady i

ogródki, pachniało bzem i jaśminem jednym słowem po zimowej szarzyźnie świat nabierał rajskiego uroku. Na początku maja wypadł długi weekend, więc koło PTTK, zorganizowało tradycyjny wiosenny rajd górski. W tym roku padło na Bieszczady Lubię wędrówki po górach i to z kilku powodów. Po pierwsze w górach panuje swoisty wersal, turyści są nawzajem sobie życzliwi, zawsze pozdrawiają się na szlakach, spieszą z pomocą w razie potrzeby lecz co najważniejsze, nigdzie indziej tak intensywnie nie spala się kalorii. Stosunek Izy do gór jest mało entuzjastyczny, jednakże najczęściej dawała się skusić na wyjazd. Teraz, po wpadce na chemii, postanowiła odplacić mi pięknym za nadobne: ja pozbawiłam ją pomocy na klasówce, za karę ona pozbawi mnie swojego towarzystwa na rajdzie.

- Lepszy efekt uzyskam na pływalni albo na siłowni -stwierdziła kategorycznie. Wiedziałam, im usilniej sze będą moje prośby, tym bardziej zdecydowana będzie jej odmowa. Trudno. Próbowала znaleźć kogoś innego, jednak nie było to proste. Z najbliższych koleżanek jechała Wyszka, jednakże z Arkiem Dobo szem, z którym od miesiąca stanowili parę. Było więc oczywiste, że pewnie woleliby uniknąć stałej asysty trzeciej osoby Próbowалам wyciągnąć z domu Malwinę, bezskutecznie. Wybierała się na jakiś zjazd scjentologów, który stał najwyżej w hierarchii ważności. Jednym słowem kicha. Szkolnym kołem PTTK opiekuj e się matematyczka, pani Grażyna Nowak; ma przy tym uprawnienia przewodnika, dlatego zawsze organizuje i prowadzi wszelkie wycieczki. Jej prawą ręką jest oczywiście, mocno zaangażowany w działalność koła, Tomek.

Chociaż informację o rajdzie powieszono na tablicy ogłoszeń miesiąc przed terminem, chętnych zebrało się ledwie dwanaście osób. Jakby tego było mało, tydzień przed wyjazdem pani Nowak złamała nogę. Dyrekcja natychmiast załatwiła jakiegoś zastępcę, lecz na razie nikogo nie obchodziło jakiego. Tymczasem Tomek szalał:

- Do jasnej nieprzemakalnej, wpisujcie się na listę. Szkoła zafundowała nam autobus i nie wypada, żeby jechał pusty - apelował do kogo tylko mógł, niestety bez efektów. W końcu poszerzył ofertę. - Jeśli ktoś chce zabrać ze sobą brata, siostrę, rodziców, narzeczoną, narzeczonego, koleżankę, kolegę, a nawet babcię lub dziadka, nie ma sprawy Zachęcam. Promocja jest aktualna do trzydziestego kwietnia.

Wtedy wpadłam na pomysł, aby zaproponować udział w raj dzie Witkowi. Oprócz faktu, że będę miała towarzystwo, liczyłam na dodatkową korzyść. Dotychczas widziałam go raptem trzy razy i za każdym razem tylko spacerowaliśmy po parku. „Cztery dni spędzone wspólnie będą najlepszym testem - myślałam przekonana o własnej mądrości. - Gdy wypadnie pozytywnie, zacznę chodzić z nim do Pstryczka bez obawy, że facet narazi mnie na jakiś obciach”.

Żeby umówić się z Witkiem, zatelefonowałam do jednostki wojskowej, jednak żołnierze byli akurat na ćwiczeniach. Tego nie przewidziałam.

- Czy można zostawić wiadomość? - spytałam oficera dyżurnego.

- Czy to coś bardzo pilnego?

Mam na tyle rozsądku, by wiedzieć, że moją silną potrzebę towarzystwa siły zbrojne żadnego państwa na świecie nie uznałyby za sprawę pilną. Odpadały też względy rodzinne, bo rajd nie ma rangi ślubu, ani tym bardziej pogrzebu bliskiej osoby

- Bardzo pilne, ale muszę z nim porozmawiać osobiście -zablefowałam.
- Pani jest miejscowa? -Tak.
- Proszę przyjść o osiemnastej do dyżurki przy bramie głównej. Żołnierze przechodzą wtedy obok na kolację, będzie pani mogła chwilę z nim porozmawiać.
- Dziękuję panu.

No i poszłam, porozmawiałam, i Witek się zgodził. Tymczasem zastępca pani Nowak, jak to było w zwyczaju przed każdą wycieczką, zwołał po południu zebranie. W oczekiwaniu na jakieś tam gadki-szmatki nieznanego nudziarza, cała nasza skromna gromadka zebrała się w bibliotece. Lecz kiedy w towarzystwie Tomka wszedł nasz nowy przewodnik, dziewczęta oniemiały z zachwytu, a chłopaki z zazdrości. Był to wysoki, przystojny blondyn o zdecydowanie zarysowanych ciemnych brwiach, regularnych rysach i sympatycznym uśmiechu.

- Nazywam się Michał Martyniec, jestem przewodnikiem górskim i GOPR-owcem w jednym. Na najbliższym rajdzie zastąpię panią Nowak, mam nadzieję, że z dobrym skutkiem...

Omówił trasę, potem przypomniał o obowiązującym ekwipunku, pouczył, jak zachowywać się w górach, jak po-

9 GOPR - Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. stępować w przypadku zaginięcia i jak udzielać pierwszej pomocy. Po zebraniu niespodziewanie podszedł do mnie.

- Karla Malska, prawda? -Tak.

- Czy twoja mama wykłada na uniwerku angielski? -Tak.

- Obląłem u niej. Ale nie bój się, nie zgubię cię z tego powodu w górach.

Z bliska zauważyłam, że ma zielone oczy, a dokładniej ciemnozielone z piwnymi obwódkami wokół źrenicy. Powinnam coś, najlepiej błyskotliwego, odpowiedzieć, lecz mnie po prostu zatkało i jeszcze do tego spiekłam raka. Głupia gęś.

Informacja o przystojnym przewodniku lotem błyskawicy rozniosła się wśród dziewcząt po szkole i niespodziewanie ochoty na wyjazd nabrała Iza, a jak Iza, to i Maciek. Ostatecznie grupa urosła do dwudziestu osób i w większości stanowiły ją pary z naszej klasy: Iza z Maćkiem, Wyszka z Arkiem, Janek Wolski z siostrą Anią, Bartek Bugajski z Kasią, Mariusz Ostrowski z Agnieszką, Emil Dębski z bliźniaczkami - Hanną i Zuzanną, ja z Witkiem, no i rzecz jasna Tomek z Kingą. Rokowania były spoko, jednak w miarę upływu czasu, ni z gruszki, ni z pietruszki, zaczęła mnie prześladować natrętna myśl, że przeżyję powtórkę sylwestra: Witek zrezygnuje, cofną mu przepustkę, akurat pozna inną, ładniejszą dziewczynę, albo cokolwiek.

Na miejscu zbiórki byłam pół godziny przed czasem i wszystko wskazywało na to, że przecucia się sprawdzą. Witka nie było. Na szczęście zataiłam przed Izą i Wyszką fakt, że jadę z chłopakiem. Byłby to następny, który puścił mnie w trąbę.

O szóstej zamknięto luki bagażowe, zatrzaśnięto drzwi, zaj ęliśmy miej sca i autobus ruszył. Wtedy drogę zaj echała nam taksówka, a z niej wyskoczył Witek.

Odetchnęłam z ulgą.

171

Na miejsce dotarliśmy po wesołej, pełnej wygłupów podróży Dochodziła dopiero trzynasta. Przed wyruszeniem na szlak wrzuciliśmy coś na ruszt, to znaczy każdy

zjadł przygotowane jeszcze w domu kanapki i popił herbatą z termosu. Ja nie jadłam. Poprzedniego dnia ze względów, powiedzmy taktycznych odpuściłam sobie środki przeczyszczające, więc każdy kęs przełożyłby się na sadło, a tego nie chciałam.

- To twój nowy facet? - Iza wykorzystała pierwszą stosowną okazję, by zadać pytanie.

- Na razie mnie podrywa - odpowiedziałam asekuracyjnie.

- Skąd go znasz?

- Z balu sylwestrowego.

- Wojak? -Tak.

- Ma jakieś dystynkcje?

- Nie wiem - skłamałam.

- Sprawdź, bo jeśli jest szeregowcem, daj sobie z nim spokój. Nie warto - poradziła i zmieniła temat.

Zapowiadało się super. Plecaki, śpiwory i inne kłamoty autobus powiózł szosą do jakiegoś Nasicznego, gdzie przewidziany był nocleg, my obciążeni jedynie chlebakami lub małymi plecaczkami z suchym prowiantem, telefonami komórkowymi i aparatami fotograficznymi ruszyliśmy na szlak. Apteczkę niósł Tomek i do niego należało się zgłaszać w razie potrzeby

Było cudownie. Szliśmy wzdłuż bajecznie malowniczej północnej granicy Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Witek trzymał się blisko mnie i sprawiał wrażenie, jakby poza moją osobą nic więcej go nie interesowało. Raz po raz posyłał mi wymowne spojrzenia, przy każdej sposobności szeptał do ucha komplementy i ujawniał zespół niespokojnych rąk -wsadzał rękę pod bluzkę lub za pasek spodni, gdy go odpychałam, próbował całować w szyję.

Chociaż komplementy były głupie, żeby nie powiedzieć prymitywne, publiczne karesy krępujące, z racji braku doświadczenia w kontaktach z chłopcami, byłam wniebowzięta jak jakaś głupia gęś. Zresztą, inne pary też poświęcały sobie nawzajem więcej uwagi niż reszcie towarzystwa. Wyjątek stanowiła oczywiście Iza, którą interesowało wszystko poza Maćkiem. A to pytała o wysokość szczytu, a to o historię świątka, a to o nazwę roślinki czy zuczka. Przewodnik odpowiadał chętnie, za co spod firanek rzęs dostawał w podziękowaniu pełne zachwyty spojrzenie okraszone czarującym uśmiechem z dołeczkami. Tylko Maciek wyglądał jak gradowa chmura. Pokonując niewysokie grzbiety, przełęczą zesliśmy starą nieużywaną drogą w szeroką dolinę utworzoną wzdłuż bystrego potoku. Wokół rozciągała się zapierająca dech w piersiach panorama gór.

- Ten srebrzący się w słońcu szczyt od południa to Połonina Wetlińska, na północy Magura Stuposiańska... - objął przewodnik, a my staliśmy zachwyceni, podziwiając cuda natury, które istniały sobie tutaj w spokoju i ciszy poza świadomością setek tysięcy ludzi żyjących w przeludnionych, dusznych miastach. No, może z tym spokojem i ciszą przesadziłam, bo wszystko wokół szumiało, śpiewało, ćwierkało, cirlikało, dzindziliło, cykało, pobzykiwało, buczało, jakby do tej doliny przyleciały koncertować wszystkie muzycznie uzdolnione stworzonka świata i jakimś nieodgadnionym cudem swoją muzykę dostroiły do stanu mojej duszy. Na nocleg zatrzymaliśmy się w schronisku turystycznym oferującym spartańskie warunki - dwie zbiorowe sale, materace na podłogach, sanitariaty i łazienka na końcu

korytarza

i zimna woda. Jednak nikt nie kaprysił. Brak komfortu rekompensował trawiasty plac z kamiennym kręgiem na ognisko otoczony siedziskami z okrągłaków. Dziewczyny wzięły się za pichcenie kolacji, chłopcy w tym czasie ściągali z pobliskiego zagajnika suche drzewo na ognisko. Dla Witka była to okazja do popisów niedźwiedzią wręcz siłą. Pniak, którego Emil z Jankiem nie mogli ruszyć z miejsca, zarzucił sobie lekko na ramię, przeszedł z nim ze sto kroków i bez oznak wysiłku lekko wrzucił na stos; oparty o głaz konar, po którym Tomek skakał, próbując złamać, Witek przełamał na swoim kolanie jak zapałkę; a kiedy Zuzanna siadając na źle ustawionym krzeselku, wywinęła orła, podniósł ją razem z krzeselkiem i przeniósł dwa metry dalej, gdzie było równo. Przez cały ten czas spoglądał w moją stronę, sprawdzając, czy widzę i podziwiam. Jasne, że widziałam, nawet byłam dumna, że jest ktoś, kto chce zaimponować właśnie mnie.

Pierwszy zgrzyt nastąpił, gdy usiedliśmy już wokół ogniska. Witek wyjął butelkę wódki.

- No, to gołnijmy sobie po kielonku. - Z wprawą uderzył dłonią w denko.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli na Michała. Prawdę mówiąc, niekiedy na różnych imprezach piliśmy po kryjomu alkohol, najczęściej wino albo piwo. Ale żeby tak otwarcie, przy opiekunie? Co prawda niewiele starszym od nas, jednakże opiekun to opiekun.

- Stary, może przy innej okazji - powiedział z uśmiechem Michał.

- E tam, odrobinka nie zaszkodzi, a dziewczyny będą łatwiejsze.

Kilka osób parsknęło śmiechem.

- Schowaj to.

Witek mruknął coś niewyraźnie pod nosem, j ednak usłuchał. Zaniósł butelkę do schroniska, lecz gdy wrócił i usiadł

przy mnie, poczułam, że sam wypił. Najprawdopodobniej z gwinta.

Raz-dwa gafa Witka poszła w zapomnienie. Śpiewaliśmy Tomek grał na organkach, po chwili dosiadł się do nas z gitarą jakiś Daniel spoza naszej grupy potem jeszcze kilka osób z pobliskiego pola namiotowego. Jak zwykle Janek Wolski popisywał się pieprznymi przyśpiewkami. Po raz pierwszy komiczne Lato mija, a ja niczyja, albo Przewrót mnie w tej koniczynie nie odbierałam jako aluzji do siebie. Nie byłam już singlem, Witek siedział obok, obejmował mnie w pasie, jego ciepło przenikało moje ciało na wskroś aż do serca, było mi błogo, czułam nieznaną dotąd rozkosz wynikającą z bliskości mężczyzny a noc była jasna, gwieździsta, pachniało dziką różą i sianem, granatowe grzbiety gór odcinała od nieba srebrzystoszara poświata, jakby ostre granie promieniowały swoim własnym światłem. Wszystko dookoła emanując pięknem, zdawało się sprzyjać mojemu szczęściu.

Spać poszliśmy koło północy W naszym gronie nie przestrzegaliśmy zasady: „panie po prawej, panowie po lewej”. I tak pod jedną ścianą Emil leżał między bliźniaczkami, dalej Wyszka, Artek i Tomek z Kingą. Pod drugą ścianą: Maciek, Iza, Michał, Janek, a na końcu Witek i ja.

Witek uaktywnił się tuż po zgaszeniu światła. Rozsunął zamek mojego śpiwora.

- Musisz mi teraz dać dowód miłości - wysapał i zaczął miętosić mój biust.

Zanim z całą jasnością dotarły do mojego rozumu jego zamiary wcześniej

zaalarmowały instynkt obronny Zaczęłam go odpychać, lecz wzmogłam tym tylko jego natarczywość

- Uspokój się. - Ależ obciach! Wszyscy musieli nas słyszeć.

- Jesteś moją dziewczyną czy nie? Udowodnij, że mnie naprawdę kochasz - powtórzył swój głupi argument i zaczął ściągać spodnie od dresu, które służyły mi za piżamę.

175

- Przestań, bo będę krzyczeć - zagroziłam.

Witek w odpowiedzi jedną ręką, wielką jak bochen chleba, zatkał mi usta, drugą zadarł bluzę aż pod szyję, równocześnie wcisnął swoją nogę pomiędzy moje zaciśnięte kolana i gwałtownym ruchem zgarnął pod siebie, przygważdżając do ziemi ciężarem, od którego straciłam dech. Rany, oto byłam zniewalana przez jakąś nieznaną dotąd dziką, bezrozum-ną, ślepa, głuchą i nieczułą siłę.

Nigdy nie widziałam napalonego mężczyzny z bliska. Teraz zobaczyłam. Poświata padająca przez okno ukazywała twarz Witka napiętą i czerwoną, i wilcze zęby odsłonięte przez usta wykrzywione w jakimś prymitywnie egoistycznym grymasie. Sapał przy tym charkliwie, a jego oddech śmierdział przetrawionym alkoholem. Byłam przerażona. Zaczęłam okładać go pięściami po plecach, gdy to nie dało rezultatu, wbiłam paznokcie w jego kark. W odpowiedzi zacisnął dłonie na moim gardle.

- No dość wygłupów. Bądź grzeczna, bo pożałujesz - wycedził.

Walka pozbawiła mnie sił, a brak tlenu odbierał świadomość. Wtem rozblęsnęło światło. Nad nami stał Michał, reszta podnosiła się ze swoich karimat.

- Słuchaj, stary dziewczyna nie ma ochoty na karesy Odpuść sobie.

- Spadaj! To moja dziewczyna!

- Uproszczenie toporne, a argument kiepski. Zostaw ją w spokoju. - Złapał Witka za bary i wyciągnął na środek sali.

- Co jest? Co się, gnojku, wtrącasz w nie swoje sprawy?! -Witek nie zamierzał ustępować.

- Słuchaj, gościu, zachowujesz się, jakbyś jeszcze wczoraj siedział z goryłami na jednej gałęzi - zakpił Emil i stanął przy Michale, jakby chciał go wzmocnić swoją obecnością.

- Karla, gdzie upolowałaś tego dupka. Byłaś na safari, czy co? - Do Michała i Emila dołączył Tomek. Wstawali już inni chłopcy a ich miny nie budziły wątpliwości, że są gotowi spuścić Witkowi lanie.

Do traumy doszedł piekący wstyd. Nie mogłam zapanować nad drżeniem całego ciała i łzami napływającymi do oczu. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

- Zostaw tego buraka, chodź połóż się obok mnie - powiedziała Iza, wzięła mój śpiwór i rozłożyła między śpiworem Maćka i swoim.

Tymczasem Witek wstał z podłogi i z wściekłością toczył wzrokiem po otaczających go osobach, jakby rozważał, czy wszcząć bójkę, czy dać sobie spokój. Z Jankiem, Emilem i Artkiem poradziłby sobie jedną ręką, lecz postawa wysokiego Michała, stojącego obok bojowo nastawionego Tomka oraz dobrze umięśnionego Maćka nie wróżyła łatwego zwycięstwa.

- Odpuść sobie, stary, to nie ta klasa, nie ten styl - powiedział pojednawczo Michał,

przerywając te przydługie zapasy wzrokowe.

- Nie cierpię, gdy ktoś wchodzi mi w paradę - wysyczał przez zęby Witek.

- A my nie cierpimy takich buraków w swoim towarzystwie! - zawołała Iza z naszego kąta.

-Stulpysk, bo...

- Bo co? Jesteś babskim bokserem?

- Słuchaj, napalony ogierze, przekroczyłeś wszelkie granice... - wszedł Izie w słowo Maciek.

- Mam w dupie wasze granice!

- Spadaj, bo zaraz cię wykopię.

Kipiący złością Witek zgarnął swój śpiwór i wyszedł, trzaskając drzwiami z taką siłą, że aż pękła ościeżnica.

- A teraz wszyscy szybko śpią. Pobudka o siódmej - Michał powiedział to tonem, jakby nic się nie stało i zgasił światło.

Miotana wewnętrzną udręką i pogrążona w straszliwej rozpacz, leżałam przytulona do obejmującej mnie Izy, a pod zamknięte powieki nieustannie powracały sceny niedawnej walki z facetem, którym miał być lekarstwem na Rafała. Oddawałam się romantycznym uniesieniom, porywom wzruszeń, marzeniom na jawie, aż na wpeł oślepiła od nedorzecznych rojeń przez różowe okulary dojrzałam Adonisa w prymitywnym prostaku, chamie, bezwstydniku, buhaju knurze, gorylu... Byłam głupią, sentymentalną kretynką.

„Dlaczego akurat mnie przytrafiła się ta historia? - zadawałam sobie w kółko pytanie, chociaż dobrze znałam odpowiedź. - Bo jestem grubą paskudą i byle gnida w portkach uważa, że zrobi mi przysługę, jeżeli mnie przeleci”.

Ledwie nad ranem zasnąłam, przewodnik wszczął pobudkę. Wstałam z ciężką głową i zapuchniętymi od łez powiekami. W czasie porannej krzątaniny taktownie spuszczone zasłonę milczenia na nocny incydent, lecz ja pamiętałam i wszystko we mnie krzyczało.

Wtem moje serce jak smagnięte batem ruszyło opętańczym galopem - ujrzałam Witka najspokojniej na świecie wychodzącego zza budynku. Nikt nie zareagował, jakby nocna agresja wygasła i ten cham znów był zwykłym uczestnikiem rajdu.

Siedziałam akurat na pieńku przy zgliszczach wczorajszego ogniska z menażką makaronu, którego nie zamierzałam jeść. Czekałam na okazję, żeby wykorzystać nieuwagę Izy i wyrzucić tę kaloryczną bombę w krzaki. Witek usiadł obok w taki sposób, żeby swoimi szerokimi plecami oddzielić mnie od reszty towarzystwa.

- No co, Karla, po kiego grzyba były te nocne historie? Powiedz, odbiło ci?

- Odczep się.

- Pokazałaś, że nie jesteś zbyt łatwa i wystarczy. Teraz będziesz grzeczną i chętną dziewczynką, prawda?

- Odczep się!

- W takim razie powiedz przynajmniej, jak długo masz zamiar udawać cnotliwą panienkę?

- Odczep się. Z nami koniec. Nie chcę cię więcej znać.

- Tak? Więc po co, pieprzona laluniu, przylazłaś za mną do jednostki, co? Żeby mi zmarnować przepustkę? Czy myślisz, że w nieskończoność będę marnotrawił wolny

czas na spacerki, podziwianie kwiatków, ptaszków i zachodów słońca?

Taka dawka upokorzenia była ponad moje siły. Kipiałam oburzeniem i zionęłam nienawiścią. Ten gnojek nie dość, że wystawił na pośmiewisko moją ufność w szczerłość jego intencji, to jeszcze próbował wmówić hipokryzję i udowodnić jakieś seksistowskie gierki. Przenikały mnie na przemian fale zimna i gorąca. Zerwałam się z miejsca, zrzucając na ziemię menażkę z makaronem i zaczęłam biec przed siebie, aby uciec od Witka, jego cynicznych słów oraz dwudziestu świadków swojej porażki na polu damsko-męskich kontaktów. Ale jak ktoś ma pecha, to mu w drewnianym kościele cegła na łeb spadnie. Po kilkunastu krokach wpadłam na Michała, który akurat szedł zarządzić wymarsz w dalszą trasę.

- Znow jakież problemy? - spytał, przytrzymując mnie za ramiona. Byłam tak wzburzona, że nie mogłam wykrztusić z siebie słowa. - Chłopie, odpuść sobie. Dziewczyna mówi nie, więc przyjmij odmowę do wiadomości - rzucił w kierunku Witka.

-Chromolewas!

To były jego ostatnie słowa. Zrzucił plecak na ramię i ruszył w kierunku przystanku autobusowego.

- Zbieramy się. Dzisiaj pójdziemy szlakiem... - z ust Michała padały nazwy szczytów, przełęczy dolin, wiosek, jednak w mojej głowie panował taki zamęt, że niczego nie zapamiętałam.

Wraz z innymi ruszyłam w trasę. Otaczały nas zachwycające krajobrazy ale ja ich nie widziałam, lasy i połoniny rozbrzmiewały muzyką owadów, ptaków, wiatru w koronach drzew, ale ja jej nie słyszałam. Oprócz zawodu czułam niesmak stokroć gorszy od wściekłości, którą można rozładować na sto sposobów, bo tego niesmaku nie dało się ani czym przegryźć, ani przepić, ani jak wypłukać.

Pełna gniewu, upokorzenia oraz wściekłych myśli szłam osowiała pomiędzy Maćkiem i Izą, i jak nigdy dotąd w życiu, chciałam wreszcie być w swoim pokoju. Na jednym z postoi podszedł do mnie Michał.

- Nie przejmuj się, dziewczyno. Złe Mzimu od czasu do czasu każdemu płata figla.

- Byłabym szczęśliwa, gdybym winę mogła zrzucić na jakiegoś ... Mzimu. -

Uśmiechnęłam się, chociaż bliżej mi było do płaczu.

- Patrz na to z pozycji Giewontu - powiedział cicho. - Zły wybór każdy, chociaż raz w życiu, zalicza. Błędy pozwalają zdobyć doświadczenie życiowe. Głowa do góry. Mama często mawia, że człowiek genialny uczy się na cudzych błędach, człowiek inteligentny na własnych, a durnia nic nie nauczy. Nie było sensu dociekać, jak według tej maksymy zakwalifikować siebie - dostałam nauczkę, jednakże wątpiłam, czy w przyszłości ta nauczka na coś się zda. Nie gustują we mnie porządni chłopcy i już. A na wspomnienie tego rajdu będę spiekać raka aż do grobowej deski.

Do domu wróciłam cała w siniakach. Mamie powiedziałam, że upadłam na kamienie. Na szczęście uwierzyła, inaczej z pewnością zaprowadziłaby mnie do lekarza na obdukcję, a Witka zaciągnęłaby do prokuratora.

Wielka chandra

- Karla, musimy porozmawiać - powiedział Kacperek, gdy tylko weszłam do hali sportowej. Kazał mi iść na zaplecze, gdzie miał swoją pakamerę.

- Słucham?

- Karla, co się dzieje?
- Nie rozumiem, panie profesorze, o co chodzi.
- Obserwuję u ciebie stały spadek formy. Brakuje ci kondycji, zawodzi refleks.
- Niemożliwe, daję z siebie wszystko. Naprawdę.
- Nie twierdzę, że się nie starasz. Być może jest to skutek choroby której jeszcze sobie nie uświadamiasz. Uważam, że powinnaś pójść do lekarza. Na razie wycofuję cię z reprezentacji szkoły Nie zagrasz w najbliższym meczu. Wrócisz do rozgrywek, kiedy już dojdiesz do siebie.

Kacperek mówił łagodnym tonem, chwilami nawet z nutą przykrości. Słuchałam z niedowierzaniem. Bez względu na intencje, po prostu wypychał mnie z jedynej dziedziny w której odnosiłam sukcesy Przecież poza koszykówką nie miałam niczego naprawdę satysfakcjonującego.

Po tej rozmowie nastąpił okres totalnej apatii. Siedziałabym najchętniej bez ruchu i tylko siła woli sprawiała, że jednak chodziłam, rozmawiałam, wykonywałam codzienne czynności, jak jakieś zombie. Na dodatek któregoś dnia w ostrym świetle lampy zauważyłam na twarzy dziwny meszek. Zaczynał się koło uszu i księżycowato schodził ku brodzie. Na razie był delikatny lecz gdyby stwardniał, wyglądałby na męski zarost. Znalazłam krem depilacyjny mamy, nałożyłam na twarz i po dwóch minutach usunęłam włoski bez śladu. Ta prosta czynność tak mnie zmęczyła, że chociaż dochodziła dopiero siedemnasta i gdzieś z tyłu głowy dobijała się myśl, że dziś moja kolej odkurzania, każda, najmniejsza nawet

181

komórka protestowała we mnie przeciwko jakiegokolwiek formie aktywności. Do tego jeszcze przez mokre szyby do pokoju natarczywie zaglądał obrzydliwie mglisty szary i ponury dzień, jakby chciał mnie wchłonąć i pochłonąć. Postanowiłam odpocząć. Położyłam się na wersalce, zwinęłam w obwarzanek i szczelnie otuliłam kocem. Poczulałam błogość i senność, jaką musi czuć pisklę w skorupce - chociaż kruchej, to wystarczającej, by stworzyć w miniaturze świat, w którym wystarczy tylko być i niczego się nie musi. Nie na długo.

- Karla, Karla. - Mama potrząsała moim ramieniem. Otworzyłam oczy

- Dlaczego mnie budzisz?
- Dochodzi północ.
- Północ? Niemożliwe. A jeśli nawet... to najlepsza pora na sen.
- Rozbierz się. Nie jadłaś kolacji.
- Zjem, gdy zgłodnieję. Zaraz się rozbiore.
- Jutro przed szóstą wyjeżdżam służbowo. Gdy wrócę, będziemy musiały pilnie porozmawiać.

Mama wyszła, a ja wróciłam pod ciepły wymoszczony koc, koc bliski jak druga skóra. Żadna siła nie była w stanie mnie ruszyć.

Nazajutrz obudziłam się koło ósmej. Pośpiech nie miał sensu, i tak byłam spóźniona. Pod prysznicem z bardzo dobrym skutkiem przekonałam sama siebie do pomysłu, żeby odpuścić sobie szkołę. „Jeden dzień to pestka, bez problemu odrobnię zaległości” - tym stwierdzeniem rozwiązałam śladowe wątpliwości, które zaczynały kiełkować w mojej głowie i wróciłam do łóżka.

Koc wciąż jeszcze trzymał ciepło i resztki snu. Owinęłam się jak jedwabnik kokonem

i wtedy spłynęła na mnie myśl niczym prawda objawiona - nic nie ma sensu. Nic, nic, nic.

Otacza mnie nuda i szara pospolitość. Fakt, czynię pewne zabiegi o lepszą przyszłość, ale ta, jak horyzont, wciąż ucieka, i bardziej niż panią swojego losu przypominam... konia w kieracie. Chodzę w kółko dzień za dniem, tryby kieratu coś tam miały, lecz tak jak z punktu widzenia konia też bez sensu; jest tylko bat. Bez bata koń pewnie by się położył, albo pobiegł na łąkę na trawę świeżą i zieloną. A co jest moim batem? Co mnie gna przez życie pozbawione radości, wyprane zmiłości? Boże! Bat to ja mam w głowie i sama się nim smagam raz po raz. Koniec z bezsenssem. Koniec.

Spojrzałam w okno, padał deszcz, a wiatr łkał, jęczał, zawodził. .. - prawdziwa symfonia żalu i rozpacz. Znów zasnęłam, a właściwie wpadłam w coś w rodzaju półsnu, kiedy śpiąc, nie traci się kontaktu z j awą. Moje oczy spały, lecz uszy słyszały szum deszczu, poszczekiwanie Miki w ogrodzie i mruczenie Filipa zwiniętego obok na poduszce. Słyszałam zgrzyt klucza wkładanego do zamka, potem kroki na schodach i wiedziałam, że to Liii wróciła z uczelni. Musiała wpuścić do domu Mikę, bo ucichło poszczekiwanie, umilkł również Filip i tylko deszcz bębnił o parapet coraz głośniejsze.

Było mi dobrze. Bardzo dobrze. Mogłabym tak sobie leżeć i słuchać deszczu do końca życia, ale znów w mój błogi pół-sen wdarła się mama. Nie słyszałam, kiedy weszła do domu.

- Karla, dzieje się coś? Jesteś chora?

Niechętnie otworzyłam oczy i przez długą chwilę zwlekałam z odpowiedzią.

- Wszystko w porządku. Po prostu przysnęłam na chwilę.

- Musimy porozmawiać. Wstań.

Odrzuciłam koc, owionęła mnie fala niemalże arktyczne-go zimna, więc znowu się przykryłam. Nie uszło to uwadze mamy.

- Zmierz sobie gorączkę. - Dotknęła ręką mojego czoła.

- Później.

Mama przysiadła na skraju wersalki.

- Obserwuję cię z coraz większym niepokojem. Jesteś osowiała, marniejesz w oczach... To nie jest normalny stan Uważam, że powinnam iść z tobą do lekarza, żeby cię gruntownie przebadał.

- Przesadzasz. Czuję się doskonale. Dzisiaj zasnęłam bo... bo pogoda jest taka pościelowa.

- Kiedy miałaś ostatni okres?

- Zapewniam cię, nie jestem w ciąży i na żadną ciążę się nie zanosi. - Niby nic, ale czułam, że czerwienieję. Prawdę mówiąc, ostatnimi czasy miałam jakieś zaburzenia na tym polu, jednak zlekceważyłam je. Nie wierzę w dzieworództwo.

- Okres zanika również przy zbyt dużym ubytku wagi.

- Bez obaw Wszystko jest okay

- Uważam inaczej. Zapiisałam cię na jutro na szesnastą na wizytę do doktora Halickiego.

- No nie! - Skoczyłam jak oparzona. - Chcesz mi wmówić chorobę? Nigdzie nie pójdę.

- Martwię się o ciebie, dlatego pójdziesz, chociażby po to, żeby mnie uspokoić. Daję ci słowo, jeżeli lekarz potwierdzi, że jesteś zdrowa, temat uznam za zamknięty. Cała mama z tymi swoimi podstępными argumentami. Wiedziałam, jeżeli odmówię, wyjedzie, że swoim egoistycznym postępowaniem przysparzam jej stresów, Liii nazwie mnie wrednym samolubem, popieprzoną histeryczką albo nawet behawioralnym psycholem. Liii, niby taka układna, jednakże repertuar docinków ma zasobny i urozmaicony jak nie wiem co.

Zgodziłam się pójść do tego lekarza i niespodziewanie mama odpuściła sobie. Nie kazała wstać, nie namawiała do jedzenia, nie próbowała nawet do niczego przekonywać. Po prostu zamknęła drzwi i wyszła.

Deszcz przestał padać, lecz nadal czułam senność. Zwinęłam się pod kocem. Chwilę później doznałam wrażenia czyjejs obecności. Musnęły mnie po twarzy skrzydła delikatne jak mgła, do pleców przywarło coś ciepłego, a na ramionach spoczęły czyjeś dłonie. Nie chciało mi się sprawdzać czyje. Pachniało jaśminem... trwałam w jakiejś medytacyjnej egzaltacji. Czyżbym miała urojenia?

Zanim zdołałam sobie odpowiedzieć, znów powrócił ów błogi półsen, kiedy to myśli snują się leniwie po głowie, czas zwalnia, bezruch ciała staje się źródłem niewypowiedzianej rozkoszy, a cisza emanuje nieziemską wręcz harmonią. „Czy ten piękny stan będzie trwał po śmierci?” - zadałam sobie pytanie, gdyż nagle życie przestało przedstawiać jakąkolwiek wartość i zapragnęłam śnić snem wiecznym. I wtedy zaczęło się.

Czysta i bezcielesna jak anioł żywiący się światłem oraz powietrzem wzleciałam sama nad sobą, i poszybowałam w górę. Z tyłu usłyszałam szum, a na tle rozgwieżdżonego nieba dojrzałam aksamitną czerń rozpiętych skrzydeł.

Szybowaliśmy coraz wyżej i wyżej, miasto w dole malało i malało, aż przyjęło postać roju skupionych świetlików. Byłam szczęśliwa, byłam lekka, nareszcie doznałam silnego poczucia sensu. Czułam, że oto za chwilę zjednoczę się z bezmiarem kosmosu, osiągnę doskonałość nieosiągalną na ziemi, zrozumieję absolut...

Wtem atmosferę tego rajskiego spokoju brutalnie zmaćcił wizg wwiercający się w mózg jak świder w skałę. Jęknęłam boleśnie i otworzyłam oczy. Ujrzałam nad sobą obcą twarz osobnika w bieli, lecz nie był to ani żaden mieszkaniec raj, ani nawet kosmita. Jechałam w karetce pogotowia na sygnale, a pochylał się nade mną lekarz. „Jezu, czy to nowy sen?”. Zamknęłam oczy, nadaremnie próbując przywołać wcześniejsze wrażenia.

185

- Karla, nie zasypiaj, tylko nie zasypiaj... - w życiu nie słyszałam bardziej wrednego głosu. Z niechęcią uniosłam powieki. Przez zmatowione szyby okna rozpoznałam, że jest

noc.

- Co się stało? - z mojego gardła wydobył się tylko szept.

- Wszystko będzie dobrze. Jedziesz do szpitala.

Kuracja

Ten wątek mojego życia wykreśliłabym ze wspomnień na zawsze. Jeszcze raz udowodniłam, że bez względu na intencje, zawsze wyjdę na idiotkę. Bo oto proszę, byłam senna, uciąłam sobie nieco dłuższą drzemkę, a wzięto ją za stan kliniczny na

tyle groźny, że wezwano pogotowie. Jakby nie było prostszych sposobów budzenia. No i potem, gdy leżałam już na szpitalnym łóżku, ta mama powtarzająca w kółko słowa lekarza z karetki, że będzie dobrze, i ta moja przemądrzała siostrzyczka zbywająca moje pytania ugłaskanymi frazesami, jakbym była niedorozwiniętym dzieckiem. Zawsze łaknęłam rozmów, ale na litość boską, nie takich. Moje problemy nie są pryszczami do przypudrowania.

Z jakiegoś idiotycznego powodu podłączono mi kroplówkę.

- Co to jest? - Kroplówkę daje się ciężko chorym.

- Glukoza, proteiny witaminy elektrolity i takie... różne środki wspomagające metabolizm - powiedziała wykrętnie pielęgniarka, lecz ja dobrze wiem, że glukoza to cukier prosty, proteiny to białka, a te środki wzmacniające to najprawdopodobniej jakieś tuczące dodatki. Zaprotestowałam ostro:

- Proszę mnie natychmiast od tego paskudztwa odłączyć!

- Nie mogę. Wykonuję zalecenie lekarza prowadzącego.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Doktor Linde jest teraz w izbie przyjęć.

186

- Jak długo jeszcze tam będzie?

- Trudno powiedzieć. Zależy od konsultowanego przypadku.

- Nie zamierzam czekać. Proszę natychmiast odłączyć kroplówkę, inaczej sama wyrwę igłę.

- Ma pani założony wenflon.

- Nie wyrażałam zgody na żadne klucie! Niczym! Zbierało mi się na płacz. Mało, że zrobili ze mnie chorą,

że dokarmiali wbrew woli, to jeszcze traktowali jak osobę ubezwłasnowolnioną.

- Zaraz kogoś poproszę, żeby panią uspokoił.

- Niech się pani nie troszczy o stan moich nerwów, tylko odłączy kroplówkę!

- Rozumiem - powiedziała i wyszła. Nawiasem mówiąc niezbyt spieszenie, a tymczasem z butelki skapywały do moich żył skoncentrowane kalorie. Rozmowa z mamą o zbędności kroplówki byłaby bezsensowna, gdyż z góry wiedziałam, iż dla niej w tej kwestii wyrocznią będzie facet w białym fartuchu, chociaż rzecz dotyczyła mojego ciała, mojego zdrowia, a lekarz popełniał ewidentny błąd w sztuce.

- Kochanie, musimy cię wzmocnić. - No proszę, mama bez zachęty weszła już w rolę szpitalnego adwokata.

- Czuję się dobrze. Ile razy mam powtarzać? Czu-ję się do-brze! - wyskandowałam.

- Karla, skończ z tą histerią - do akcji przystąpiła Liii.

- Odczep się, jędo jedna. Chcę lekarza! Lekarza! Lekarza!

- Kochanie, lekarz przyjdzie we właściwym czasie. - Mama znów przyoblekła twarz w łagodny uspokajający uśmiech. - To kroplówka wzmacniająca, musisz ją wziąć...

- Niczego nie muszę! - Chęć buntu, która mnie ogarnęła, była tak przemożna, że jednym szarpnięciem oderwałam plaster i wyrwałam wenflon, czy jak tam to coś zwą. Siknęła wąska strużka krwi, którą zatamowałam palcem. Mama krzyknęła, Liii wybiegła i po chwili wróciła z lekarzem. „No proszę, jednak znalazł dla mnie czas - pomyślałam złośliwie, lecz p0 chwili uświadomiłam

sobie, że dopiero po interwencji Liii. -No jasne, jej nikt nie odmawia. Dla niej nawet chirurg porzuciłby pacjenta przeciętego na pół piłą łańcuchową".

Jęknęłam w duszy Lekarz był wysoki, z lekką łysiną czołową, miał jakieś czterdzieści lat - modelowy typ krynicy medycznych mądrości, wzbudzający już od pierwszego wejrzenia zaufanie wszystkich kierujących się stereotypami.

- Linde, jestem lekarzem prowadzącym. Słucham? -Usiadł na skraju łóżka i ujął mnie za rękę w przegubie. Badał puls.

Postanowiłam walczyć o swoje.

- Nie chcę żadnych kroplówek, nic mnie nie boli, czuję się dobrze i chcę iść do domu.

- Brak bólu nie jest jedynym wyznacznikiem zdrowia pacjenta.

- A co? Przeświadczenie personelu szpitalnego? - w desperacji posunęłam się do aroganckiego tonu.

- Powiem bez ogródek. Cierpisz na anoreksję.

- Ja? Anoreksję? Nieprawda. Mam takie zapasy tkanki tłuszczowej, że przypominam pączek w maśle. Byłam senna, a powodem senności mogło być zmęczenie po treningu, spadek ciśnienia atmosferycznego, wilgotność powietrza, wiatr, burza magnetyczna, wzrost stężenia dwutlenku węgla w powietrzu...

- Jest to możliwe, jednakże do pączka w maśle ci daleko. Twoja niedowaga wynosi około dwudziestu pięciu procent. Niedobór trzydziestoprocentowy zagraża życiu. Już masz zaburzenia rytmu serca i grozi ci uszkodzenie organów wewnętrznych, jednak ten temat na razie pominiemy

Gdy doktor mówił, w oczach mamy pojawiły się łzy, poczułam wyrzuty sumienia, lecz na szczęście nie aż tak wielkie, żeby odstąpić od swojego życiowego celu.

Byłam prze-

cież zaledwie na początku drogi. Jeszcze szpeciły mnie walki sadła na brzuchu i biodrach, otłuszczone uda...

- Mamy dwa punkty widzenia na tę samą sprawę. Bywa. Ja uważam, że jestem za gruba, pan, że za chuda. Zatem prawda leży gdzieś pośrodku, czyli wszystko jest w porządku.

- Jesteś chora. Masz anoreksję, to poważna sprawa, piętnaście procent przypadków anoreksji kończy się śmiercią.

- Jestem odporna na statystykę. Nie wyrażam zgody na żadne leczenie, chcę do domu...

- Jesteś niepełnoletnia, dlatego ostatnie słowo należy do twojej matki.

- Musisz zostać przez kilka dni w szpitalu i nabrać sił. -Tak jak myślałam, mama bez skrupułów dołączyła do lekarskiego spisku.

Wybuchłam płaczem.

- Posłuchaj. - Lekarz znów ujął mnie za rękę. - W sytuacji zagrożenia życia hospitalizacja jest jedynym rozsądnym wyjściem i żaden odpowiedzialny rodzic nie podejmie innej decyzji. Inaczej grozi mu odpowiedzialność karna.

- Skończ wreszcie z tymi wygłupami - odezwała się milcząca dotąd Liii. - Pobędziesz tu kilka dni, odpocznesz i wrócisz do domu.

- Umówmy się, Karla - inicjatywę przejął lekarz. - Dziś jest wtorek, jeśli wyniki badań będą korzystne, już przed niedzielą dostaniesz wypis ze szpitala. Umowa stoi?

- A co się stanie, jeśli mimo wszystko odmówię? Lekarz popatrzył na mamę, mama

na lekarza, potem na

Liii, potem na mnie i znów na lekarza. Widziałam, że wprawiłam ich w zakłopotanie i to sprawiło mi złośliwą satysfakcję. Nie na długo, bo odpowiedź, gdybym stała, zwałiby mnie z nóg.

- W takim przypadku procedura przewiduje karmienie siłą - rzucił lekarz i szybko dodał: - Wiem jednak, że jesteś rozsądną dziewczyną i nie pozwolisz na taką sytuację.

Wyobraziłam sobie, jak wiązą mnie pasami, do ust wkładają blokadę uniemożliwiającą zaciśnięcie zębów, potem rurką włożoną przez gardło do żołądka wciskają strzykawką jakąś odżywczą papkę. Fuij. Przegrywałam. Postanowiłam taktycznie się poddać i znaleźć inny sposób, aby postawić na swoim. Byłam pewna, że coś wymyślę.

- Poddam się - powiedziałam. Na twarzy mamy zobaczyłam taką ulgę, jakby spadł jej z serca stukilowy głaz.

Na nowo podłączono mi kroplówkę i zostałam sama. Na zewnątrz świeciło słońce, ptaki świergoliły na lipie wypełniającej świeżą zielenią całe okno, gdzieś z oddali dobiegał przytłumiony gwar miasta. Za drzwiami panowała absolutna cisza, odniosłam wrażenie, że jestem jedyną pacjentką w tym ogromnym gmachu, a personel ukrył się gdzieś w piwnicy albo na strychu. Dopiero kilka godzin później, gdy w przerwie między kroplówkami wyjrzałam na korytarz, zobaczyłam, że szpital tętni życiem, tylko ja leżę w izolatce usytuowanej bocznej odnodze na końcu korytarza.

Tymczasem, chyba na skutek zbyt długiego snu, a być może i środków, które mi zaaplikowano, czułam w całym ciele jakieś mdłe rozleniwienie i fizjologiczną niechęć do jakiegokolwiek aktywności. Spadające równo krople do zbiorniczka wyrównawczego kroplówki działały usypiająco, i chociaż nie miałam zamiaru znów spać, zasnęłam.

Obudziła mnie czyjaś ręka na policzku. Otworzyłam oczy. Przy łóżku stała Iza, Wyszka, Matylda i Tomek. Tomek trzymał w ręku bukiet z żółtych irysów Pięknych. Widziałam jednak, że o kwiatkach pomyślała Matylda.

- Ej, koleżanko, długo masz zamiar leniuchować? - zawołał Tomek, wręczając kwiaty. - Nieprzypadkowo żółte. Mają ci przypominać wiosenne słońeczko.

- Wracaj, Karla, jak najszybciej, bez ciebie Barszczyk wdepcze mnie w asfalt. Wczoraj dostałam pałę, a pojutrze grozi mi następna - wtrąciła Iza.

- A ty, jak się czujesz? - Matylda z właściwym sobie wyczuciem taktu skierowała rozmowę na właściwe tory, gdyż według fair play przychodząc z wizytą do chorego, należy naj -pierw zapytać go o zdrowie.

- Całkiem dobrze, mój stan jest dużo lepszy, niż sądzą lekarze.

- Na co, ich zdaniem, cierpisz? - ciągnęła Matylda.

- Na rodzicielską nadopiekuńczość. Zbledniesz trochę, przyśniesz na dłużej, kichniesz, kaszlniesz i już panika. Bo, jak ogólnie wiadomo, przy dzisiejszym stanie wiedzy analiza krwi i moczu lepiej określa samopoczucie pacjenta niż jego własne odczucia.

- Racja. Nie ma ludzi zdrowych, są tylko nieprzebadani -zażartowała Wyszka.

Nagle oblał mnie zimny pot, uświadomiłam sobie, że w nogach łóżka wisi tabliczka

„gorączkowa”, na której poza różnymi danymi, wołowymi literami jest odnotowana diagnoza: ANOREKSJA. Ale wstyd.

- Co ciekawego w szkole?

- Och, dużo się dzieje. Dyrekcja z prokuratorskim zacięciem wdrożyła śledztwo w sprawie zajścia pomiędzy Tomkiem a Markiem - powiedziała Matylda. - Wyobraź sobie, chociaż wszyscy widzieli, że zaczął Marek, werdykt dyrekcji nie jest pewny.

- Jak to?

- A tak. Najwięcej mąci tu Anielka. Na okrągło powtarza swoją śpiewkę, że Tomek celowo pchnął Marka na nią, żeby się zemścić za głosowanie przeciw Boyowi, za odmowę udziału w manifestacji i takie różne. Mitomanka. Głupia mito-manka.

- Anielka wróciła już do szkoły?

- Jeszcze nie, lecz do protokołu zeznawała. Rozumiesz, wypadek... odszkodowanie... ustalenie sprawcy... Jednym słowem, formalności.

- Przepraszalem ją, bez skutku - wtrącił Tomek. - Widziałaś początek zajścia, prawda?

- Dokładnie.

- Proszę, po powrocie do budy przedstaw dyrekcji swoją wersję. Niczego nie ukrywaj.

- Jasne.

- Liczę na ciebie, bo na razie zanoszą się na to, że przez tego gnojka będę miał obniżone zachowanie. Zdaniem Babci, przewodniczącego obowiązują wyższe normy moralne niż pozostałych i dlatego jest oczywiste, że i kryteria jego oceny muszą być ostrzejsze - Tomek z wielką wprawą parodiował nauczycielkę. - Paranoja.

- Na lekcji wychowawczej Kamil zaproponowała zmianę przewodniczącego - dorzuciła Iza.

- I co?

- Klasa omal nie zabiła go śmiechem.

- Czy lekarze powiedzieli ci, kiedy wyjdiesz ze szpitala? - Matylda wykorzystała chwilę ciszy, żeby znów temat rozmowy skierować na mnie.

- Podobno jeszcze w tym tygodniu.

Do sali weszła pielęgniarka, aby podłączyć następną kroplówkę, tym razem z krwi.

- Założę się, że krwiodawcą był jakiś jurny żołnierz - zażartował Tomek.

Wszyscy parsknęli śmiechem, tylko moje serce ścisnął bolesny skurcz. Wiedziałam, była to aluzja do nocnego incydentu z Witkiem podczas rajdu w Bieszczadach.

Pewnie dowiedział się od Izy, że Witek odbywa służbę wojskową. „Jak on mógł? Jak on mógł?” - powtarzałam w myślach, a oczy mi zwilgotniały. Dobry nastrój prysł jak mydlana bańka. Resztkami sił udawałam, że nic się nie stało, lecz wewnętrzny dygot był nie do opanowania.

192

- Boli? Nie powinno. - Pielęgniarka zauważyła zmianę w moim zachowaniu i wytłumaczyła go sobie na swój sposób.

- Jest w porządku - zapewniłam, lecz nieoczekiwane łzy jakby zerwały jakąś wewnętrzną tamę i obfitą strugą popłynęły po policzkach.

- Widzę, że jednak nie, poprawię wkłucie - przez chwilę manipulowała wenflonem. - Już dobrze?

- O tak, całkiem dobrze - skłamałam.

Po wyjściu gości mogłam nareszcie spokojnie popłakać sobie do ściany. Z doświadczenia wiedziałam, że krew będzie schodzić około godziny. To, co próbował mi zrobić Witek, było okropne, lecz równie mocno bolały słowa Tomka, który widział w tym powód do kpin. I ten śmiech pozostałych! „Pewnie po szkole krąży już plotka o głupiej Malskiej i facecie, który dobierał się do niej w środku nocy w sali pełnej gapiów. A plotka wiadomo, wyleci wróblem, wróci wołem. Podawana z ust do ust, obrastając pieprznymi szczegółami, będzie zataczała coraz szersze kręgi, wreszcie dotrze do mamy, Liii, a nawet Rafała. Jeżeli jeszcze Iza wypapla, w jakich okolicznościach Firli puścił mnie w trąbę, a Marzena ze złości upowszechni fakt, że jest on homosiem, będę skończona”.

Wybuchłam niepohamowanym płaczem. Życie nie miało sensu. „W nocy skończę ze sobą! Wskoczę oknem! Na głowę! W dwie sekundy rozwiążę wszystkie problemy!” Do sali zajrzała pielęgniarka. Naciągnęłam kołdrę na twarz, żeby ukryć płacz. Myślałam, że się udało, bo wyszła, lecz tylko po to, by wezwać lekarza. Wszedł po niecałej minucie.

- Karla, co ci dolega? - Och, znów ten jego ułudzony ton, jakby mówił do przygłupa.

- Proszę mnie zostawić w spokoju! - zawołałam spod kołdry

- Naprawdę?

- Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Mam pewne wątpliwości.

- Cenię sobie pański autorytet, ale nie zgadzam się z diagnozą. Czuję się do-sko-na-le.

- Przyjmijmy że tak jest, skoro tak twierdzisz. Wszedł. Pielęgniarka przez chwilę znów manipulowała

przy wenflonie i też wyszła. Nareszcie zostałam sama i nagle przeszła mi ochota na płacz. Niczego mi się już nie chciało, nawet oderwać oczu od ściany, w którą patrzyłam tępo. Wszystko, łącznie z troskami gdzieś odpływało, rozmazywało się i traciło na ostrości. Zamknęłam oczy i zasnąłam.

Niespodziewana wizyta

Następnego dnia już od świtu kręciła się przy łóżku pielęgniarka. Udawała, że czeka, aż skończę śniadanie, żeby podłączyć następną kroplówkę, ale tak naprawdę pilnowała, czy jem. Niepotrzebnie. Taktykę walki zawsze dobiera się do sił i możliwości przeciwnika. Skoro otwarty opór oznaczał przegraną, przeszłam do konspiracji, a na tym polu miałam już spore doświadczenie, dlatego wcześniej rozłożyłam w szufladzie szafki płat ligniny

Pozorując jedzenie, kęs po kęsie wypluwałam niespostrzeżenie do uchylonej szuflady, by później ligninę z zawartością tylko zwinąć, wrzucić do sedesu i spuścić wodę. Majstersztyk.

Przy obiedzie pojawiły się nieprzewidziane trudności. Pielęgniarka usiadła na taborecie naprzeciw mnie i nie spuszczała z moich ust oka. Dziesięć łyżek zupy i siedem leniwych pierogów musiałam przełknąć, ale zaraz po jej wyjściu spróbowałam wszystko zwymiotować. Wsadziłam głęboko do gardła palec i... zero reakcji. Wsadziłam łyżkę, podrzuciło żołądkiem, i dalej nic. Wreszcie użyłam widelca - efekt był na-

tychmiastowy rzygałam nie tylko tym, co zjadłam, lecz nawet i kwasem, i żółcią, i krwią. Jezu, jaka ulga.

O czternastej obowiązkowe wizyty złożyły mama z Liii. Obie zadały mi do bólu przewidywalne pytania i otrzymały dokładnie takie odpowiedzi, jakie spodziewały się usłyszeć.

- Przyniosłyśmy ci kilka fajnych książek. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Jasne, że potrzebowałam, jednak one nie rozumiałyby niczego, co wykraczało poza wymiar czysto materialny

- Nie, niczego nie potrzebuję.

- Szpitalne jedzenie bywa... mało apetyczne, jeśli chcesz, przyniesiemy coś z domu, na przykład pierożki z truskawkami, co?

No proszę, a nie mówiłam?

- Szpitalne jedzenie jest dobre. Jest bardzo dobre - powiedziałam głośno, a cicho dodałam, że jest bardzo dobre, by bez żalu wrzucić je do kibla. Przy pierożkach własnoręcznie ulepionych przez mamę miałabym pewnie wyrzuty sumienia.

- Jakby na coś przyszła ci ochota, mów. A nawet dzwoń. Zostawimy ci komórkę. Na tym temat się wyczerpał i mama z Liii wyszły. Chwilę później wpadła Iza z... Michałem.

Na jego widok w mojej wyobraźni nocna scena ze schroniska w Bieszczadach rozegrała się jeszcze raz tak samo, jak wówczas na jawie, łącznie z uczuciem ulgi i strasznego zażenowania w chwili, gdy zabłyśły światła, a Michał odciągnął ode mnie Witka. Jak wtedy widziałam otaczający mnie tłum postaci, a nawet mignęła mi przed oczyma ironiczna twarz Emila z chwili, gdy docinał Witkowi, sadzając go na jednej gałęzi z goryłami. Wszystko pamiętałam, wszystko. Nieopisana rozterka rozdzierała moją duszę: schować się pod kołdrę czy udawać, że uległam amnezji?

- Zgadnij, kto przyszedł cię odwiedzić? - spytała Iza ni-

czym przysłowiowa blondynka z kawałów o blondynkach, bo przecież Michał stał tuż obok niej.

- Michał? - udałam większe zdziwienie, niż tego wymagała sytuacja.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się, a magnetyczna moc jego oczu prawie mnie zahipnotyzowała.

- Och, wyobraź sobie, zupełnie przypadkowo wpadliśmy na siebie. - Mocno wątpię w te przypadkowe spotkania Izy z facetami, którzy wpadli jej w oko, ale niech tam. -

Michał, gdy tylko usłyszał, że leżysz w szpitalu, natychmiast postanowił cię odwiedzić. I kupić ci stokrotki. Kto by pomyślał, że tyle w nim empatii.

- Chwal mnie, chwal. - Do słoika z irysami wetknął mały bukietek, który dotąd trzymał za plecami. Krótkie łodyżki nie sięgały wody lecz poza mną nikt tego nie zauważył.

- Jasne, jesteś z tych facetów, którzy mogą przeżyć dzień na jednej kromce chleba i pięciu komplementach. - Iza zadowolona z dowcipu parsknęła tym swoim urokliwym, perlistym śmiechem, dołeczki w policzkach nadały jej twarzy anielskiej słodkości, lecz ona, dla jeszcze lepszego efektu, potrząsnęła burzą włosów.

Michał też się śmiał, ale raz po raz spoglądał na mnie, jakby chciał sprawdzić, czy dostatecznie wysoko doceniłam poczucie humoru Izy Doceniałam, jednak daleka

byłam od pękania ze śmiechu. Moja przyjaciółka, jak było do przewidzenia, skutecznie poderwała następnego chłopaka, podczas gdy ja... szkoda gadać. W moim sercu wciąż było miejsce dla Rafała, bo Rafał był tylko źle zabliźnioną raną mojej pamięci. Był nieusuwalnym cierniem tkwiącym głęboko w duszy. Był obrazem wytrawionym na wewnętrznej stronie powiek, wystarczyło zamknąć oczy... Przygoda z Witkiem zamiast wyleczyć mnie z tej miłości, uczyniła ją jeszcze bardziej intensywną i beznadziejną.

Być może gdyby na miejscu Witka znalazł się Michał, dziś wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Ale co mi po gdybaniu? Po pierwsze, chłopak był świadkiem mojej okropnej kompromitacji na rajdzie, po drugie, miał zainteresowanie Izą co wykluczało jakąkolwiek rywalizację z mojej strony nawet gdybym była mistrzynią świata w podrywaniu. Tego się nie robi przyjaciółce. Po trzecie, wciąż nie mogłam wylizać się z psychicznych ran wyniesionych z prób wybijania klina klinem, i na razie amorów miałam po dziurki w nosie.

Iza przez cały czas z wdziękiem paplała, rozwijając przed Michałem cały wachlarz wdzięków niczym pawi ogon. Rany, jak jej to gładko szło. Łatwo i naturalnie, jakby uwodzenie było wrodzoną właściwością jej organizmu niczym oddychanie. Też bym tak chciała, lecz niestety, mogłam jedynie patrzeć i zazdrościć. Michał stojący tuż obok łóżka wyglądał dużo bardziej interesująco niż w Bieszczadach, jednak wtedy prawdopodobnie uległam poważnemu zakłóceniu postrzeganiu rzeczywistości.

Najpierw całą uwagę poświęciłam temu głupiemu Witkowi, potem na nikogo nie patrzyłam, bo najchętniej ukryłabym się w mysiej dziurze.

Wizyta dobiegła końca. Niespodziewanie Michał pochylił się nad łóżkiem i dotykając mojej ręki unieruchomionej przez kroplówkę, powiedział:

-Wracaj jak najszybciej do zdrowia, Karla. Znów pójdziemy w góry.

Oniemiałam. „Dlaczego to powiedział? Może chciał mnie podnieść na duchu, może podroczyć się z Izą?”. Wszystko jedno, fajnie było usłyszeć takie słowa.

4J doktora ^Halickiego

Po wyjściu ze szpitala, oprócz pliku recept, dostałam tydzień zwolnienia lekarskiego. Super. Prognozy meteorologiczne zapowiadały w najbliższym czasie piękną pogodę, wszystko wokół kwitło, śpiewało i pulsowało radością. „Koniec romansu z medycyną. Będę codziennie do woli opalać się z książką na tarasie” - postanowiłam. Humor psuł mi nieco fakt, że przytyłam prawie kilogram, a wszystkie środki odwadniające i przeczyszczające gdzieś przepadły. Ponieważ mama z Liii pod pozorem troskliwości otoczyły mnie ścisłą kontrolą, musiałam znaleźć jakiś pretekst i trochę pieniędzy, żeby bez wzbudzania podejrzeń uzupełnić zapasy. Ale nic z tego.

Już wkrótce z kilograma zrobiło się półtora i zaczęły mi puszczać nerwy, straciłam czujność i dałam się przyłapać siostrze na rzyganiu, a właściwie na bezskutecznych próbach wywołania wymiotów. Wsadziłam głęboko do gardła szczoteczka do zębów, podnosiło mi żołądek aż pod przełyk, lecz jedynym skutkiem były jakieś nieartykułowane odgłosy i rozsadzający płuca kaszel. Ciekło mi z oczu i z nosa, a żołądek niczym związany sznurkiem worek - nie oddawał ani grama swojej treści.

- Karla, co ci odbiło? - wypaliła ni z gruszki, ni z pietruszki, gdy wyszłam z łazienki. - Rozumiem, że za wszelką cenę chcesz mieć figurę modelki, jednak istnieje jakaś

rozsądna granica.

Hipokrytka, pod pozorem siostrzanej troskliwości przemyciła w dwóch zdaniach aż trzy aluzje. Raz - niby to działam od wpływem jakichś dziwacznych impulsów, dwa - jestem paskudną grubaską, która nie chce przyjąć tego faktu do wiadomości, trzy - mam odchyły od normy, skoro nie wiem, że przekraczam granice rozsądku.

- Odczep się.

- Skąd u ciebie ta bezmyślna pogoń za jakimiś nierealnymi wzorcami, skąd ta pieprzona mania chudości? Posłuchaj, zapadnięty brzuch i sterczące biodra to estetyka drabiny Myślisz, że istnieje normalny facet, który chciałby się kochać z drabiną?

- Jesteś podła.

- Postępujesz, jakbyś chciała zostać miss Halloween.

- Odczep się, jędzo.

- Karla. Nie żal ci mamy? - zmieniła temat.

„Czego ona chce tym razem? - pomyślałam zaskoczona.

- Co do tego ma mama? Czyżby uważała, że mamie wystarczy jedna modelowa córka? Że co? Ja mam być wyłącznie paskudnym tłem kontrastowo uwydatniającym jej urodę, talent i wszelkie zalety? Świnia!"

- Świnia! - powtórzyłam konkluzję przemyślenia, bo nic innego nie przyszło mi do głowy

- Karla. Postępujesz jak skończona idiotka. Jesteś głupią, nieodpowiedzialną smarkulą.

- Co? Zarzucasz mi brak odpowiedzialności?

- Oczywiście! Odpowiedzialność to nie jakaś żonglerka frazesami. Doprawdy, trudno cię zrozumieć - powiedziała Liii i wyszła do kuchni.

„Jasne, trudno mnie zrozumieć, bo co? Jestem jakimś dziwolągiem? Bo mam marzenia? Bo chcę uczciwą pracą osiągnąć to, czego nie dostałam ani od losu, ani od natury?"

- Wszystko się we mnie trzęsło. Kopnęłam w ścianę, żeby rozładować napięcie i poszłam do siebie.

Minęło kilka godzin, zanim wróciłam do psychicznej równowagi. I wtedy spłynęło na mnie olśnienie: Krople odroba-czające działają przeczyszczająco! Jakiś czas temu kupiłam je dla Filipa i Miki, stały na górnej półce w łazienkowej szafce zużyte zaledwie do połowy Jednym haustem opróżniłam butelkę, zaś opakowanie owinełam w papier i wyrzuciłam do

199

kosza. W oczekiwaniu na efekty rąbnęłam się na wersalce i pograżyłam w lekturze. Nie na długo. O dwudziestej z pracy wróciła mama, przyszła do mojego pokoju i usiadła przy mnie.

- Wizytę u profesora Halickiego przełożyłam na najbliższy czwartek, na szesnastą - poinformowała bez żadnych wstępów.

- Jakiego znowu profesora? Dopiero co wyszłam spod kurateli doktora Linde. Na razie mam dość lekarzy

- Potrzebujesz innego specjalisty Profesor Halicki jest psychiatrą.

- Co? - Skoczyłam jak oparzona. - Uważasz, że jestem świrem? Pomyłeńcem?

Czubkiem? Wariatką? Nie, tego już za wiele! Nigdzie nie pójdę!

- Usiądź, porozmawiamy spokojnie. -Nie!

- Usiądź! - Usiadłam, ale nie zamierzałam ustępować. -Karła, co ty wyprawiasz?

- Ja? A co niewłaściwego znalazłaś w moim zachowaniu? Mama złapała moją rękę i podsunęła rękaw aż za łokieć.

- Popatrz, do czego się doprowadziłaś. Sama skóra i kości.

- Przesadzasz.

-Nie, nie przesadzam. Wiem, za mało poświęcałam ci czasu, wiem, czegoś nie dopatrzyłam, popełniłam jakiś błąd, może nawet całą masę błędów, lecz nie zamierzam popełnić tego największego błędu. Nie będę beczynie patrzeć, jak się wyniszczasz, jak... jak umierasz, a nie pomogę ci, jeśli nie dotrę do sedna problemu.

-I dlatego chcesz zrobić ze mnie wariatkę?

- Cóż ty opowiadasz! Masz tylko problemy psychiczne, które przełożyły się na język ciała. Doktor Linde wykluczył zaburzenia żołądkowe, zdiagnozował anoreksję, a ja nie mogę jego diagnozy zignorować. Jeżeli jest to stan po głębokiej depresji lub jakimś silnym wstrząsie emocjonalnym, powinien zająć się tym psychiatra. Sama nie potrafię ci pomóc. Profesor Halicki jest wybitnym specjalistą w tej dziedzinie, wierzę, że ci pomoże.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nie miałam omamów wzrokowych ani słuchowych, nie plotłam bzdur, nie wrzeszczałam, nie rzucałam się z nożem na ludzi, nie robiłam niczego, co odbiegałoby od normy a mama wysyłała mnie do psychiatry. Bo co? Bo trochę schudłam? A może ona jest tak zakochana w Liii, że nawet na samą myśl, że siłą woli wypracuję równie zgrabną figurę, gotowa zamknąć mnie w jakimś wariatkowie? Musiałam zaprotestować.

- Prędzej umrę, niż się zgodzę! - krzyknęłam. Mama ukryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

- Dlaczego nigdy ci nie przyjdzie do głowy że jest mi ciężko, że chwilami jestem śmiertelnie zmęczona. Gdy się haruje jak wół, łatwo o pomyłki. Nie jestem doskonała, wiem, wiele można mi zarzucić, jednak ty karzesz mnie zbyt okrutnie. Naprawdę uważasz, że zasłużyłam na to?

Boże, ostatni raz widziałam mamę płaczącą po śmierci taty Później nigdy się nie rozkleiła, sprawiała wrażenie cyborga, a teraz płacząc, wyglądała na istotę rozpaczliwie samotną, zgnębiającą i bezradną. Człowiek jest tak skonstruowany psychicznie i fizjologicznie, że nie może bez wzruszenia patrzeć na łzy matki. Coś we mnie pękło i zrodziło poczucie winy. Nieważne było, która z nas ma rację, ważne było, że mama płacze przeze mnie.

Tyle razy prowadziłam w swój ej głowie rozmowy z mamą, wykladałam jej swoje racje, dobierałam argumenty lecz gdy przychodziło co do czego, wszystko gdzieś ulatywało i mówiłam coś innego, niż chciałam. Tak było i tym razem. Zamiast powiedzieć, że nie życzę sobie, aby jakiś utytułowany profesor, nawet najmądrzejszy, był cenzorem moich myśli i sędzią mojego serca, powiedziałam:

- Dobrze, mamus, dobrze, pójdę, gdzie tylko zechcesz, tyl-ko proszę, nie płacz. Nie płacz. - Objęłam ją za ramiona i płakałam razem z nią.

Potem przyszła refleksja. Przyrzeczenie wymuszone emocjonalnym szantażem w sytuacji, gdy mój zszokowany umysł popadł w stan niepoczytalności, było

poważnym nadużyciem. Jednak słowo się rzekło i należało go dotrzymać, chociaż strach przed psychiatrą jest stokroć gorszy od strachu przed dentystą

Najpierw powiedziałam sobie: trudno, głupota kosztuje, pójdę i odbębnię. Później naszły mnie wątpliwości i zaczęłam kombinować, jakby tu się z honorem wymigać od tej wizyty. Wieczorami miewałam wiele fantastycznych pomysłów, ale światło ranka bezlitośnie obnażało ich wady. Wszystkie były nierealne.

Czas uciekał, wreszcie wykrzesalam z siebie nieco ducha bojowego i postanowiłam wziąć tego byka za rogi. „Pójdę do profesora, zademonstruję niezłomną pewność siebie i za żadne skarby nie dam sobie wcisnąć kitu o jakichkolwiek odchyłkach od normy. Takiemu utytułowanemu ekspertowi z pewnością mama uwierzy bez zastrzeżeń i nareszcie skończy się wmawianie mi choroby”.

* * *

Doktor przyjmował w prywatnej przychodni w centrum miasta. Przychodnia odbiegała wystrojem od państwowych ośrodków służby zdrowia. Na pierwszy rzut oka było widać, że już od drzwi profesor środkami socjotechnicznymi próbuje wpływać na nastrój pacjentów. Ściany w ciepłych, jasnych barwach, chodniki dobrane do kolorów ścian, obok recepcji poczekalnia z miękkimi fotelami i aktualną prasą na stoliku, kwiaty, beżowe żaluzje w oknach i uprzejma obsługa.

Ledwie zdążyłyśmy usiąść, zostało wyczytane moje imię i nazwisko. Niechętnie podążyłam za rozplywającą się w uśmiechach pielęgniarką.

Lekarzy najłatwiej poznać po białych kitlach i stetoskopach na szyjach lub w kieszeniach. Profesor Halicki w ogóle nie posiadał tych atrybutów. Miał chyba koło pięćdziesięciu lat, przerzedzone włosy na czubku głowy, okrągłą, starannie wygoloną twarz i olśniewająco zdrowe zęby. Mimo wrogiego nastawienia czułam bijącą z całej jego postaci życzliwość, lecz miałam się na baczności. Pewnie była to jeszcze jedna sztuczka marketingowa, rodzaj psychicznej zmyłki, by uspić czujność pacjenta. „Nic z tego, drogi panie, możesz sobie mieć wszystkie naukowe tytuły świata, nie zrobisz mi wody z mózgu” - pomyślałam.

Profesor wyszedł zza biurka, przedstawił się i gestem wskazał mi fotel przy ławie. Usiadłam, on zajął miejsce po przeciwnej stronie. „Oho, teraz będzie udawał, że traktuje mnie jak gościa, nie jak pacjentkę” - pomyślałam. Oczekiwałam, że zaraz powie coś w stylu: Proszę się odprężyć - ale nie.

- Twoja mama poprosiła mnie, żebym z tobą porozmawiał. - Skinęłam potakująco głową. - Zdaniem twojej mamy masz jakieś problemy egzystencjonalne. A jak jest twoim zdaniem?

- Moim zdaniem mama przesadza.

- A co na to tata?

- Tata od pięciu lat nie żyje.

- Przykro mi. Masz siostrę, prawda? Czy siostra ma podobne problemy z mamą?

- Nie, siostra nie stwarza żadnych problemów. Ma same zalety

- Jak myślisz, co w twoim sposobie bycia mamę niepokoi?

- Pewnie mama już to panu profesorowi powiedziała. Było to niezbyt grzeczne z mojej strony lecz wołałam uniknąć skarżenia.

- Tak, jednak jej opinia jest subiektywna, zacięta emocjami, poza tym wyraziła tylko wnioski, które jej się nasunęły z obserwacji, a te nie muszą być słuszne. Do

postawieni diagnozy nie mogą opierać się na opinii osób postronnych nawet rodziców. Zresztą, gdyby takie opinie były miarodajne, byłbym bezrobotny. Więc, jak jest według ciebie?

- Mama przesadza - powtórzyłam.

- Możesz podać parę przykładów?

- Uważa, że mam anoreksję. A przecież mam oczy i widzę. Nie jestem chuda. Nie jestem nawet szczupła.

- Powinnaś wiedzieć, że mózg każdej żywej istoty posiada świadomą wiedzę o całym jej ciele. Wie, co już strawił żołądek, ile żółci powinna wydzielić wątroba, ile powietrza mają zaczerpnąć płuca, jaki jest kolor włosów, jak ustawione są w którą stronę zwrócona jest głowa, jak są ułożone palce, czy siedzimy, czy stoimy czy może wisimy głową w dół czy czujemy zimno, czy ciepło... W przypadku anoreksji ten dokładny obraz ciała zapisany w mózgu bywa czasem zakłócony. Dlatego chorzy pomimo silnego wychudzenia, utrzymują, że są otyli.

- To nie dotyczy mnie! - zawołałam. - Widzę się w lustrze.

- Widzisz swój obraz zakłócony przez mózg. Tylko wag nie kłamie, ale zostawmy na razie ten problem. W czym jeszcze mama przesadza?

Szukałam w pamięci zdarzeń, którymi mogłabym udowodnić nadwrażliwość mamy, jednak nic mi nie przychodziło do głowy, gdyż tak naprawdę problemem był trudny do nazwania, bo jak nazwać ból duszy? Nie potrafiłam wyrazić tego smutku i łez wypełniających moje serce, tymczasem mama

problem sprowadzała do jedzenia, jakby poza napychaniem sobie brzucha nie istniało nic więcej. Jak to miałam wytłumaczyć temu obcemu człowiekowi, dla którego jestem jakimś entym przypadkiem, nad którym pracuje.

- Mama nie rozumie, że... powiem inaczej, mama ma zbyt staroświeckie poglądy na wizerunek, jak chcą mieć współczesne dziewczyny

- A dziewczyny chcą być szczupłe. Im szczuplejsze, tym lepiej, prawda? Uważasz, że gdy osiągniesz idealne wymiary wszystkie twoje emocjonalne problemy znikną.

Chłopcy oszaleją na twoim punkcie, a koleżanki popękają z zazdrości.

Rzeczywiście tak myślałam, jednak wstydziłam się do tego przyznać, więc powiedziałam wykrętnie:

- W ogóle chodzi mi o to, że mama nie liczy się z moim zdaniem.

- Typowy konflikt pokoleń, ma on miejsce, ponieważ proces zdobywania wiedzy jest powolny i dokonuje się przez błędy. A taka jest właściwość błędów, że poznać go można dopiero po skutkach. Czasem, niestety oddalonych daleko w przyszłość.

- Być może tak jest, jednak to nie odnosi się do mnie w najmniejszym stopniu.

Potrafię przewidywać... nie gorzej niż mama - w ostatniej chwili zmodyfikowałam odpowiedź, gdyż chciałam powiedzieć „lepiej”. - Ja na przykład doskonale widzę, że w przyszłości jako gruba, brzydka klucha zostanę zgorzkniałą starą panną. Mama tego nie dostrzega.

- Posłuchaj, obszary mózgu odpowiadające za niewerbalną komunikację rozwijają się późno, dopiero po dwudziestym roku życia. Chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy, podlegasz tak zwanemu owczemu pędowi w grupie rówieśniczej. Mama ten okres ma już dawno za sobą, co w połączeniu z doświadczeniem życiowym pozwala jej z wyprzedzeniem przewidzieć skutki wcześniejszych poczynań. Gdyby ewolu-

ej a nie zapewniła dzieciom rodzicielskiej opieki, kto wie, czy przetrwalibyśmy jako gatunek. Dzieci w naturalny sposób buntują się, ale jest to tylko trening przed przyszłą samodzielnością. Trzeba uważać, żeby nie przetrenować. Czy potrafisz określić stopień swojego buntu w skali od jeden do dziesięć?

- Ja się nie buntuję.

- W ogóle? Nawet wewnątrz? -Chyba nie...

- Chyba tak, a z reguły wraz z buntem przychodzi strach przed wzięciem na siebie odpowiedzialności, które ciąży na osobie dorosłej. - Milczałam jak ryba. -

Rozumiem, że bez przygotowania takie pytania zaskakują. Wbrew pozorom są one trudne, dlatego przerwijmy dzisiejszą rozmowę i umówmy się na inny termin. -

Przytaknęłam głową, profesor otworzył kalendarz. - Proponuję następny czwartek, odpowiada ci termin?

- Odpowiada.

- Szesnasta?

- Może być.

Z ulgą opuściłam gabinet.

Byłam święcie przekonana o swojej przewadze. „Profesorowi brakło argumentów.

Pewnie teraz ten wielki specjalista będzie główkował, co z moim przypadkiem zrobić, ale to już jego problem" - rozpiekała mnie satysfakcja, niestety do następnego czwartku. W czwartek profesor zmienił taktykę. Nie robił już podchodów, nie wypytywał, lecz niczym podstępny robak wwiercał się do najgłębszych zakamarków mojej duszy, wyciągał stamtąd to, do czego nawet ja sama przed sobą nie chciałam ujawniać, by w końcu postawić diagnozę:

- Karla, musisz przyjąć do wiadomości, że jesteś chora i jest to choroba psychiczna.

Wiesz, jakie są jej zewnętrzne objawy? Bezustannie oglądasz swoją sylwetkę w lustrze, a w odbiciu nie dostrzegasz wystających kości, lecz wałki tłuszczu. Jesteś nerwowa i rozdrażniona. Najmniejszy kęs je-

dzenia kojarzy ci się z tyciem, więc oszukujesz przy jedzeniu, wykazując w tym dużą przebiegłość. Wspomagasz się środkami farmaceutycznymi. Pomińmy na razie sposób, w jaki je zdobywasz. Chcąc osiągnąć figurę modelki, nie rozumiesz, że niszczysz swój organizm. Już wystąpiły u ciebie zaburzenia pracy nerek, odwapnienie kości, zaburzenia hormonalne. Ale to nie wszystko, żyjesz w permanentnym stresie, a wysoki poziom hormonu stresu ma niszczący wpływ na organizm, zwłaszcza na układ sercowo-naczyniowy

Słuchałam z niedowierzaniem. Czułam się jak otwarty pamiętnik z najskrytszymi tajemnicami rzucony na żer wścibskiemu facetowi, który nie tylko czytał, lecz i krytykował. Gorzej! Byłam pokrojonym w plasterki eksponatem pod mikroskopem badacza uzbrojonego w wiedzę.

- Nie, to nie tak... - próbowałam zaprotestować, lecz głos grzązał mi w krtani, a tymczasem profesor kontynuował:

- Osoby chore na anoreksję nie potrafią otwarcie mówić o swoich problemach, dlatego otoczenie dość długo uważa je za osoby normalne. Twoja mama też późno się spostrzegła. Teraz kolej na ciebie. Musisz uwierzyć w siebie i zaakceptować się taką, jaką jesteś, bez tego nie masz szans powrócić do zdrowia.

Wewnętrzne napięcie omal nie rozsadziło mnie od środka. Wbrew sobie wybuchłam

płaczem i przez dobry kwadrans płakałam jak bóbr.

Na kolejną wizytę miałam przyjść razem z mamą i Liii. Jezu, gdybym przewidziała, że wizyta u profesora Halickiego przyniesie takie skutki, za żadne skarby świata nie dałabym sobie wydrzeć słowa, że będę się leczyć. Teraz przepadło, musiałam brnąć dalej. Żeby tak do reszty nie popaść w przygnębienie, zaczęłam rozważać, czy mimo wszystko są jakieś pozytywne aspekty tej całej rozpiarduchy. Jeśli są, łatwiej będzie znieść porażkę.

Znalazłam dopiero wieczorem. Pomyślałam, że skoro profesor trafnie opisał moje odczucia, to być może równie trafna jest jego diagnoza dotycząca stanu zdrowia.

Może ze mną rzeczywiście coś jest nie tak?

Mowa taktyka IBarszczyka

Mogłam jeszcze kilka dni siedzieć sobie na zwolnieniu lekarskim, lecz niespodziewanie wpadła Iza z wielką prośbą.

- Karla, ratuj! - zawołała dramatycznie od drzwi.

- Co znowu?

- Bez ciebie Barszczyk mnie udupi na amen! Facet po prostu zagiął na mnie parol.

- A dokładniej, w czym rzecz?

- Dla tych wszystkich, którzy dostali lufę z ostatniej klasówki, albo z różnych powodów jej nie pisali, Barszczyk zarządził klasówkę dodatkową. Obłudnie twierdzi, że daje szansę tym, którym poprzednim razem się nie powiodło, i tym, których to klasówkowe szczęście ominęło. Tak powiedział, cynik jeden: ominęło szczęście...

Czyli miał na myśli i ciebie.

- Dużo osób oblało?

- Blisko połowa klasy

- Z jakich tematów?

- Zadania stechiometryczne

- Żartujesz? Przecież to łatwe.

- Jasne, jak się rozumie, wszystko jest proste.

- W takim razie siadaj, przerobimy materiał. Za godzinę obkujesz się na blachę.

- Bez wygłupów, Karla. W życiu tego nie załapię. Liczę na ciebie. W tobie moja ostatnia nadzieja.

- Może jednak? Chociaż przekartkujmy książkę.

- Innym razem. Dzisiaj nie mam czasu. Naprawdę.

208

Iza się spieszyła, ale chyba nie tak bardzo, skoro jeszcze godzinę siedziałyśmy w kuchni i dopracowałyśmy system wymiany informacji, czyli tajne czyniłyśmy jeszcze tajniej -szym.

- Na wypadek gdyby zaszła konieczność, że będziesz musiała pisać za mnie, kupiłam dwa długopisy o identycznych kolorach. Proponuję, żebyś poćwiczyła trochę mój charakter pisma. Zostawię ci swój zeszyt do chemii. Na dobrą sprawę problem ogranicza się do wszelkiego rodzaju ogonków, zakrętasów i zawijasów. Dołóż starań, a wszystko pójdzie jak po maśle.

- Iza, nie dam rady napisać dwóch klasówek.

- Dasz radę, będziemy się wymieniać kartkami. Ja będę zapisywać raz twoją, raz swoją treść zadań, ty tylko na przemian rozwiązywać. Przy takim usprawnieniu czasu

ci nie zabraknie. Mówię ci, będzie super.

Wieczorem przejrzałam dokładnie materiał z chemii w zakresie, jakiego spodziewałam się na klasówce i na wszelki wypadek przeczytałam jedną lekcję do przodu. Bywało, że Barszczyk zadawał jakieś dodatkowe zadanie z nieprzerobionego materiału, a kto je rozwiązał, dostawał szóstkę, za zainteresowania wychodzące poza lekcyjny program.

Nazajutrz piętnaścioro uczniów zostało po lekcjach, żeby zmierzyć się z chemią.

Siedziałyśmy z Izą gotowe na wielkie wyzwanie. Barszczyk wszedł do klasy tuż po dzwonku, spojrzął po nas i powiedział:

- Bardzo ładnie, dzisiaj każdy może mieć do dyspozycji całą ławkę. Nikt nikogo nie będzie rozpraszał, nikomu nie będę mógł zarzucić, że na przykład odpisywał - mówiąc to, raz po raz rzucał okiem na Izę i uśmiechał się pod wąsem.

- No to po mnie - jęknęła Iza, tymczasem Barszczyk kontynuował:

- Solska przejdzie do pierwszej ławki w pierwszym rzędzie, Chłopecki do czwartej ławki w drugim rzędzie, Ostrowski do drugiej ławki w trzecim rzędzie... - Po trzech minutach byliśmy wymieszani jak groch z kapustą.

Tego nikt, łącznie z Izą, nie przewidział. Zamiast trzech zadań stechiometrycznych, czego wszyscy się spodziewali, były dwa, a trzecie niespodziewanie z zastosowaniem prawa Boyle'a-Mariotte'a, prostym jak... dmuchanie w balonik, ale większość piszących, jak się później okazało, zdążyło go zapomnieć.

Zanim Barszczyk zebrał kartki, Iza wiedziała już, że dostanie pałę. Nie napisała nic. Kiedy szłyśmy do domu, przystanąła na chwilę i pacnęła się w czoło.

- Ależ my jesteśmy głupie torby! - zawołała.

- Co masz na myśli?

- Wszystkich obowiązywał ten sam temat. Mogłaś napisać dragą klasówkę i podpisać moim imieniem i nazwiskiem. Ja nie oddałabym swojej kartki i... Cholera, mogłabyś wykazać więcej inwencji, zamiast czekać, aż ja wszystko obmyślę. To było do zrobienia. Znow zawałiłaś, Karla.

Gotowa byłam zrobić, i robiłam, dla naszej przyjaźni wiele, więc uważałam, że Iza przesadza.

- Czy nie prościej byłoby się po prostu nauczyć?

- Ty ciągle swoje. Nudna jesteś z tymi morałami. Chemia, niestety nie wchodzi mi do głowy, a ty jako przyjaciółka, zamiast mi pomóc, jeszcze mnie dołujesz. Z tobą tak zawsze, zawodzisz, kiedy jestem w największej potrzebie. Dlaczego? Nie chcesz pomóc czy tchórzysz? - Iza w swej bezmyślności i egoistycznym zaślepieniu nie próbowała nawet dostrzec, że była w tych oskarżeniach niesprawiedliwa.

- O czym ty mówisz? Przecież to nie moja wina, że Barszczyk jest nieprzewidywalny Plan, który opracowałam, pechowo okazał się nietrafiony

- No jasne, w ten sposób dałaś mi do zrozumienia, że jestem głupia i cokolwiek wymyślę, jest do bani. Ładnie! Dziękuję! - Odwróciła się na pięcie i ostro ruszyła przed siebie.

Zawsze w takich przypadkach biegłam za nią, wymachując białą flagą. Teraz, chociaż trudno było orzec, czy Iza tak myślała naprawdę, czy tylko przemawiała przez nią rozpacz, zacięłam się. Przegięła, wszystko we mnie kipiało. Po pierwsze, zabołało posądzenie o tchórzostwo, po drugie, Iza mocno przesadziła z przerzucaniem na mnie

winy za własne kłopoty. Ruszyłam w swoją stronę.

Za najbliższym rogiem natknęłam się na Wyszka. Wyszka za pierwszym razem dostała troję, więc wyszła ze szkoły wcześniej i teraz wracała od Malwiny

- Co u niej ? - zainteresowałam się.

- Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Czasami mam wrażenie, że wszystko jest w porządku, czasami, że rozmawiam z jakimś sobowtórem Malwiny który nie ma z Mal-winą nic wspólnego.

- Może ci scjentolodzy tak ją odmienili?

- Może, lecz możliwe jest, że coś jej się pomieszało w głowie albo że bierze narkotyki. Nie wiem. Nie umiem nawet nazwać tego, co obserwuję. A jak poszła klasówka?

- U mnie spoko. Gorzej z Izą. Barszczyk ją przesadził do innej ławki i nie mogłam jej pomóc.

- Facet zagiął na nią parol i nie odpuści. Rudzielcy już tacy są. Pójdiesz jutro ze mną do Malwiny?

- Jasne.

Nazajutrz z wizyty wyszły nici. Pukałyśmy do drzwi Ratajów pięć minut i chociaż słyszałyśmy dochodzące z głębi mieszkania czyjeś głosy, nikt nam nie otworzył. Trudno. Postanowiłyśmy wpaść do Pstryczka na małe co nieco. Ledwie usiadłyśmy przy stoliku, w drzwiach stanęła Iza.

- Karla, jak dobrze, że cię wreszcie złapałam. Cześć, Wy-szka. - Usiadła przy nas i natychmiast zaczęła mówić o chemii i Barszczyku. - Och, Wyszka, gdyby nie Karla, już dawno zrezygnowałabym ze szkoły Opracowałyśmy genialny system i chociaż ten Barszczyk coś podejrzewał, wszystko dobrze żarło, ale ostatnio zdechło. Ten złośliwiec rozdzielił nas. Posadził w osobnych ławkach. Totalne świństwo.

- Też chętnie skorzystałabym z szansy na lepszą ocenę. Możezakombinujemy Karla, co? Będzie łatwo, Malwina chora, siedzę sama... - zawiesiła głos. - Z wdzięczności wyle-wię ci wszystkie grządki w ogródku.

- Jesteś w sytuacji stokroć lepszej niż ja, obejdiesz się bez pomocy Poza tym to nie w stylu Karli opuszczać przyjaciółkę w tarapatach. Prawda?

Kiedy Iza mi cukrzyła, przeważnie był to sygnał, że szykuje coś ekstra. Miałam rację. Po krótkiej chwili milczenia wymuszonej przez kelnera, który wreszcie podszedł, żeby przyjąć zamówienie, znów podjęła przerwany wątek.

- Diabli mnie biorą na myśl, że ostatecznie zatriumfuje Barszczyk, dlatego wymyśliłam sposób, że facet prędzej dostanie żylaków na mózgu, niż rozszyfruje, co jest grane.

- Przebierzesz Karlę za siebie? - parsknęła Wyszka. Iza przez chwilę napawała się naszą niedomyślnością.

- Skorzystamy z najnowszych technik szpiegowskich. Porozmawiałam na ten temat z tatkiem. Powiedziałam, że przerabiamy na fizyce temat miniaturyzacji urządzeń elektronicznych i potrzebujemy jednego egzemplarza jako pomocy naukowej.

-1 tatko kupił ten kit?

- Jasne. Zawsze rodzicom mówię prawdę, więc nie mają powodów do podejrzliwości. Reszta jest już chyba jasna sama przez się. Dobrze, prawda, Karla?

- Rozumiem, że mam ci za pomocą tego ustrojstwa podpowiadać, gdy nas znów

rozdziela.

- No tak. Rzecz absolutnie nie do wykrycia. Majstersztyk. Mam go przy sobie. Możemy nawet zrobić próbę. Zasięg do pięćdziesięciu metrów Iza wyjęła z torebki małe pudełko, w którym były dwie miniaturowe słuchawki i dwa równie miniaturowe mikrofony z zatrzaskami.

- Mikrofon można przypiąć do ubrania lub schować, na przykład w długopisie.

Słuchawkę w uchu zasłania się włosami i szafa gra, nie?

- Kurczę, Iza, wykombinuj jeszcze jeden zestaw dla mnie - do pomysłu zapaliła się Wyszka.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Na razie zrobmy próbę generalną.

Wysłałam z mikrofonem do holu i szeptem policzyłam od dziesięciu do zera.

Działo, lecz nie byłam zachwycona pomysłem. Moim zdaniem miał on jedną poważną wadę, otóż Barszczyk na każdej klasówce rozdawał sześć zestawów zadań.

W trzech kolejnych ławkach żadne zadanie się nie powtarzało. Prawdopodobieństwo, że dwie osoby dostaną ten sam zestaw wynosiło jak 1 : 36, a że trzy, jak 1 : 216.

Nawet nie warto było przeliczać tego na procenty. Poza tym łatwiej jest wymienić się kartkami w tej samej ławce, niż odsłuchać treść zadania, zapisać i wreszcie rozwiązane z powrotem przedyktować. W przypadku trzech różnych zestawów na taki wyczyn z pewnością zabraknie czasu. Przedstawiłam swoje wątpliwości, ale zostały one zbagatelizowane.

- Ejże, chyba przesadzasz z tym ryzykiem. - Wyszka wyjęła długopis i na serwetce zaczęła sprawdzać moje wyliczenia, lecz zanim dojrzała do końca, zrezygnowała. - Tutaj trudno się skupić.

- Kręcisz. Lepiej od razu wyłóż kawę na ławę, co jest grane - Iza wiedziała swoje.

- Jeśli znajmiecie odpowiednie miejsca, proszę bardzo, pomogę bez problemów. Za inną opcję nie biorę odpowiedzialności.

- Najlepiej byłoby włamać mu się do komputera i porobić gotowce. Przydałby się jakiś dobry informatyk. Spróbuję porozmawiać z Maćkiem.

- Przy odpowiedziach ustnych, urządzenie może być też przydatne - zauważyła Wyszka.

- Jasne, jednak z Maćkiem i tak porozmawiam.

Zrezygnowałam z dyskusji, pomimo iż powinnam zaprotestować. Nie, nie chodzi już o to, że dawałam się wciągać w rzecz z gruntu nieuczciwą, lecz trzeba było mieć inteligencję z wielkim minusem, żeby z takim wysiłkiem brnąć pokretną drogą, kiedy istniała droga prosta i łatwa.

terapia rodzinna

Im bliższy był termin wizyty u profesora Halickiego, tym silniej rósł we mnie sprzeciw, chociaż nie potrafiłam dokładnie sprecyzować dlaczego. Znowu czułam przemożną potrzebę buntu, lecz jak zwykle brakło mi woli, żeby postawić na swoim. W trójkę zasiadliśmy przed profesorem.

Profesor najpierw mówił o mojej chorobie. Kilkakrotnie podkreślił, że odczuwam niedosyt zrozumienia, że brakuje mi poczucia wsparcia w rodzinie, że czuję się zdominowana osobowością mamy i siostry i to rodzi we mnie przymus dążenia do perfekcji, że mam problemy z wyrażaniem się na zewnątrz i wreszcie coś, co wstrząsnęło mną do głębi - mimo pozorów samodzielności i odpowiedzialności -

jestem typem dziecka bluszczu, a moja anoreksja jest podświadomą metodą karania matki za poczucie odrzucenia.

214

Zaczęłam chlipać, bo to, co mówił profesor, było i okrutne, i zawstydzające, i jednocześnie prawdziwe. Chociaż nie do końca. Tak, nie potrafiłam wyrazić smutku ani łez wypełniających serce, był to tylko ból duszy najwięcej w nim było frustracji na samą siebie, trochę pretensji do otoczenia, ale na miły Bóg, nie chciałam w żaden sposób dokuczyć mamie, a tym bardziej jej karać.

Natomiast na słowa profesora Liii zareagowała niczym ta pierwsza niewinna uzurpująca sobie moralne prawo, by rzucić we mnie kamieniem:

- Jesteś wredna, Karla. Mama zapracowuje się na śmierć dla naszego dobra. Same na to wyraziłyśmy zgodę, a ty, co wyprawiasz? Zapomniałaś już? Jak możesz być taką egoistką?!

- Powinna pani mieć świadomość, że tak naprawdę, w głębszych warstwach jest to wołanie o ratunek.

Reakcja mamy była biegunowo odmienna.

- Boże, córeczko, jak mogłaś pomyśleć, że kiedykolwiek chciałam, abyś była kopią Liii. Kocham cię taką, jaką jesteś. Wiem, nie zapewniłam wam dobrego dzieciństwa, gdyby był z nami tata, wszystko wyglądałoby inaczej - mówiła, z trudem powstrzymując łzy

- Ależ ja doskonale wszystko rozumiem, nie mam ci niczego za złe. Naprawdę.

- Więc dlaczego wycinasz takie idiotyczne numery? - znów natarła na mnie Liii, a ja w rezultacie rozplakałam się na dobre.

- Liii, przestań! - zawołała mama.

- Ależ nie, proszę mówić. Proszę wyrazić wszystkie pretensje, które pani ma do siostry - wtrącił profesor.

- Denerwuje mnie jej postępowanie. W ogóle nie rozumiem, jak podobne nedorzeczności przychodzą jej do głowy.

- Za mało rozmawialiśmy, ale to się zmieni - zapewniła mama.

Profesor zwrócił się do Liii

- Z tego, co słyszę, ma pani siostrze wiele do zarzucenia, lecz czy kocha pani ją na tyle, żeby zrozumieć, że jej postępowanie wynika z choroby? Bardzo poważnej choroby która dla niej samej jest większą udręką niż dla otoczenia.

- Tak, jestem w stanie to zrozumieć - przyznała z ociąganiem.

- Czy może pani powiedzieć siostrze coś, co nie jest potępieniem, a wypływa z głębi pani serca?

Liii milczała dłuższą chwilę, jakby toczyła ze sobą wewnętrzną walkę.

- Pomijając słowa podyktowane irytacją, tak naprawdę kocham siostrę. Nigdy nie marzyłam o bliźniaczce jednojajo-wej, więc Karla zbyt często zakłada, że swoją odmiennością nie zasługuje na moją akceptację. - Liii opuściła nisko głowę, żeby ukryć łzy

- Moją winą jest, że za mało mówiłam, jakie jesteście dla mnie ważne. Najważniejsze na świecie. Że jestem z was dumna. Okazałyście wyjątkową dojrzałość, gdy jako małe dziewczynki przejęłyście sporą część obowiązków związanych z prowadzeniem domu. Czasem ponad wasze siły Jesteście wyjątkowe. Dziewięćdziesięcioro

dziwięcioro dzieci na sto, pozostawiane całymi dniami bez opieki, zesłoby na złą drogę. Moja wina, Karla, że nigdy ci nie powiedziałam, iż nie wszystko od razu wychodzi. Że pomyłki to nie powód do wstydu, gdy wyciąga się z nich wnioski i koryguje błędy. Nigdy tego nie mówiłam, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, że moje milczenie odbierzesz jako przymus bycia doskonałą.

Powoli, powoli w mojej psychice zaczęło dziać się coś dziwnego. Miałam wrażenie rozdwojenia, rozstrojenia, anawetroz-czworzenia osobowości. Chciałam jednocześnie i bronić siebie taką, jaką jestem, i zrzucić z siebie psychiczny balast niepewności, i uznać diagnozę profesora za słuszną i pozwolić mu skorygować swoje mankamenty i wypomnieć Liii jej różne wredne odzywki oraz postęпки, których nazbierało się sporo w ciągu całego życia. Powinna wreszcie usłyszeć, że ma swój udział w moich problemach.

Jednakże nic nie powiedziałam. Żadne rozchwianie emocjonalne nie pozbawia mnie oceny, co wypada, a czego nie wypada mówić. Jeżeli czekało nas nowe życie, to najlepiej bez falstartu.

I tak nasza rodzinna terapia, w atmosferze wzajemnego zrozumienia, dobiegła końca. Profesor Halicki swoim wyjątkowym magnetyzmem, kulturą, szeroką wiedzą dokonał z naszymi duszami coś, co wydawało się niemożliwe. Przynajmniej ja patrzyłam na mamę i Liii zupełnie innymi oczami. Czułam, że tworzymy rodzinę nie tylko dlatego, że nosimy to samo nazwisko i mamy ten sam adres. Moją radość zmącił sam profesor.

- Słuchaj, Karla, nie jesteś jeszcze zupełnie zdrowa. Rany na twojej psychice zaledwie się zabliznyły. Musisz przez cały czas na siebie uważać.

- Jak alkoholik? - zażartowałam.

- Właśnie tak. Na szczęście psychoterapię skutecznie wspiera farmakologia.

Dostaniesz leki podnoszące poziom serotoniny w mózgu, a to poprawi ci nastrój, zwiększy zdolność koncentracji, odporność na stresy i, co bardzo ważne, podniesie poczucie własnej wartości. Nabierzesz większej pewności siebie.

- Brzmi jak... psychoinżynieria.

- Za duże słowo. Jest to najwyżej psychiczna kosmetyka modyfikująca psychikę i emocje - odpowiedział z uśmiechem, po czym usiadł za biurkiem i zaczął wypisywać recepty.

Po tej wizycie u profesora Halickiego życie jakby nabrało nowej jakości. Mama wcześniej wracała z pracy częściej słu-

chała, co mam do powiedzenia i nawet z lekką przesadą dbała o moje dobre samopoczucie. Liii też była do rany przyłoż. Mniej mówiło się w mojej obecności o weselu, więcej o tym, jak rozdysponować pieniądze ze spadku, gdyż właśnie znalazł się nabywca działki i transakcja miała być zrealizowana lada dzień. Obie podkreślały że sama zadecyduję, co zrobić ze swoją częścią.

W czasie bezsennych nocy dużo rozmyślałam o sobie. Pomimo iż na wspomnienie diagnozy profesora nadal ból wibrował mi w mózgu, zauważyłam, że każdy problem nazwany i zdefiniowany nabiera zupełnie innego wymiaru. Jest on wtedy jak zlokalizowany kleszcz. Cierpisz, ale wiesz dlaczego i musisz tylko znaleźć sposób na wyrwanie go z ciała.

Patrzyłam na siebie z dystansu, analizowałam swoje myśli i czyny i dochodziłam do

wniosku, że często postępowałam głupio. Z jedną jedyną rzeczą nie mogłam sobie poradzić - z miłością, a właściwie jej brakiem. Nadal pod zamkniętymi powiekami pojawiała się twarz Rafała. Był daleki jak gwiazdy na niebie. Był przy Liii.

Mowa miłość \$zy

Tymczasem w klasie działo się wiele. Powróciła jak bumerang sprawa poszkodowanej Anieli, która wróciła do szkoły, i natychmiast została przesłuchana przez specjalnie w tym celu powołaną komisję, w skład której weszli: dyrektor, Babcia, katechetka i, pełniącej funkcję behapowca, pani Narek z administracji. Aniela konsekwentnie całą winę zwała na Tomka, a Marek z Kamilem mocno trzymali jej stronę, powtarzając wkółko swoją wersję niby wyuczoną lekcję. Tomek rzecz jasna trwał przy swojej niewinności, stała za nim większość

218

klasy, lecz jakoś tak niezbyt zdecydowanie, gdyż każdy zapamiętał tę bójkę inaczej, a najwięcej sprzecznych opinii było właśnie na temat, kto jak zaczął. Tak więc, żeby ustalić prawdę, postanowiono przesłuchać wszystkich bez wyjątku, tym razem komisyjnie, według kolejności w dzienniku. Czekałam spokojnie na swoją kolej. Barszczyk na razie przerabiał nowy materiał z chemii, co oznaczało, że klasówkę zrobi dopiero po szóstym temacie. Dla Izy był to czas świętego spokoju, lecz na wszelki wypadek była gotowa do odpowiedzi. Zawsze nosiła w uchu słuchawkę, a ja trzymałam w pogotowiu mikrofon wmontowany przez Maćka w długopis. I słusznie, bo któregoś dnia nauczyciel mówiąc o ciepłej reakcji chemicznej przebiegającej w stałej objętości gazu, niespodziewanie wywołał Izę do tablicy.

- Podejdz, Solska, do tablicy, przypomnij klasie prawo Avo-gadra.

Iza stanęła przed tablicą i wolno zaczęła za mną powtarzać:

- Prawo Avogadra jest jednym z podstawowych praw gazów doskonałych, które mówi, że pod jednakowym ciśnieniem, w jednakowej temperaturze i jednakowej objętości różnych gazów zawarta jest jednakowa liczba cząsteczek.

Słowo daję. Powtórzyła za mną słowo w słowo. Wolno, lecz płynnie! Wrażenie, jakie zrobiła na Barszczyku, było piorunujące. Z jego twarzy znikł ironiczny uśmiech, ale tylko na chwilę. Pewnie pomyślał „udało jej się”, bo zaraz rzucił:

- Świetnie, świetnie, Solska. A teraz weź w swe różane paluszki krede i zapisz tę liczbę.

I Iza wzięła krede, i napisała.

- Dziękuję, usiądź na miejsce. - Był to rzadki przypadek, kiedy nauczyciel jest rozczarowany dobrą odpowiedzią. A może jednak coś podejrzewał?

- Uważam, że szkoła uprawia pedagogiczny terror. Pomyśl, formułki, wzory kucie na pamięć... Rozprawki, srawki, pier-dawki... Jaka z tego korzyść w życiu? Żadna, bo tak naprawdę liczy się marka i image - Iza cała w skowronkach i pełna wiary w koniec kłopotów z chemią podzieliła się ze mną refleksją zaraz po dzwonku.

Ostatnio moja przyjaciółka codziennie po lekcjach miała coś pilnego do załatwienia, więc dla zabicia czasu niemal codziennie wpadałam z Wyszka do Malwiny. Im więcej było tych odwiedzin, tym mniej rozumiałyśmy. Odnosiłyśmy wrażenie, że Malwina coraz częściej przenosi się do jakiegoś innego, zamkniętego świata, do którego nikogo nie chce dopuścić. Coraz częściej nie wpuszczała nas do domu, chociaż słyszałyśmy jak podchodzi do drzwi i nasłuchuje.

Któregoś dnia, tak ni z gruszki, ni z pietruszki, Wyszka powiedziała do mnie.

- Dam sobie głowę uciąć, że Iza zaczęła kręcić z Irkiem.

- Żartujesz! Iza to chroniczna flirciarka, każdemu facetowi musi zawrócić w głowie, inaczej popada w kompleksy ale żeby Irkowi? Nie uwierzę.

- Może masz rację, lepiej ją znasz.

Jakieś dwa tygodnie później rozstałam się pod szkołą z Izą, której było spieszo do chorej ciotki. Ledwie znikła za rogiem, przypomniałam sobie, że nie oddała mi kasety, którą tego dnia powinnam zwrócić do wypożyczalni. Ruszyłam pędem jej śladem. Chwilę później dojrzałam ją... w towarzystwie Irka. Że szli razem, to żadna sensacja, w końcu można iść z każdym, jeśli akurat jest po drodze. Szli wolno, więc i ja nieco zwolniłam. Jakież było moje zdziwienie, gdy weszli do Relaksu, kawiarni zbyt drogiej na kieszenie większości uczniów.

Przypomniały mi się słowa Wyszki, jednakże nadal trudno było dać im wiarę. Na razie odpuściłam sobie kasetę. Zadzwoiłam do niej dwie godziny później.

- Ojej, zupełnie zapomniałam - usprawiedliwiła się beztrząsco. Zaraz Maciek ci ją podrzuci.

- Jak zdrowie cioci?

- Tak sobie. Muszę do niej wpadać codziennie, aż wyzdrowieje - zełgała gładko.

„A może nie? - zaczęłam wątpić, gdy odłożyłam słuchawkę. - Może rzeczywiście szła do cioci, spotkała Irka i postanowiła z nim porozmawiać o Malwinie?" Trudno było uwierzyć, że moja serdeczna przyjaciółka ma przede mną sekrety Maciek rzeczywiście zjawiał się godzinę później.

Następnego dnia podchwyciłam wymianę porozumiewawczych spojrzeń między Izą i Irkiem. Gdybym wcześniej nie widziała, jak skręcają do Relaksu, ten fakt uszedłby mojej uwadze, teraz obserwowałam ich bacznie. Tak, Wyszka miała rację. Przy najbliższej okazji postanowiłam dojść prawdy. Zaczęłam nieco przewrotnie:

- Iza, twój stosunek do chłopców jest... no, powiedziałabym dziwny. Który ci się w końcu podoba?

- Wszyscy - Spojrzała na mnie podejrzliwie. Wyczuwała już, że poznałam jej tajemnicę, ale nie była do końca pewna.

- Nie przesadzasz?

- Posłuchaj, Karla, jeśli są takie głupie, które chcą się najeść gruszkami na wierzbie obiecany przez facetów, ich sprawa.

- Nie rozumiem.

- To proste. Faceci, żeby zabełtać kobiecie w głowie, obiecują cuda niewiary i ani myślą dotrzymać słowa. I co? I nic. Wszystko im uchodzi płazem, natomiast dziewczętom się wpaja, że mają być miłe, grzeczne i obsługiwać facetów. Figa z makami. Powiem dosadniej: gówno! Łamię stereotypy i jest mi z tym dobrze. Radzę ci, też spróbuj - podjęła próbę stry-wializowania tematu.

- Skoro tak uważasz, mogłabyś sobie odpuścić Irka.

- Niby dlaczego? - Uciekła wzrokiem w bok

- Z uwagi na Malwinę.

- Wykluczone. Świat jest bezwzględny. Nie słyszałam, aby został zawieszony darwinizm. Wygrywa lepszy.

- Iza, dla ciebie Irek to tylko nowa przygoda, dla Malwiny treść życia.

- Ani nie wiesz, kim Irek jest dla mnie, ani nie masz gwarancji, że gdyby nie ja, byłby z Malwiną, więc nie pleć głupstw. Nawet jej samobójstwo niczego nie wskórało, a wiesz, dlaczego? Wiesz?

- Nie wiem.

- Bo nie z miłości się truła.

- A z jakiego powodu?

- Ma nierówno pod sufitem.

- Jakim cudem twój a ocena j est krańcowo różna od wszystkich innych ocen?

Przecież Malwina na punkcie Irka oszalała od pierwszego dnia pierwszej klasy. Była nim wręcz zaczadzona!

- Każdy świr ma bzika na jakimś punkcie, w jej przypadku padło na niego. To tylko obsesja, która nie ma nic wspólnego z miłością. Rozumiesz? A poza tym jej fobie są jej problemem.

- Nie jesteś w porządku.

- Nie? A dlaczego? Odbiłam go jej?

- No nie.

- Malwina zrobiła z siebie takie pośmiewisko, że nie tylko Irek, lecz każdy inny chłopak musiałby być skończonym wariatem, żeby zbliżyć się do niej na odległość wyciągniętej ręki. Irek unikał jej jak mógł, więc nie widzę powodu, by karać go za Malwinę, której odbiło na jego punkcie. A najgorsze jest, że ona dalej brnie w dziwactwa.

- Jest tylko chora.

- Jest chorą na głowę gorliwą wyznawczynią scjentologii.

222

Miałam trudności z uzasadnieniem swój ego przekonania i Iza uznała, że racja jest po jej stronie. Ciekawe, czy będąc na moim miejscu, próbowałaby Liii odbić Rafała. Pewnie tak.

- Prawdę mówiąc, odbiłaś Irka Majce Joniec - powiedziałam z przekąsem.

- Źle rozumujesz, więc współczujesz niewłaściwej osobie. Należy współczuć tylko Irkowi, któremu Malwina zatrula życie listami, telefonami, e-mailami, SMS-ami o pierwszej w nocy, o piątej rano, o dwunastej w południe. Zadręczała wszystkie jego dziewczyny groziła, wyzywała, szantażowała. Majka Joniec też już miała dość. To wariatka, ma wszystkie objawy schizofrenii, tak przynajmniej twierdzi mama Majki, która jest lekarzem. Dość długo próbowali traktować ją jak osobę chorą, Irek rozmawiał z nią i namawiał, żeby poszła do psychiatry nic z tego. Malwina uznała, że skoro chłopak o nią się troszczy, musi ją kochać, a na przeszkodzie stoi Majka i z tego powodu próbowała ją kiedyś pobić na ulicy?

- Żartujesz?

- Ależ skąd. Sprawę badał nawet prokurator. A z tym samobójstwem też nie było tak, jak wszyscy myślą. Malwina zadzwoniła do Irka o drugiej w nocy i zażądała, żeby natychmiast do niej przyszedł, bo inaczej, pożałuje i będą go dręczyć wyrzuty sumienia do końca życia.

-I co?

- Irek uznał, to za jeszcze jeden wybryk tej fiksutki, jednak rano zadzwonił. W ten sposób uratował jej życie, gdyż jak pamiętasz, była sobota, wczesny ranek, więc nikt

się nie dobijał do łazienki.

Jeżeli przynajmniej część z tego, co mówiła Iza, było prawdą, z Malwiną sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, niż sądziłam. Jak to pozory mylą.

- A ty? A ty nie boisz się reakcji Malwiny? Wzruszyła ramionami.

- Poradzę sobie. Do końca roku będziemy trzymać naszą miłość w tajemnicy na przełomie lipca i sierpnia jedziemy na wczasy do Tunezji. To znaczy ja jadę z mamą a Irek ze starszym bratem. Korzystamy z usług tego samego biura podróży więc być może będziemy nawet mieszkać w tym samym hotelu. Mogłabyś się wybrać z nami. Marzenia ściętej głowy

- Nie mogę. W sierpniu będzie wesele Liii.

- No to masz pecha.

Po lekcjach Iza jak zwykle umówiła się z Irkiem w Relaksie, a skoro już poznałam ich tajemnicę, darowała sobie wykrety z chorą ciotką czy pilną sprawą do załatwienia. Ponieważ miałam odebrać okulary mamy od optyka, który mieścił się na tej samej ulicy co Relaks, kawalek szłyśmy razem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że kręcisz z Irkiem?

- Masz zamiar robić mi wymówki?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, z bramy którą mijaliśmy, wyszła Marzena Firlej z jakimś kudłatym chłopakiem. Na mój widok zmrużyła oczy mocniej niż zazwyczaj.

- Cześć, Karla.

- Cześć.

- Mam z tobą do pogadania.

- No to bywaj - Iza skorzystała z okazji, żeby pośpiesznie się oddalić.

- Słucham cię.

- Wiem, że była u was moja matula?

- Tak. Była jakiś czas temu.

- Chcę, żebyś wiedziała, że ja z tym nie mam nic wspólnego.

- A dokładnie z czym?

- Przepraszam, walnęłam sobie mózgotrzepa forte i mętnie gadam. Chcę, żebyś wiedziała, że nie myślę, jak starzy. Matka dała straszną plamę, żądając od ciebie zwrotu forsy za

bilet wstępu na tego sylwestra. Zdecydowanie odcinam się od gaf jej i całej mojej pieprzonej rodzinki. Odcinam. - Ostatnie słowa podkreśliła tak zamaszystym gestem, że omal nie upadła.

Sfekt motyla

Zmienił się mój stosunek do przyjaźni z Izą. Ale nie od razu. Być może wszystko trwałoby po staremu, gdyby nie nauczyciel chemii. Zdziałał tu efekt odkryty przez Edwarda Lorensa zwany z angielska complexity a bardziej swojsko efektem motyla. Los przetestował na mojej skromnej osobie wzajemne relacje odległych zdarzeń, które na zdrowy rozsądek, nie powinny mieć na siebie wpływu, a jednak miały. Otóż Barszczyk, chociaż nigdy nie przyłapał nas na „współpracy”, to wymyślał coraz bardziej perfidne sposoby, żeby skutecznie pomieszać nam szyki. Na kolejnej klasówce zupełnie zmienił system. Podzielił klasę rzędami. Najpierw odczytywał jedno zadanie dla pierwszego rzędu, czasu na odpowiedź zostawiał tyle, ile zajmowało mu przeczytanie zadania dla drugiego rzędu. Drugi rząd musiał uporać się

z odpowiedzią, gdy czytał pytanie dla pierwszego rzędu. I tak w kółko. W tej sytuacji nie byłam w stanie rozwiązywać jednocześnie zadań swoich i Izy. Efekt był wiadomy. Zaraz po dzwonku spadł na mnie grad pretensji.

- Cholera, znowu zawiodłaś. Rozumiem, że tempo było zabójcze, lecz gdybyś zadowolila się rozwiązaniem połowy swoich zadań, miałabyś czas rozwiązać połowę moich. Dostałybyśmy po trójce, ale nie, ty rwiesz się do tych durnowatych piątek jak szczerbaty do sucharów. Jesteś egoistką.

Byłam rozdarta między powinnością wynikającą z przyjaźni a potrzebą sprzeciwu.

- Sama jesteś egoistką! -wybuchłam.

- W imię przyjaźni mogłabyś...

- Kłopot w tym, że jesteś przyjaciółką mocno koniunkturalną - powiedziałam i zaraz tego pożałowałam.

-Co?

Miałam do wyboru: przeprosić, albo brnąć dalej. Jakiś diabeł podszeptał mi drugą opcję.

- A tak! Mało, że olewasz chemię, to na dodatek przerzucasz na mnie odpowiedzialność za swoje kłopoty. Chętnie ci pomagam, jednak ty żądasz cudów. Opamiętaj się wreszcie -sama nie wierzyłam, że to powiedziałam, bo właściwie nie chciałam tego mówić. Samo się powiedziało.

- No ładnie. Bardzo ładnie. Niczego od ciebie nie chcę. Iza spakowała plecak i, chociaż mieliśmy jeszcze dwie matematyki, po prostu sobie poszła. Irek wyszedł tuż za nią.

Wtem podeszła do mnie Wyszka.

- Znowu połajanki? - spytała.

- Jest wkurzona. Znowu dostanie pałę.

- Zasłużyła sobie. Sama od czasu do czasu od kogoś odpiszę, skorzystam z podpowiedzi, zerznę ze ściagi, jednak Iza przesadza. Postępuje jak intelektualny pasożyt. Ostatnio powiedziała, że już nie ma do ciebie nerwów.

- Nie rozumiem.

- No, narzekała, że trudno na ciebie liczyć. Mówię ci o tym, gdyż... zresztą, nieważne. Chcę, żebyś wiedziała, ty zrobisz z tą informacją, co zechcesz.

Poczułam się, jakby zdradziecko ugodziła mnie zatruta strzała. Owszem, robiłam czasem Izie przytyki, lecz na miły Bóg, wychodziłam ze skóry by ją ratować. Często własnym kosztem, gdyż dostawałam niższe oceny chociaż byłam dobrze przygotowana i posiadałam stosowną wiedzę. Mimo jej humorów wierzyłam, że ceni sobie przyjaźń ze mną, a przynajmniej to, co dla niej robię. Tymczasem niepotrzebnie

czu-

226
łam wyrzuty sumienia za tę koniunkturalną przyjaciółkę, przecież uważała mnie tylko za dyspozycyjnego bryka. Zbierało mi się na płacz.

- Powiem ci jedno, Karla. Pycha jest na dłuższą metę szkodliwa, ale uległość jeszcze bardziej.

- Jak mam to rozumieć?

- To taka dygresja o tobie i Izie.

Rozmowę musiałyśmy przerwać, bo zadzwonił dzwonek i do klasy wszedł

matematyk. Iza z Irkiem nie wrócili już tego dnia do szkoły
Zakładałam, że następny dzień upłynie pod znakiem humorów i demonstracyjnej
urazy mojej humorzastej przyjaciółki, lecz spudłowałam.

- Rozumiem, że musisz zadbać również o swoje stopnie, ale wciąż liczę na ciebie.
- Oczywiście - potaknęłam i natychmiast przyszła mi ochota walnąć się w łeb. Jestem
fujara. Zero asertywności.

- Uzgodniłam też z Wyszką, że gdy Barszczyk znowu cię w jakiś sposób
wyeliminuje, będzie mi podpowiadać przez drugi zestaw. Nie jest tak dobra, jak ty
jednak na troję wystarczy. Zamierzam poprosić o wsparcie Emila. Co ty na to?

- Obiektywnie rzecz biorąc, Emil jest najlepszy
- Wiadomo, jednak wiesz, jaki on jest. Zawsze mi docina.
- Emil każdemu docina, mimo to jest spoko.

Rozmowę musiałyśmy przerwać, wezwano mnie do gabinetu dyrektora przed oblicze
szanownej komisji w sprawie Anieli. Najpierw dyrektor spytał, jaką posiadam wiedzę
na ten temat. Wiernie trzymając się faktów, powiedziałam dokładnie, co widziałam.

- Więc twierdzisz, że to Marek Szalach rozpoczął bójkę.
- Tak. Tomek Kocanek nie spodziewał się ataku. Pakował wówczas plecak.
- Może sprowokował Szalacha słownie?
- Nie słyszałam, chociaż stałam bardzo blisko Tomka. To Szalach nazwał Kocanka
kablem, szpiclem i dyrektorską wtyczką.

Dyrektor chrząknął z zakłopotaniem.

- Czy Kocanek mógł widzieć przechodzącą Anielę Świątek?
- Raczej nie. Gdy go Szalach uderzył, upadł na podłogę między ławkami...

Byłam z siebie zadowolona, lecz przedwcześnie, bo nagle pani katechetka zadała
pytanie, które mnie zamurowało.

- Czy Aniela Świątek była szykanowana z powodu odmiennego zdania niż większość
klasy w sprawie patrona szkoły?

Prawdę mówiąc, sprzeciw wobec skreślenia Boya był tak powszechny, że każdy
myślący inaczej dziwił i budził niechęć. W czasie dyskusji padło wiele ironicznych
uwag pod adresem przeciwników, ale na miły Bóg, przy innych okazjach bywa
podobnie. Sama na własnej skórze odczułam złośliwość klasy gdy napisałam
nieudany referat o różnych mykach w architekturze. Klasa drwiła z Malwiny, z
Barszczyka, Babcy, dyrektora... Właściwie nasz sposób bycia wyraża się
pokpiwaniem z każdego przy każdej okazji. Czy Anielę szykanowano bardziej niż
innych?

- Ta propozycja została przegłosowana demokratycznie. Przewaga zwolenników
Boya była tak ogromna, że głosy kilku oponentów mało znaczyły - wykręciłam się.

- Kto jeszcze znalazł się w gronie tych kilku oponentów? - drażyla dalej katechetka,
choć, moim zdaniem, nie miało to nic wspólnego z tematem przesłuchania.

- Nie pamiętam dokładnie.

- Szalach?

- Tak - przytaknęłam, skoro już wiedzieli. Katechetka zrobiła zadowoloną minę,
jakby akurat udowodniła tezę, którą sobie założyła. Wiedziałam, do czego zmierza,
więc szybko

dodałam: - Powodem ataku Marka Szalach nie był spór o patrona szkoły, a pretensja,

że Tomek na niego donosi.

- To znaczy?

- Że palił papierosy - nie było to kablowanie, sam dyrektor przyłapał go na popalaniu. Dyrektor i Babcia skinięciem głowy potwierdzili moje słowa.

- Czy tę informację też mam ująć w protokole? - spytała niepewnie pani Narol.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział dyrektor. - Masz jeszcze coś do dodania? - Nie.

- A państwo macie jeszcze jakieś pytania związane ze sprawą?

- Nie - odpowiedziała katechetka niechętnie, Babcia i pani Narol pokręciły tylko głowami.

- Dziękuję, możesz wrócić na lekcję. Odetchnęłam z ulgą i wyszłam. Była akurat przerwa. Tomek czekał na mnie pod drzwiami.

-1 jak to wyglądało, Karla?

- Spoko. Powiedziałam, że w tym, co się stało, nie ma żadnej twojej winy.

- A konkretnie?

Powtórzyłam w miarę dokładnie cały przebieg przesłuchania.

- Dzięki. Chcą koniecznie tak obrócić kota ogonem, aby wyszło, że jestem wywrotowcem, a Boya używam jako pretekstu do buntowania uczniów i dręczenia myślących inaczej.

- Przesadzasz. I dyro, i Babcia patrzą na wszystko dość rzeczowo. Reszta to Pikus.

- Mówię ci, szukają na mnie haka.

- Nie znajdą - zapewniłam go dość gołosłownie, bo chociaż działalność Tomka była pozytywna, jego zbyt impulsywny charakter nie wszystkim odpowiadał.

Wróciliśmy do klasy. Na następnej przerwie podeszła do mnie Aniela i zadała dokładnie takie samo pytanie, jak Tomek.

- Powiedziałam prawdę - odrzekłam.

- A uwzględniłaś w tej prawdzie fakt, że on zrobił to celowo ?

- Nie, gdyż moim zdaniem, nie zrobił.

- Moim zdaniem, moim zdaniem... - powtórzyła kilkakrotnie, przedrzeźniając mnie. - Myślisz, że twoja interpretacja zastąpi prawdę?

- Równie dobrze jak twoja - odparowałam, zanim zdążyłam pomyśleć. - Obie jesteśmy zgodne co do jednego, Tomek pchnął Marka na ciebie. Pytanie, czy celowo, pozostaje w sferze domysłów. Tomek twierdzi, że nie, przepraszał cię, więc chyba są to poważne poszlaki, by dać mu wiarę.

- Za nic w świecie.

- Jak na demonstracyjną pobożność jesteś dość zawzięta. Agdzie chrześcijańskie miłosierdzie? Gdzie cnota wybaczenia?

- Tolerowanie zła nie jest żadnym miłosierdziem.

- Nawet skruszonemu winowajcy?

- Nie. Nie wierzę w szczerą przeprosin.

- Paradne. Według ciebie miłosierdziem jest tolerancją dobra. Dewiza akurat na sztandary hipokrytów.

- Źle mnie oceniasz. Chcę, aby moje czyny były zgodne z przekonaniem. Jeżeli mogę przeciwstawić się złu, przeciwstawiam się, nawet kosztem niezrozumienia ze strony takich, jak ty

- Dość pokrętna filozofia.

Aniela odeszła, a ja zaczęłam zachodzić w głowę, co we mnie wstąpiło. Zazwyczaj usiłowałam mówić ludziom to, co chcieliby usłyszeć, jeżeli miałam inne zdanie, zachowywałam je dla siebie, milczałam nawet w sytuacjach, gdy aż się prosiło, żeby rzucić wiązaną bluzgów. Teraz jakby coś zerwało psychiczną tamę. Bez oporów mówiłam, co mi ślina na język przyniosła, i nie odczuwałam z tego powodu najmniejszego zażenowania. Czyżby zadziałały leki profesora Halickiego?

^Uskrzydłona dusza

Znow Barszczyk przerabiał kolejną partię materiału, co dla Izy oznaczało następujący cyklicznie czas laby i świętego spokoju. Dla Irka pewnie też, gdyż codziennie znikali tuż po ostatniej lekcji, a bywało, że i z ostatniej, a nawet przedostatniej. Iza przestała bywać i u mnie w domu, i w Pstryczku. Nasze kontakty ograniczyły się praktycznie do banalnych rozmów podczas przerw.

Tego dnia, ledwie wyszłam ze szkoły spotkałam... Michała.

- Cześć, Karła.

- Cześć. Czekasz na Izę? Dzisiaj wyszła wcześniej - przemilczałam z kim.

- Czekam na ciebie.

Z zakamarków mojej podświadomości wychynął robak podejrzliwości..

- Znasz moją siostrę? - spytałam ostrożnie.

- Znam.

„Więc nie o nią chodzi. Pewnie mama postawiła mu lufę z angielskiego i szuka dojścia”.

- Masz może interes do mojej mamy?

- Nie. Mam interes do ciebie.

„A jednak” - pomyślałam gorzko.

- Słucham?

- Chcę ci zaproponować wyprawę w góry Tien-Szan. Reflektujesz? - Stałam oniemiała nie wiedziałam, co odpowiedzieć. - Milczenie uważam za akceptację.

Chodźmy do Pstryczka, omówimy szczegóły, hm?

To jego „hm?” było zniewalające.

Szczęśliwie był wolny stolik w kącie przy oknie.

- Co zamówić dla ciebie? - spytał.

- Wodę mineralną bez bąbelków.

- Jesteś na diecie? -Nie.

- To może dasz się skusić na lody bakaliowe z bitą śmietaną?

„Jezu, to będzie miało ponad sześćset kilokalorii” - jęknęłam w duszy lecz zanim zdążyłam zaprotestować, podszedł kelner i przyjął zamówienie.

Michał onieśmiał. Gdzieś w głowie coraz natrętniej wzbierało wredne podejrzenie, że to, co się dzieje, jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. W tym musi być jakieś drugie dno. Czekałam w napięciu na rozwój sytuacji. Nagle olśniło mnie. „Tak, chce, żebym namówiła Izę na ten rajd. Iza nie znosi gór, a poza tym może już wie, że jest teraz zainteresowana Irkiem”.

W ślad za fatalnym efektem dedukcji przyszła bolesna refleksja. Iza, oprócz wiernego do bólu Maćka ma jeszcze Irka, a już w kolejce do jej względów ustawił się Michał,

tylko ja wciąż czekam na chłopaka. Chłopaka, który nie musiałby umierać z miłości jak jakiś Werter Goethego. Wystarczyłoby aby prawil komplementy, zabierał do kina, tańczył ze mną na dyskotekach. Tymczasem niebo zsyłało mi albo jakąś wykastrowaną namiastkę miłości, albo miłość zredukowaną do rozmiaru prześcieradła. Miałam wokół pustkę, szarzyznę i emocjonalną beznadzieję. Pragnęłam miłości całą sobą tak mocno, że usychałam jak roślina bez wody i z nikim o tym nie potrafiłam porozmawiać, nawet z profesorem Halickim.

- Kto organizuje ten rajd?

- Klub Wysokogórski, do którego należę.

- Nie jest wymagane członkostwo?

- Jest. Ale ty będziesz na prawach gratis.

- Kto jeszcze oprócz mnie?

- Spora grupa fajnych ludzi z Klubu.

-Ale z jakiego powodu chcesz dokooptować akurat mnie?

- Bo jesteś wyjątkową dziewczyną.

Zamurowało mnie. Było niemożliwością, abym zdetronizowała Izę w oczach Michała, a jednak on patrzył na mnie tak, jak... jak Rafał na Liii, ciepło, rozczulająco, z miłością...

„Rany, mam halucynacje” - stwierdziłam i chcąc ukryć zmieszanie, zajęłam się lodami. Najprawdopodobniej posiadam w głowie wmontowany j jakiś inkubator toksycznych wątpliwości mącących radość w najmniej oczekiwanych chwilach, bo nagle mój mózg przebiła szpilą myśl, że jeśli nawet jakimś cudem wpadłam Michałowi w oko, przy bliższym poznaniu rozczaruję go pospolitością, lub już jutro inna dziewczyna usunie mnie w cień, albo... Wyliczać mogłam w nieskończoność...

-1 co? Dostanę dzisiaj odpowiedź?

- Pojechałabym, lecz nie wiem, co na to mama.

- Jestem gotów poddać się drobiazgowemu śledztwu z jej strony - Moje serce zaczęło walić, jak po forsownym biegu, a gdzieś z podświadomości ostrzegawczo wypełznął cichy lęk, że lada moment coś spartaczę i czar pryśnie jak senne marzenie.

- Jaki jest termin tej wyprawy? W sierpniu mam wesele siostry, więc jeśli...

- Nie ma jeszcze ustalonego terminu, lecz zanim zaczniemy zdobywać Chan Tengri drogą poprzez Marmurowe Żebro, proponuję zaprawę w niższych partiach gór.

Terminy sami sobie ustalimy. Co ty na to, hm?

Znów to zabójcze „hm”. Czułam, że spiekam raka i... stanęła mi przed oczami tamta żenująca, naznaczona moją kompromitacją, bieszczadzka scena z Witkiem. A najgorsza w tym

była świadomość, że gdzieś w głębinach hipokampu10 Michała ta noc też tam została zapisana i utwalona. Na zawsze. Nie do zresetowania. Miałam ochotę wleźć pod stolik.

- Brzmi obiecująco - przyznałam szczerze, a łzy napłynęły mi do oczu na myśl, że gdybym nie poznała tego chama Witka, moja sytuacja w tej chwili byłaby zupełnie inna. Łatwiejsza. Miałabym większe szanse...

Michał w jakiś zadziwiający sposób odgadł moje ponure myśli.

- A j jeśli kiedyś znów poj awi się przy tobie złe Mzimu, przegonimy go waleniem w patelnie, garnki i pokrywki. Nauczył mnie tego zawodowy szaman. Słowo daję -

powiedział z tak komiczną powagą, że musiałam parsknąć śmiechem.

- Skąd pewność, że poskutkuje?

- Sposób został już wielokrotnie przetestowany przez wielkiego czarownika Wu-Hu-Hu z plemienia Krean-Akrore.

- Tak? Czytałam gdzieś, że to kanibale z Amazonii. Ciekawe, jak trafiłeś do niego na nauki?

- Właściwie trafiłem jako danie główne. Kiedy starszyzna rozważała, czy mój korkowy kapelusz też jest jadalny, skutecznie przekonałem ich, że to prawdziwie kulinarny rarytas w przeciwieństwie do mojego zatrutego adrenaliną ciała, po którym niechybnie dostaną marskości wątroby.

- Gratuluję daru przekonywania.

- Chwalisz mnie mocno na wyrost, gdyż nie starczyło mi już talentu, żeby wyłgać się od degustacji, więc musiałem zjeść spory kawałek własnego kapelusza.

Nikt nigdy mnie tak nie rozśmieszał. Podniosłam wzrok, a przypadek sprawił, że spojrzałam prosto w jego oczy i wtedy zaczęło się dziać coś szczególnego, wielkiego, najgłębszego. Oto zadziałała owa niepojęta, niesterowalna, tajemnicza 10 Hipokamp - miejsce w mózgu, gdzie zachodzi proces utrwalania śladów pamięciowych.

alchemia miłości. Wszystkie dotychczasowe zauroczenia, fascynacje, opętania i wyobrażenia mojego serca odeszły w niebyt. Były zaledwie namiastką, erzacem, kiepską imitacją prawdziwego zakochania. Były jak szkiełko przy brylancie. Gdyby stan mojej duszy przekładał się wprost proporcjonalnie na możliwości ciała, urosłyby mi skrzydła, lub po prostu kwitowałabym gdzieś pod sufitem. Było mi lekko na duszy a cały świat wokół stał się jakiś taki jaśniejszy i życzliwszy. Jak słoneczna niedziela w szczęśliwym dzieciństwie.

Bpilog

Wraz z ostatnim szkolnym dzwonkiem nadeszły upragnione wakacje, które nie były jedynym powodem do radości. Cieszyła się Iza, bo wygrała swoją prywatną wojnę podjazdową z Barszczykiem. Co prawda niezbyt imponującą przewagą, ale wygrana to wygrana. Przeszła do następnej klasy Cały lipiec upłynął jej na gorączkowych zakupach, gdyż, jak mawiała, dla Irka musi się postarać ekstra, bo czuje, że to będzie miłość na całe życie. Zapytana o Maćka tylko wzruszyła lekceważąco ramionami. Wyszka z Arkiem i jego starszym bratem wyjechali do Anglii do pracy na plantacji kukurydzy Chcieli w ten sposób podszlifować angielski i przy okazji zarobić parę funtów Mal-wina w ogóle zrezygnowała ze szkoły, lecz dała się namówić przez rodziców na wyjazd do sanatorium w Krynicy Podobno pobyt w kurorcie wyjątkowo dobrze na nią wpływa.

Sprawa Tomka skończyła się dla niego pomyślnie. Mimo oskarżeń Anieli Świątek komisja powołana do zbadania przyczyny wypadku nie dopatrzyła się, jak zapisano w protokole, umyślnego działania osób trzecich. Wypadek określono jako nieszczęśliwy splot okoliczności, czy jakoś tak.

I najważniejsze. Ślub Liii z Rafałem był wspaniały Stanowili przepiękną parę. Ona w cudownej paryskiej kreacji z dwumetrowym welonem, on w czarnym smokingu wzbudzali podziw nie tylko weselnym gościom, ale również tłumowi przypadkowych wiernych zgromadzonych w katedrze pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana

Jezusa.

236

Państwo Kordowie z tej okazji prezentowali się niezwykle wytwornie. Pani Kordowa zadawała szyku elegancką dwuczęściową sukienką z koronki w kolorze ecru, pan Korda ciemnym garniturem od Armaniego. Mama również dołożyła starań, żeby wyglądać elegancko i sprawiła sobie kostium z ciemnobłękitnego jedwabiu. Tą zastąpił ojciec chrzestny Liii - wuj Anzelm.

Przyjęcie weselne urządzone w wynajętym lokalu, a zaproszono, oprócz bliższych i dalszych członków obu rodzin, wszystkich przyjaciół pary młodych. Był nawet sam reżyser Denis Renoir ze śliczną, trzydzieści lat młodszą żoną Ivet. A ja patrzyłam na wszystkie te piękne panie i dziewczyny z sympatią. Nie musiałam nikomu zazdrościć. Byłam pierwszą drużną, miałam na sobie sukienkę swoich marzeń, a z Michałem przy boku, którego kocham i który mnie kocha, czułam się piękna i spełniona.

Teraz wiem, że to miłość jest najlepszym chirurgiem plastycznym i najskuteczniejszym psychoanalitykiem. Jestem szczęśliwa. Boże, jak to cudownie mieć siedemnaście lat.

M

oo

s3 ^

^ CЛ

Vi

2. 5

a 2.

O)

ar ^

ro

ГО

ro

€

CЛ

3

a.

ro

CЛ

S ?Г

o

ro

* £ \$ 3

-I

ro a-

ro

er a^

ro"

Vi

o
^ГО
я*
Сл О Vi
a
a. &
S'
5'
Vi
co
a^
го"
;*.
сл
ГО
2? § \$ 5? # £ a
-i
C-t-
-j
Os
3 o
a
0Q
го
o a-
^-.
v:
го' £ сл S;
a
Сл
СГО "О" ГО
-ч
?Г S
сл
го-
го
сл
У Я ^ ^ \$
О <o сл
a.
^:
-i
го
co
€ a

a
3
o
o ro
ro
1—I.
ro
a-
a
a a
o
(л et
S
a
a
ro
o a-?r
«3
ro ro'
Cl
3
Clч
O

Си

O OQ
«3 Vi
a-
rV
O
a
a.
s
Cl
a
o Vi a'
o -o
o
Clч
ГОч
Vi
-i O
a-^?
S'

a
a
?Г
Vi
a a
сл
O <^ Vi
?Г
a
a-
o
r-t-
o
3
го ?Г
го
0Q O
ГО сл
o a-
го"
a a
Vi
L a.
a
o
a a-3
a
го'
a a
a
Г*
S
2
го
3
a
Сл
«a
го 3
Й
a-<n
S' a <n
го -3
o
<ГО

ГО

Vi Vi

a-

ГО

Сл

S

?Г о го

Сл Vi

<Ч) Ю tO Ю Ю K> ►— b-A ►— ►—

I— ►_*>*_ H_i _-1 I—1 h-ih—

UiU>14)i-->t--o,O4000000NasUi44.4x4^UiU) O\>-»Ln00-U00004xONi— 00U)-

tv40UJOLnt--

Książka nagrodzona w Konkursie Literackim na powieść dla młodzieży.

//

Kamila" Ewa Barańska

format: 125 x 195 mm liczba stron: 160 cena: 22,90 zł ISBN: 83-88109-83-9

Patronat:

W Gimnazjalista ICfOF

edu.

mfo.

POLSKI PORTAL EDUKACYJNA

Uczniowie dobrego liceum, do którego nie każdy gimnazjalista jest w stanie się dostać, tworzą różnorodną, ale zgraną paczkę. Są w niej zarówno indywidualności, jak i szare myszki. Kamila nosi w sobie tajemnicę, której rówieśnicy wolą nie zauważać. Zawsze na uboczu, wciąż sama, niezrozumiana i odsunięta. Powoli jednak otwiera się przed kilkoma koleżankami. Co zrobią dziewczyny z zaufaniem, którym zostały obdarzone?

Szukaj w księgarniach i EMPiK-ach lub zamów na stronie: WWW.telbit.pl

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową: tel./fax: (022) 331 88 70, tel.: (022) 331 03 05